

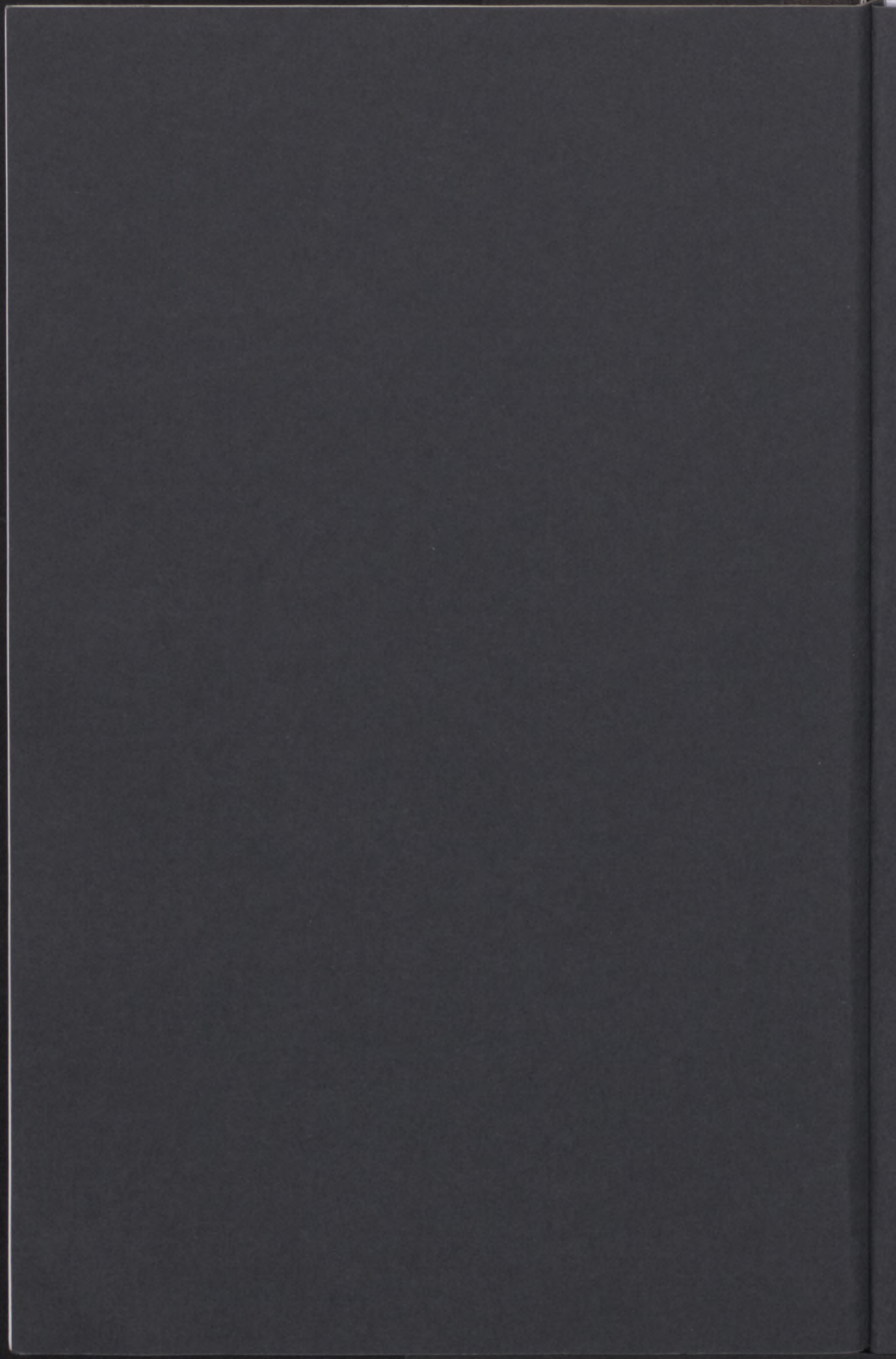
Krzysztof  
Muszkowski

KRONIKI  
LONDYŃSKIE

ARCHIWUM EMIGRACJI











# KRZYSZTOF MUSZKOWSKI

Redakcja i korekta: Aneta Jabłowska

Skład i format: Studio Moris

Wydawca

## KRONIKI LONDŃSKIE

Oficyna Wydawnicza Kucharski  
e-mail: kucharski@oficyna.k.com.pl  
www.oficyna.k.com.pl

ISBN 978-83-89376-65-7

© Copyright by

Towarzystwo Przyjaciół Archiwum Emigracji, Toruń 2009  
Krzysztof Muszkowski, Londyn 2009

Archiwum Emigracji dzięki fundacji PAFT (Londyn) za wsparcie finansowe.



ARCHIWUM  
TORUŃ



EMIGRACJI  
2009

**Krzysztof Muszkowski**  
***Kroniki londyńskie***

Redakcja i korekta: Aneta Jadowska

Skład i łamanie: Studio Moria

Wydawca

Towarzystwo Przyjaciół Archiwum Emigracji  
ul. Gagarina 13, 87-100 Toruń, Polska  
tel. 0 56 6114-391, fax 0 56 652-04-19  
e-mail: [archiwum@bu.uni.torun.pl](mailto:archiwum@bu.uni.torun.pl)  
[www.bu.uni.torun.pl/Archiwum\\_Emigracji/TPAE.htm](http://www.bu.uni.torun.pl/Archiwum_Emigracji/TPAE.htm)

Oficyna Wydawnicza Kucharski  
e-mail: [kucharski@oficynamjk.com.pl](mailto:kucharski@oficynamjk.com.pl)  
[www.oficynamjk.com.pl](http://www.oficynamjk.com.pl)

ISBN 978-83-89376-65-7

© Copyright by  
Towarzystwo Przyjaciół Archiwum Emigracji, Toruń 2009  
Krzysztof Muszkowski, Londyn 2009

Archiwum Emigracji dziękuje PAFT (Londyn) za wsparcie finansowe.



12A 3560

W. 1779/09



Nie ma chyba większego polskiego emigranta, który w sposób tak regularny i systematyczny publikowałby swoje wspomnienia i refleksje. Wskazywać na niego, jak na człowieka, który przez swoje pisma wywarł na polską literaturę i kulturę tak wielki wpływ, jak na przykład na literaturę i kulturę amerykańską, to chyba przesada. Z pewnością jednak trudno znaleźć w literaturze polskiej i w literaturze amerykańskiej człowieka, który w sposób tak regularny i systematyczny publikowałby swoje wspomnienia i refleksje. Wskazywać na niego, jak na człowieka, który przez swoje pisma wywarł na polską literaturę i kulturę tak wielki wpływ, jak na przykład na literaturę i kulturę amerykańską, to chyba przesada.

## KRONIKI LONDYŃSKIE

nie tylko ze względu na jego wieloletnią emigrację, lecz przede wszystkim ze względu na jego wieloletnią emigrację i na jego wieloletnią emigrację.

Wydaje się, że od 1985 roku na łamach londyńskiego „Dziennika Polakiego”, jego weekendowego dodatku „Tygodnia Polakiego” a w ostatnich latach także „Nowego Czasu”, felietony Feliksowskiego nie są tylko i wyłącznie relacjami z życia kulturalnego i artystycznego. Feliksowski pisze na temat polityki i społeczeństwa Anglików i Polaków ze świadomości doświadczonych przeszłych lat. Jest świadkiem i wręczliwym obserwatorem, który wnikliwie rejestruje w swoim piśmie, co zrodziło jego uwagę i zwrócił się do czytelnika. Spotkania i rozmowy z przyjaciółmi i pierwszymi znajomymi, z przyjacielami, czasem wydarzenia polityczne, spektakle teatralne, wycieczki na pogrzeb znanego lub przyjaciel. Czasem są to wydarzenia na pozór spłeć ważne, które otwierają drzwi do przeszłości przedmiotowej i wojny. Ale przecież to właśnie szczegółowe historię charakteryzującą daną postać, określają ją, porwalają odbiorcą jej mowy i wyznają wyznacznik. To krytyczne, do siebie nie wiążące ludzi, a także rzeczy, zjawisk sprawia, że Feliksowski, jego, dzieło opisujące jeżycie i życie były książką, za którą już stała się wyróżnioną wypowiedzią z lat minionych i bezczelnymi żłobkami historycznymi.

— Autor książki o historii polskich tytułów — *Janu 1944, Janu 1944, Nowości londyńskie, Spółdzielnia polskiego portu, Prace anglistki i obcej, Kroniki londyńskie — warte zapamiętania* — wytrwale ponosił w sobie atmosferę „polskiego Londynu” i pozostał tej atmosferze wierny, nawet wówczas, gdy emigracja niepodległościowa — jako rękawice społeczne — porzucił już tylko w jego pamięci. I chyba przede wszystkim dlatego wywarł jego takowy jak fascynujący i nieodłączny wpływ na polską literaturę i kulturę — jak i Stefani Kossowski, z którą także Feliksowski dzielił się i szerzył, przysięgł — jest to cze-

Krzysztof Maszkowski

*Notatki londyńskie*

## INNE PRACE AUTORA

*Inter alia*, Londyn: Oficyna Poetów i Malarzy, 1990

*Intra muros*, Kraków: Fundacja Monumentis Partiae, 1993

*Czas wielkich zmian*, Paryż: Éditions du Dialogue, 1996

*Notatki londyńskie*, Toruń: Uniwersytet Mikołaja Kopernika, 1997

*Parasol angielski*, Lublin: Norbertinum, 2002

*Spod angielskiego parasola*, Toruń: Archiwum Emigracji, 2006

tel. 0 71 414 291, fax 0 71 414 294-19

e-mail: [biuro@archiwum-emigracji.pl](mailto:biuro@archiwum-emigracji.pl)

[www.archiwum-emigracji.pl](http://www.archiwum-emigracji.pl) Archiwum Emigracji PAFT-Em

Oficyna Wydawnicza Złoty Mieczyk

ul. Chałubińskiego 10, 85-200 Toruń

[www.zlotymieczyk.com.pl](http://www.zlotymieczyk.com.pl)

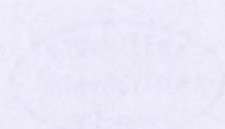
ISBN 978-83-89796-26-7

© Copyright by

Instytut Europejski - Archiwum Emigracji, Toruń 2006

Krzysztof Maszkowski, Lot 100 2006

Archiwum Emigracji - Instytut Europejski - PAFT-Em, ul. Chałubińskiego 10, 85-200 Toruń



001 3580

## PRZEDMOWA

Nie ma chyba drugiego takiego cyklu książek w polskiej felietonistyce i literaturze politycznej na emigracji jak sześcioksiążę Krzysztofa Muszkowskiego. Napisany językiem zwięzłym i komunikatywnym, z niejakim rozmachem i fantazją, jest on w odróżnieniu do publikacji tak wybitnych postaci „polskiego Londynu”, jak Adam Pragier, Stefania Kossowska, Stefania Zahorska, Juliusz Sakowski, czy Stefan Badeni, nie tylko zapiskami o ludziach i ideach, o mieście i czasie, lecz przede wszystkim swego rodzaju autobiograficzną opowieścią o szczęściu i spełnieniu.

Publikowane od 1985 roku na łamach londyńskiego „Dziennika Polskiego”, jego weekendowego dodatku „Tygodnia Polskiego”, a w ostatnich latach także „Nowego Czasu”, felietony charakteryzują się aktualnością, różnorodnością tematów i jasnością wyrażania myśli. Krzysztof Muszkowski patrzy na otaczającą rzeczywistość, na wydarzenia polityczne i społeczne, na Anglików i Polaków ze świadomością doświadczenia przeżytych lat. Jest świetnym i wrażliwym obserwatorem, który wnikliwie rejestruje to wszystko, co zwróciło jego uwagę; czasem są to przeczytane książki, spotkanie i rozmowa z postacią z pierwszych stron gazet, z przyjaciółmi, czasem wydarzenie polityczne, spektakl teatralny, wręczenie nagród, pogrzeb znajomego lub Przyjaciela. Czasem są to wydarzenia na pozór mało ważne, które otwierają szuflady z przeszłością przedwojenną i wojenną. Ale przecież te właśnie szczegóły historii charakteryzują daną postać, określają ją, pozwalają uchwycić jej indywidualny wyraz. To krytyczne, ale serdeczne widzenie ludzi, a także rzeczy, zjawisk sprawia, że felietony Muszkowskiego, dzisiaj opisujące jeszcze żywą tkankę, za kilka lat staną się wyrazistymi wspomnieniami z lat minionych i bezcennym źródłem historycznym.

Autor książek o łacińsko-polskich tytułach — *Inter alia, Intra muros, Notatki londyńskie, Spod angielskiego parasola, Parasol angielski* i obecnej: *Kroniki londyńskie* — może najbardziej wytrwale poniósł ze sobą atmosferę pisarstwa „polskiego Londynu” i pozostał tej atmosferze wierny, nawet wówczas, gdy emigracja niepodległościowa — jako zjawisko społeczne — pozostała już tylko w jego pamięci. I chyba przede wszystkim dlatego wszystkie jego teksty tak fascynują rzetelnością i szczerością wypowiedzi, oddaniem sprawom ważnym dla Polski, polskiej kultury i historii. Polska — jak u Stefanii Kossowskiej, z którą łączyła Muszkowskiego długoletnia i serdeczna przyjaźń — jest tu cen-

trum wszystkiego. Inne tematy — stosunki z ludźmi, ich sukcesy, pasje, ale też polityka międzynarodowa i ekonomia — to tylko tło dla spraw polskich. Tak jak każdy prawdziwy pisarz, Krzysztof Muszkowski lubi swoich bohaterów. Ukazując nam ich życie, dorobek i osiągnięcia, opisuje jednocześnie z bezwzględną szczerością udręki i pasje, anegdoty i kolory znane tylko komuś, kto opowiada własne życie.

I najpewniej dlatego, szkice i felietony Krzysztofa Muszkowskiego mogą wzruszać albo zaciekawiać, czasem irytować — ale na pewno nie nudzić. A niektóre jego myśli o wartości dorobku emigracji polskiej XX stulecia i o źródłach naszej kultury warte są zapamiętania i przybliżenia czytelnikowi.

Anna Supruniuk

Zamieszczone w niniejszym tomie teksty pochodzą z lat 2005–2008 i swój pierwotny wydruk miały w „Dzienniku Polskim”, „Tygodniu Polskim” i „Nowym Czasie” w Londynie.

## SKRZYPEK

Tunel dla pieszych na stacji metra South Kensington znam niemal od czasu, kiedy został ponownie otwarty po wojnie. Mieszkałem w tej dzielnicy. Chodzę tym tunelem regularnie. Gdy cofam się pamięcią do wspomnień sprzed pięćdziesięciu lat, widzę w nim skuloną postać skrzypka, słyszę tony granej przez niego melodii. Grywał wiedeńskie walce Straussa i arie operowe, barkarole, ballady, jazz i stare irlandzkie pieśni. Jego gra wywoływała z pamięci *Valse française*. Grał z temperamentem, natchnieniem. Siedział na starym, zniszczonym żołnierskim kocu, a przed sobą miał porcelanową miseczkę, na której zawsze leżało parę monet.

Historia tego skrzypka ma w sobie wzruszające momenty ludzkiego poznawania życia. Tunelem codziennie przechodziły tłumy: turyści i wycieczki szkolne, studenci do Imperial College, wielbiciele muzyki do Albert Hall i Polacy idący do Ogniska Polskiego czy Instytutu i Muzeum gen. Sikorskiego, zwykle wojenni emigranci, w nicowanych mundurach i często w beretach na głowach. Skrzypek znał ich wszystkich, poznawał po rytmie kroków. Oceniał też bezbłędnie, kto przy jakiej melodii zatrzyma się na chwilę. Czasem ze swej skulonej pozycji mógł obserwować, jak nogi przechodniów poruszają się w rytm granych przez niego dźwięków. Brzdęk rzucanej do miseczki monety przypominał mu, że świat nie całkiem jeszcze o nim zapomniał.

Świat tunelu to był jego świat, od momentu gdy po stracie nóg został wypisany z wojskowego szpitala. Dostał mechaniczny inwalidzki wózek, zagwarantowano mu nocleg i zapomogę, obiecano protezy. Nie miał rodziny ani żadnych krewnych. Po przyjeździe ze szpitala, po kilku miesiącach zaczął poruszać się po południowo-zachodnim Londynie, rozglądać po otoczeniu. I tak pewnego dnia, chcąc schronić się przed ulewą, wjechał do tunelu koło stacji South Kensington. W tym właśnie miejscu postanowił zamieszkać i uczyć się nowego życia, patrząc na przemykające ludzkie twarze. Czytał z nich z fascynacją i zapominał o sobie. Nie miał trosk, nie cierpiał. Pewnego dnia, a była to już zima, zszedł ze swojego wózka, rozłożył stary koc i oparł się o ścianę. Z czasem po drugiej stronie, naprzeciw niego rozłożył swe prace malarz. Patrzeli na siebie w milczeniu oddzieleni od siebie tłumem przechodniów. Twarz malarza zasmucała skrzypka, bo jego miseczka na monety była przeważnie pusta. Więc skrzypek grał coraz intensywniej, bo w jego sercu i sumieniu pogłębiała się troska o malarza. Wzrokiem niemal nakazywał przechodniom wrzuca-

nie datków do miseczki współtowarzysza. Postanowił także część swych pieniędzy podarować malarzowi. Nie wiedział tylko, jak to zrobić.

Pewnego dnia grupka młodzieży poprosiła skrzypka, by zagrał melodię z filmu *Gone with the Wind*. Kiedy tylko dotknął smyczkiem strun, młodzi ludzie zaczęli nucić, a potem śpiewać. Zrozumiał, że ludzie potrzebują jego muzyki. Po tym zdarzeniu nie wrócił na nocleg do mieszkania. Tunel zamknięto, nikt nie zauważył jego skulonej postaci. Następnego dnia malarz zaczął zdejmować ze ściany swe obrazy. Skrzypek usiadł ponownie na swym wózku i skinął na malarza, by ten mu pomógł. Przerwał milczenie, ale malarz nie odpowiedział. Machał tylko rękoma wskazując na usta. Może słowa nie były potrzebne? Skrzypek wyrwał mu obrazy z rąk i w zamian podarował skórzany woreczek monet. Malarz osłupiał. — Zacząłem właśnie kolekcjonować obrazy — skwitował skrzypek i uklonił się malarzowi, odjeżdżając na wózku pod przeciwległą ścianę.

Minęło parę miesięcy. Znowu padał deszcz. Idąc do Ogniska wszedłem w tunel, zastanawiałem się, czy zobaczę w nim skrzypka. Siedział tam skulony, jak zwykle.

1.06.2005

## MALOWANE KWIATY

Oryginalny tytuł tego krótkiego eseju miał brzmieć „Emigracyjna Literatura Kwitnie”. Tak mnie zachęciła jednak różnorodność barw, emocji i nastrojów tego szerokiego przedmiotu, że widziałem przed sobą nieograniczoną tęczę różnorodnych rodzajów literackich pióra wojennych i powojennych autorów piszących poza krajem. Mowa jest, rzecz prosta, o dziś już starej emigracji, czyli emigracji literackiej drugiej wojny światowej. Kielkowała ona już w Paryżu od końca 1939 r. aż do wiosny roku 1940, a potem zaczęła szybko kwitnąć w Londynie i w Nowym Jorku. Historycy i biografowie dawno już dostrzegli ścisły związek płodności literackiej z najcięższymi chwilami narodowych dramatów. Zdając sobie sprawę z tego, że tak jak po pierwszej wojnie światowej, literatura polska przeżyła niemal dwudziestoletni okres rachunku sumienia, tak ten sam rachunek sumienia będzie długim targiem literackim tych pisarzy, którzy przeżyli obie wojny. Targ ten, jaki był, kto ma rację, kto jej nie ma i dlaczego, nie był podatnym gruntem beletrystyki. Był raczej polityczny, publicystyczny, czasem dziennikarsko chaotyczny. Dzielił pisarzy na dwa obozy, ale stał się literaturą dnia powszedniego. Działo się to pod egidą ciągłych wezwań do konieczności narodowego pojednania, które przy ostrych opiniach co do dopiero doznanej klęski, wisiało ciężko nad

społeczeństwem cywilnym. Społeczeństwo umundurowane miało nieco inne kłopoty na głowie. Spotykali się w literaturze, bo jedni i drudzy byli jej bohaterami. Lata 40-te przeszły w takiej to atmosferze. Piśmiennictwo tego okresu było jej wyrazem. Niemniej, lata te prowokowały do udokumentowania życia we wszystkich jego objawach. Dokumentowanie literackie przyjęło postać indywidualnych wspomnień na równi z historycznymi opracowaniami na gorąco akcji zbrojnych na wielu frontach. Wiadomości z Polski stały się — tam gdzie docierały — chlebem powszednim wolnej prasy. A literatura piękna, głównie poezja, ukwiecała, od czasu do czasu, szary porządek dnia.

Dwa ważne wydarzenia tego okresu, dziś już należące do historii, warte są przypomnienia. Jeśli nie z innych powodów, to chociaż po to, żeby nowi czytelnicy „Pamiętnika Literackiego” — a mam na myśli przede wszystkim młodych — pomyśleli o tych starych wojennych pisarzach nie z żezką w oku, a z uśmiechem na ustach i lekką nostalgią. Do dziś dnia można ich czytać. Niektórzy myszczą trąca, ale inni mieli dość wizji artystycznej i ukochania języka polskiego, by uprzyjemnić niejedno monotonne życie. Byli nam tutaj wtedy bardzo bliscy. Co ich jednak do nas tak zbliżało, to możliwości jakie mieli, by drukować swoje utwory — i wydawać swoje książki. A to było głównie zasługą redaktorów i czytelników, bo praktycznie rzecz biorąc — i jedni i drudzy należeli do kategorii biedaków. W tej biedzie krył się bogaty polski romantyzm. Wielkie i gómolotne słowa literaci zostawiali politykom, dyplomatom i generałom. Literatura wspomnień była zwierciadłem ówczesnej rzeczywistości. Pierwszym wydarzeniem literackim, jakie zelektryzowało literaturę polską we Francji, już podczas okupacji niemieckiej w kraju, był pierwszy numer „Wiadomości Polskich”, który ukazał się w Paryżu z datą 17 marca 1940 roku. Tygodnik ten — najbliższy kontynuacji przedwojennych „Wiadomości Literackich”, subsydiowany przez nowo utworzony rząd gen. Władysława Sikorskiego — był oficjalnie redagowany przez triumwirat: Zygmunt Nowakowski, były popularny felietonista „Ilustrowanego Kuriera Krakowskiego”, Mieczysław Grydzewski, były redaktor „Wiadomości Literackich” i „Skamandra” w Warszawie (1924–1939), i, tylko nominalnie, Antoni Słonimski, pewnie najpopularniejszy w przedwojennej Polsce felietonista i krytyk teatralny tegoż pisma. Rzeczywistym redaktorem był Grydzewski. Nowakowskiego udział był wynikiem starań prof. Stanisława Kota, wówczas wicepremiera rządu polskiego. Słonimski, w tym czasie sekretarz Kota, nie biorąc udziału w pracy redakcyjnej, usunął się z redakcji wcześniej. Nie ulegało żadnym wątpliwości, że inicjatorem pisma i jego „spiritus movens” był Grydzewski. Jego doświadczenie i znajomość warsztatu dawały

gwarancję poziomu intelektualnego pisma, popartego doбором najlepszych piór, których już pewna liczba dotarła na Zachód. Przedwojenne „Wiadomości Literackie” były najwyżej stojącym literacko tygodnikiem dwudziestolecia. Intencją Grydzewskiego było przeniesienie tej samej formy i atmosfery pisma na emigrację. Nazywam ukazanie się tego pisma ważnym wydarzeniem, myśląc głównie o ogromnym ciężarze gatunkowym polskiej kłęski z roku 1939. Poza jasnymi rezultatami politycznymi, miała ona konsekwencje głęboko moralne. Mówiłem powyżej o niekończącym się rachunku sumienia i przelewaniu win z prawicy na lewicę i odwrotnie. Co było więc najbardziej frapujące, to pytanie, jak reagowała na to literatura? Pierwszy numer otwierał Ksawery Pruszyński sążnistym artykułem pt. „Literatura emigracji walczącej”. Pytał, jak literaturze dać broń do ręki. Wymagał od pisarzy odcięcia się od rachunku politycznego sumienia, zwracając pióro w kierunku wroga. Podtrzymując ducha, by nie upadł. Nie tylko karabinem walczyć można. Na pierwszej stronie widnieje notatka redakcyjna: „Pragnąc dać możliwość wypowiedzenia się jak największej ilości pisarzy, przebywających na emigracji „Wiadomości Polskie” wydają nr 1 w zwiększonej objętości. Następny numer „Wiadomości” liczyć będzie 6–8 stron druku. Nr 2 „Wiadomości” ukaże się dn. 16, nr 3-db 24 marca, potem pismo będzie wychodziło co wtorek”. To otwarte zaproszenie autorów do współpracy było wyrazem istniejącej wtedy atmosfery pojednania społeczeństwa na rzecz sprawy najważniejszej. Ostatni numer ukazał się z datą 23 czerwca 1940 roku. Druk nastąpił wcześniej, bo 19 czerwca Niemcy zajęli Paryż. W „Wiadomościach Polskich” drukowali wszyscy pisarze będący już wówczas w wolnym świecie. Poza Pruszyńskim, Stanisław Baliński, Antoni Bogusławski, Stanisław Cat-Mackiewicz, Zdzisław Czermański, Maria Danilewiczowa, Witold Gombrowicz, Maria Kuncewiczowa, Jan Lechoń, Józef Łobodowski, Ignacy Matuszewski, Adam Pragier, Juliusz Sakowski, Antoni Słonimski, Stanisław Stroński, Julian Tuwim, Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin, Waław Zbyszewski. 14 lipca 1940 roku ukazał się kolejny numer „Wiadomości Polskich” już w Londynie, w nowej siedzibie rządu polskiego i miejscu postoju nowo formującej się polskiej armii, w niezmiennym składzie redakcji: Mieczysław Grydzewski, redaktor, i nominalnie Zygmunt Nowakowski.

Drugie może najważniejsze wydarzenie literackie na emigracji miało mniej elektryzujące znaczenie. Ale było równie ważne. Miało miejsce w terminie późniejszym, w 13 lat po wojnie, ale istniało nieprzerwanie w latach 1958–1990. Było też kontynuacją podobnego wydarzenia sprzed wojny i z inicjatywy tego samego człowieka — Mieczysława Grydzewskiego, wówczas redaktora londyńskich „Wiadomości”. Pismo



to zastąpiło „Wiadomości Polskie”, którym rząd brytyjski wstrzymał przydział papieru i prawo druku 12 lutego 1944 r., uważając ich antysowiecką politykę za szkodliwą dla dobra aliantów. Londyńskie „Wiadomości” powstały w roku 1946, kiedy tzw. „Sprawy polityki alianckiej” ocknęły się dopiero co, i to bardzo powolnie, z prosowieckiej euforii, choć nadal traktowały Związek Sowiecki jak alianta. Wydarzeniem tym była „Nagroda Wiadomości”.

Wszystko zaczęło się w Warszawie, niedługo po powstaniu oficjalnej polskiej Akademii Literatury w roku 1933, kiedy wśród mianowanych przez rząd członków pominięto wielu najwybitniejszych, niezależnych pisarzy. Mieczysław Grydzewski, redaktor „Wiadomości Literackich” z wrodzoną żyłką kontrowersji posuniętej do granic sensacji, czując atrakcyjny smak ambicyjnych pojedynków pisarzy, zwrócił się do czytelników pisma by przez głosowanie wybrali takich autorów, którzy według nich godni są akademickiej palmy. Miała ta nowa akademія nazywać się „Akademią Niezależnych”. Od swego powstania w roku 1935, zebrała się tylko pięć razy. Intuicja redaktora co do kontrowersji i do zajadłych sporów pomiędzy pisarzami okazała się nieomylna. I tak podobna idea przeszła na emigrację. W roku 1959, z pomysłem reinkarnacji czegoś w rodzaju „Akademii” wystąpił prof. Ignacy Wieniewski, jeden ze stałych współpracowników londyńskich „Wiadomości”. Redaktor odniósł się do pomysłu z równie wrodzonym sobie entuzjazmem. 17 maja 1959 roku „Wiadomości” ogłosiły ankietę wśród czytelników pod hasłem: „Kogo wybralibyśmy do założonej z 15 pisarzy emigracyjnych akademii literatury, gdyby taka akademія powstała?” Wolno było tym razem głosować na literatów, historyków, krytyków i publicystów. Wybrani będą gośćmi „Wiadomości” na uroczystym obiedzie, na którym przyznana zostanie nagroda „Wiadomości” za książkę wydaną w roku poprzednim, czyli 1958. Taka jest metryka urodzenia słynnej na emigracji i w kraju (przez wiele lat podziemnie) „Nagrody Wiadomości”. W kolejności zgodnej z ilością otrzymanych głosów następujący pisarze znaleźli się w pierwszej piętnastce wybranych: Kazimierz Wierzyński, Mieczysław Grydzewski, Ferdynand Goetel, Józef Wittlin, Zygmunt Nowakowski, Marian Kukiel, Józef Mackiewicz, Oskar Halecki, Waclaw Grubiński, Czesław Miłosz, Tadeusz Nowakowski, Stanisław Baliński, Tymon Terlecki, Jan Rostworowski, Józef Łobodowski. Jury Nagrody było już niemal gotowe, ale powstał kłopot: wybrani rezydowali na różnych kontynentach, a pismo wydawane było w Londynie. Tak jak doroczny obiad. Jury było więc każdorazowo kompletowane przez indywidualne zaproszenie na podstawie szczegółowego, żeby nie powiedzieć drobiazgowego regulaminu, który nie dopuszczał, na przykład,

rezygnacji z członkostwa. Wybór do Jury był dożywotni. Z autorów nagrodzonych w latach 1958–1990 wymieniam tych bardziej znamienitych w kolejności nagrodzenia: Marek Hłasko („Cmentarze” wybuchowy, choć krótkotrwały talent, zrobił na emigracji wielkie wrażenie rozmachem widzenia i obserwacji), Kajetan Morawski (dyplomata, przedstawiciel Polski we Francji, wnikliwy znawca literatury francuskiej i psychologii Francuzów, a nade wszystko świetny analityk historii stosunków polsko-francuskich), Jan Bielatowicz (żołnierz Brygady Karpackiej gen. Stanisława Kopańskiego, piewca jej dziejów, uczestnik oblężenia Tobruku), Witold Gombrowicz („enfant terrible” literatury polskiego dwudziestolecia, niecodzienny wirtuoz, niemal akrobata w obaleniu przesądów, patrzący w siebie. Kiedy w roku 1963 została mu przyznana nagroda, Zygmunt Nowakowski „założył veto” i oświadczył, że więcej nie będzie brał udziału w obradach Jury. Nie dożył jednak następnego zebrania, umarł w tymże roku), Irena Bączkowska, Karol Zbyszewski (uznany za drugiego, po Marianie Hemarze, najdowcipniejszego pisarza na emigracji, który redagował „Dziennik Polski” w Londynie i co piątkową rubrykę emigracyjnych plotek towarzyskich i innych pt. „Tylon”), Andrzej Chciuk, Czesław Miłosz (poeta, którego „polityczność” często wzbudzała wątpliwości Jury i wielu wielbicieli jego talentu, niemniej wskazujący na szeroki wachlarz poczucia uniwersalnej polskości wśród pisarzy na zachodzie), Henryk Grynberg, Stanisław Barańczak, Jan Nowak-Jeziorański (w uznaniu wielkiej miary działalności publicystycznej na rzecz Polski), Gustaw Herling-Grudziński (nagrada została przyznana za „Dziennik pisany nocą”, choć jego wspomnienia z Rosji „Inny świat”, jedna z dwóch najlepszych rzeczy o Rosji Sowieckiej — na równi z „Na nieludzkiej ziemi” Józefa Czapskiego — zdobyła emigrację i nie emigrację brutalnym realizmem i diabelską niemocą tych, co znaleźli się w jego szponach), Kazimierz Brandys, Zofia Kozarynowa, Marek Nowakowski (za „Raport o stanie wojennym”, reportaż o niewytłumaczalnej agresji), Jan Zamoyski, Adam Michnik, Janina Kościalkowska, Zbigniew Herbert (poeta o gołęmbim sercu).

Ten krótki szkic nie ma właściwie ani logicznego początku, ani końca. Malowane kwiaty, o których mowa, to te, które nigdy nie tracą żywości barwy, choć tracą jaskrawość w widzeniu. Innymi słowy, pamięć o nich nie ginie, ale staje się z biegiem lat coraz trudniejsza do ogarnięcia w zwykłej ludzkiej codzienności. Więc jeśli szukać logiki, to przy pomocy notatek ku pamięci.

1.01.2006

## ARCHIWUM W HOŁDZIE LITERATURZE EMIGRACYJNEJ

Z wielkim kunsztem i profesjonalizmem opracowany (tak bardzo cennie cechy Archiwum Emigracji w Toruniu dotarł do Londynu pokaźny tom zatytułowany „Inwentarz Archiwum «Wiadomości» (1946–1981)”. (Archiwum Emigracji, t. XXIV *Inwentarz Archiwum „Wiadomości” (1946–1981)*, Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń, 2006. Wstęp: Mirosław Adam Supruniuk, Opracowanie: Mirosław Adam Supruniuk, Aneta Jadowska i Marta Karpińska). To jakby symboliczny powrót do źródła. Bo jego przedmiotem jest historyczna rola londyńskich „Wiadomości”, dzieje, a nade wszystko geniusz ich twórcy i redaktora Mieczysława Grydzewskiego i talenty jego następców: Michała Chmielowca i Stefanii Kosowskiej. Autorzy dali tomowi skromny tytuł „Inwentarz”. Chciałoby się zmienić tytuł na „Kronika”. Choć sternikami tej kroniki byli jej redaktorzy, obejmuje ona wszystko co najwybitniejsze w polskiej literaturze emigracyjnej od roku 1939 do roku 1981. I — jakby powiedział Grydzewski — wszystkich pisarzy, historyków, publicystów, poetów i polityków, którzy mieli coś interesującego do powiedzenia. W czasie wojny, w Paryżu i wkrótce potem w Londynie jako „Wiadomości Polskie”, (milczące w latach 1944–1946 na skutek cofnięcia przydziału papieru — przepisy wojenne — za zbyt ostrą politykę antysowiecką), też tych, którzy w czasie tej przymusowej przerwy współpracowali z redaktorem w innych wydawnictwach.

Pokaźny to i bogaty informacyjnie tom (283 strony), niezbędny dla badaczy literatury polskiej, historyków i kolekcjonerów biografii pisarzy polskich okresu emigracji w czasie II wojny światowej. Dotyczy to specjalnie Wysp Brytyjskich, Stanów Zjednoczonych i Kanady, ale też (w późniejszych fazach wojny) Francji, Włoch, Hiszpanii, Belgii, Holandii i krajów skandynawskich. Londyńskie „Wiadomości” docierały do tych wszystkich krajów i zasilali je pisarze w tych krajach mieszkający.

Tom zawiera na pierwszym planie obszerny szkic Mirosława Adama Supruniuka pt. „*Wiadomości i ich Archiwum*”. Jest to szczegółowy zarys historyczny pisma i materiałów jego dotyczących, czyli losów korespondencji i tego, co zostało po latach w kraju (bardzo niewiele), w Paryżu (dwa pierwsze miesiące istnienia pisma) i w Londynie. Następny rozdział poświęcony jest redaktorom: Mieczysławowi Grydzewskiemu, Antoniemu Bormanowi (współtwórcy pisma), Michałowi Chmielcowi i Stefanii Kosowskiej. Są to ich życiorysy i ich indywidualny wkład w życie pisma. Dalszy ciąg „Inwentarza” to skrupulatnie drobiazgową kroniką zawartości pisma i jego długiego i owocnego żywota. O bogactwie rzeczowym tomu świadczy 70 stron indeksu nazwisk!

Krótką dygresja osobista na temat Archiwum Emigracji w Toruniu i *Inwentarza „Wiadomości”*. Nie pamiętam dnia ani roku, bo daty zaciera się na starość w pamięci, kiedy zatelefonowała do mnie Stefania Kossowska z zapytaniem, czy wiem, kto to jest Mirosław Supruniuk. Odpowiedziałem, że wiem. „To jest człowiek, który wie co robi”, powiedziała, każąc mi przyjść na rozmowę w sprawie „co zrobić z archiwum *Wiadomości*?”. Pytanie było właściwie retoryczne, bo szybko się okazało, że Supruniuk już dobrze wiedział co zrobić. Z tym przyjechał do Londynu. Był wtedy pracownikiem Biblioteki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Nie tylko wiedział co zrobić, ale miał gotowy plan. Archiwum było wówczas sublokator w domu Fundacji z Brzezia Lanckorońskich. Na początku chodziło o dwie rzeczy: zgodę ostatniej redaktorki Stefani Kossowskiej i o fundusze na przewiezienie całego dobytku. Zgoda nie napotkała na żadne trudności. Wiedzieliśmy, że w Londynie nie ma ani odpowiedniego miejsca, ani warunków na przechowywanie cennych dokumentów emigracyjnych. Co do funduszków, dobry duch w postaci Jana Badeniego, syna Stefana — długoletniego współpracownika „*Wiadomości*”, przyszedł z pomocą. I tak archiwum pisma znalazło się w Toruniu w październiku 1994 roku, nieuporządkowane, w stanie surowym.

„*Inwentarz*” jest więc dziełem długich lat mozolnej pracy, a co najważniejsze, zawodowego oddania się idei konserwacji tego, co istotne w dziejach historii Polski, ku pożytkowi nowych pokoleń.

18.03.2007

## DYSKRECJA

Profesor Stanisław Stroński, znakomity romanista, wielbiciel literatury francuskiej, członek rządu i bliski współpracownik gen. Władysława Sikorskiego, długoletni minister informacji rządu polskiego w czasie wojny i na emigracji, kochał Paryż i lubił często odwiedzać Francję. Uważał ten kraj za kolebkę kultury europejskiej. Wracając raz z Paryża do Londynu, na zapytanie „Jakie nowe wrażenia”, odpowiedział „Panie, nie nowe. Zachwycająca zawsze francuska dyskrecja... Tak jej brakuje na tej wyspie... Nawet kiedy ten bajeczny język francuski pozwoli sobie na „taryfę ulgową”, kiedy pisze o sprawach osobistych i intymnych. Francuskie pisma pisząc o kryminalnych romansach i ich bohaterach, nie dają ich nazwisk a tylko inicjały. Dyskrecja, to sposób myślenia, sposób bycia, a nie tylko słowa”... W swoich pojęciach o dyskrecji prasy za wyjątek uważał stary, londyński „*The Times*”, w którym cała pierwsza

strona była poświęcona drobnym ogłoszeniom, a rzeczywista treść pisma zaczynała się od strony następnej. Choć pewnie nie bardzo wiedział czy to dyskrecja, czy może inne, bardziej intratne powody. Jako minister informacji, Stroński miał więcej niż stosunek opiekuńczy do „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”. Był jak gdyby kuratorem pisma i czuł się odpowiedzialny za jego treść i formę. Często wbrew intencjom redaktorów. Pokrewieństwo „Dziennika” z rządem było tak rodzinne, że żadne pioruny z ministerstwa nie zakłócały normalnego trybu życia.

Profesorowi chodziło w gruncie rzeczy o niepotrzebne rozdmuchiwanie sensacji prasowych, które mogą wzmacniać temperaturę ogólnej historii, i o takt w informowaniu. Często pytał: „Czy wszyscy muszą o tym wiedzieć?” A więc o kulturalną „demokratyczność” prasy, czyli dyskrecję w dramatyzacji sensacji. Czasy się zmieniły, ale zasady pozostają te same. Prasa całego świata żyje z sensacji. Prasa polska też zaraziła się bakcylem sensacji za wszelką cenę. Popelnia ten sam wielki błąd. Brak dyskrecji. Lata temu nowojorski „Morning Post” rano obwieszczał: „Dziś trzy morderstwa za 25 centów”. A następnego dnia krzyczał: „Dziś nie ma morderstw. Cena 30 centów”.

W naszej prasie codziennej i wszędzie na Zachodzie tłusty druk znaczy sensację. Ale nie zawsze dotyczy to ekonomii czy polityki. Zwykle — kryminalnego rozvodu albo katastrofy kolejowej, czy — specjalnie ostatnio w krajach anglosaskich — terroru innowierców. Zbyt demokratyczne, czyli szerokie, nadużycie terminu „demokracja” w prasie, w mediach, w parlamentach świata, w instytucjach naukowych, organizacjach społecznych, partiach politycznych (tych szczególnie), urzędach, sądach i wszędzie tam, gdzie pytają „czy to demokratycznie?”..., powoduje zamieszanie w pojęciach. Demokracja to łatwe słowo, łagodnie ślizga się z języka w mowie i w piśmie, ułatwia konwersację, załatwia — zwykle niedostatecznie — argumenty, ułaskawia politycznego przeciwnika, nie rozwiązując żadnych problemów do końca i wreszcie daje chwilowe zadowolenie dobrze spełnionego obowiązku. Nikt nie został skrzywdzony, bo sprawa została załatwiona „demokratycznie”. I tak często domniemana demokratyczność ciągnie się za nami, a z nią historia narodu.

Rzeczownik „demokratyczność” obejmuje wszystkie dziedziny życia. Taki dach nad demokracją, pojęcie nadrzędne, właściwie bez żadnej słownej odpowiedzialności, starające się pokryć wiele popełnionych i niedopełnionych grzechów politycznych, publicznych i społecznych. Słowo niezupełnie tak łatwe jak „demokracja”, bo nie wymagające praktycznego zastosowania. Demokratyczność prasy, na przykład, jest pozostawiona własnemu losowi, nie kontrolowana przed publikacją, a jeśli w ogóle, to post factum publikacji. Prasa jest otwarta dla wszystkich,

a jeśli wzrasta ilość popełnionych morderstw to nie ona winna, a jej demokratyczność. Pytanie się powtarza: czy wszyscy muszą być o wszystkim informowani w sensacyjnych wymiarach? Czy może wystarczy sucha informacja bez sensacyjnych szczegółów? Kiedy światły profesor Stroński mówił o dyskrecji w prasie, miał — jak się zdaje — trzy elementy na myśli: takt, styl i dyskrecję. Jako klasyczny romantyk uważał pewnie tę ostatnią za odpowiednik milczenia.

11.03.2007

## BAL MASKOWY

Warszawa, karnawał. Bal maskowy w Operze. Pod hasłem „Gondolą po Wiśle”. Tylko za imiennymi zaproszeniami. Cóż za niebywała okazja milczących tańców spod tajemniczej maski, coś za możliwości wymierzonych spotkań, niezapomnianych wrażeń, ciepłych dotyków, szeptów prosto w ucho, może nawet bliższych kontaktów... Maski do wynajęcia w państwowym składzie dekoracji teatralnych i w muzeum kostiumów operowych na ulicy Mariensztat na Starym Mieście. Okolicznościowo, w niektórych kancelariach ministerialnych i w siedzibie prezydenta, jak również w hotelu sejmowym lub sekretariatach Sejmu i Senatu. Te ostatnie, tylko po uprzedniej identyfikacji w biurze służb ochrony moralności publicznej. Ceny do omówienia na miejscu.

Pan minister przy śniadaniu otworzył gazetę i niemalże otworzył usta na widok ogłoszenia o balu maskowym w Operze. Jego prywatny plan teraz dopiero nabrał kolorów. Bo oto w dniu swej świeżej ministerialnej nominacji, dopiero trzy miesiące temu, był w tak dobrym humorze, że obiecał swojej żonie Matyldzie Sylwestra w Wenecji. Widział się już z Matyldą w gondoli na Canale Grande, podziwiających głosy chórów i słuchających arii operowych gondolierów, patrzących jednocześnie na tańce i swawole młodych i starych wenejcjan, i licznych turystów, bawiących się o północy na Placu św. Marka. Przeżył to raz za studenckich czasów jako stypendysta na uniwersytecie w Padwie. Z okazji tej nominacji bliscy koledzy urządzili mu przyjacielskie spotkanie w znanej restauracji by mu życzyć powodzenia w awansie. Wśród biesiadującej publiczności było też paru dziennikarzy. Było wesoło. Koledzy rozmawiali szeroko i otwarcie. Sypały się też koleżeńskie niedyskrecje. Zwykle, oto prywatne plotki o publicznych osobach i sprawach. Dziennikarze nie spali. Słyszając interesujące, często pikantne detale rozmów i komentarze, nadstawili nie tylko ucha, ale i taśmy magnetofonów. Nazajutrz treść tych taśm niezawodnie ujrzała światło dzienne w prasie brukowej i w telewizji.

Prywatny plan nowego ministra spędzenia Sylwestra w Wenecji miał też inny cel. Matylda narzekwała na brak oddechu. On, najpierw radca, potem minister, miał horyzonty otwarte na świat. Były zagraniczne podróże służbowe (wszystkie koszty pokryte), były przyjęcia, jedno za drugim, bardziej lub mniej oficjalne. Życie jego było sensacyjne. A biedna Matylda siedziała w domu, gdzie cały dzień wdychała tylko smażeninę z kuchni. Wspaniała pan Orbis załatwił wszystko. Bilety miał w kieszeni. Lot do Wenecji, hotel, wprawdzie nie Gritti Palace, ale — jak pan Orbis powiedział, rodzinny, komfortowy i turystyczny. Jak pan Orbis potwierdził, niezbyt ekskluzywny, żeby w Warszawie nie psioczyli, taki akurat, jak dla świeżo upieczzonego członka Unii Europejskiej. Pan minister był więc bardzo zadowolony i z uśmiechem wyszedł z ministerialnej limuzyny, by sprężystym, młodym krokiem wejść po purpurowym dywanie do swego gabinetu. Tam czekała już panna Wandzia, trzymając oburęcz nie filiżankę kawy z pianką, właśnie takiej, jaką pan minister zamówił pierwszego dnia swego urzędowania. Kawa stała już na biurku. Pan minister wcisnął się ze smakiem w głęboki, kozią skórą wybity wygodny fotel i myślał. Był dobrze wyuczony w myśleniu. Właściwie jego ministerialna rola tylko myślenia wymagała, żadnej tzw. „roboty”. Robotą zajmowali się ci, co siedzieli poza gabinetem pana ministra. Tam wrzało. Latały papierki, memoranda, sugestie, plany, statystyki. Pan minister je czytał myśląc i parafował. A ministerialne plotki kursowały pomiędzy biurkami, nie przeszkadzając myśleniu. Telefony brzęczały, komputery, choć ciche, ale też aktywne, nawoływały oczy do patrzenia na ekran. Tam myślenia nie było. Dlatego pan minister musiał myśleć.

Chwilowa zaduma pana ministra nie trwała długo, bo oto cichutko otworzyły się drzwi do gabinetu. Bezszelestnie, na palcach weszła miła panna Wandzia, o uśmiechu zawstydzonej pensjonarki. Sokole oko pana ministra, szeroko doświadczone w sprawach ważnych, natychmiast dostrzegło w rękach panny Wandzi urzędowy papier. Był już otwarty. Koperty nie było. Ręce panny Wandzi zdradzały niepokój. Krótko mówiąc, drżały. Oko pana ministra tego szczegółu też nie zaniedbało. Urzędowy papier leżał teraz przed nim. Panna Wandzia zdreptała, ale jako doświadczona sekretarka szybko doszła do siebie i tyłem, nie odwracając się, tak samo bezszelestnie wyszła z gabinetu. Pan minister zdecydował, że nim spojrzy na urzędowy papier, przeniesie się choć na chwilę myślami do Wenecji. Zobaczył tam niebieskie niebo, zobaczył siebie z Matyldą w gondoli i prawie usłyszał znane dźwięki Mozarta. Jego wzrok tymczasem nie wytrzymał napięcia i przeniósł się na biurko. Urzędowy papier zawierał krótki maszynowy tekst. Był podpisany nieczytelnie, zawiadamiał pana ministra, że od dnia dzisiejszego nie jest

już ministrem i oczekiwana jest jego natychmiastowa prośba o dymisję z urzędu. Sam się dziwił, że nie zemdlał. Znow pomyślał o Wenecji i powziął natychmiastową decyzję. Wezwał pannę Wandzię i niemal młodzieńczym głosem dał jej ostatnie ministerialne zadanie: „Dwa zaproszenia na bal maskowy w Operze”. Ostatnią podróż ministerialną limuzyną, na złość urzędowi, odbył na Mariensztat, gdzie zakupił dwie maski. Żeby się dowiedzieć co na nich było wymalowane, należy pójść na bal maskowy do Opery. Jest jeszcze czas.

18.02.2007

## RODZINA W EUROPIE

Parafrazując tytuł znanej książki świętej pisarki Marii Czapskiej „Europa w rodzinie”, im mniej ostatnio o Unii Europejskiej w unijnej prasie codziennej, tym więcej wątpliwości, czy my rzeczywiście jesteśmy w tej Unii. A jeśli w niej jesteśmy, to dlaczego europejska rodzina tak gwałtownie i nienaturalnie się przesiedla. Czy rzeczywiście chodzi o to, żeby stworzyć nową europejską rodzinę, różnego pochodzenia, różnych znaków szczególnych, czy po prostu pchają tę rodzinę wyłącznie warunki ekonomiczne?

Jak wynika z zestawień statystycznych, w Wielkiej Brytanii, Irlandii, w Niemczech, we Włoszech, w Holandii, w Hiszpanii i Norwegii, jest już dziś pokaźna liczba polskich rodzin. Ale czy są to rodziny europejskie? Czy może nie są wcale rodzinami, bo zgrupowania polskie w Unii składają się przeważnie z ludzi młodych i jeszcze nie rodzinnych? A jeśli są w jakiś sposób powiązani, czy można ich uznać za załazek rodzin polskich w Europie? Polacy pobili chyba już wszystkie rekordy w liczbie przesiedleń. Ale został im jeszcze jeden rekord do pobicia: rekord powrotu.

Nie jest oczywiście wykluczone, że mogą mieć ambicje pobicia innego rekordu maksymalnej grupy narodowościowej w swoich krajach osiedlenia. Cel sam w sobie sportowy, ale marginesowy w życiu narodu. Tak jak większość rekordów sportowych. Drugim wynikiem tego rekordu jest — jak wiemy z dawnych i nie tak dawnych doświadczeń — stopniowa asymilacja. Stopniowe przejście z przybrzeżnej płyliny na głębokie wody inności. O tę inność chodzi. Jej świadoma akceptacja rzadko następuje w obliczu cech posiadanych od samego urodzenia. A akceptacja przypadkowa czy nieświadoma zostawia fałszywe poczucie przynależności.

Polska jest, przynajmniej na papierze, częścią rodziny europejskiej. Geograficznie, geopolitycznie, kulturalnie i oświatowo, ale nie gospodar-



czo. A poza dokumentem — emocjonalnie i ambicyjnie. Jest też członkiem rodziny europejskiej z tytułu udziału w instytucjach międzynarodowych. A także, jak wiemy z książki Marii Czapskiej, dzięki tradycjom wybitnych rodzin polskich, których członkowie zostawiali przez długie lata ślady polskie w krajach Europy Zachodniej. Patrząc na tę Europę dziś — niekoniecznie jako na Unię już dobrze scementowaną, bo nią nie jest — Polska jako jeden z jej elementów wygląda ciągle biednie. Jeżeli ideą Unii — tak jak nam mówiono — ma być ekonomiczna równość rodziny europejskiej, Unia, a może raczej jej biurokracja, jak dotąd nie zdała egzaminu.

5.01.2007

## SYMPOZJUM

Mądrzy starożytni Grecy wymyślili sympozjon, czyli spotkanie poświęcone rozrywce, choć tym mianem zwano także dyskusje na różne tematy, debaty polityczne, czy literackie, a nawet ściśle artystyczne i sportowe. Poza mądrością, starożytni Grecy znali także naturę ludzką. Nie brakło im przy tym sprytu. Wiedzieli jak zaatakować nudę debat, jak przerwać drzemkę uczestników i jak uatrakcyjnić spotkania. Tą atrakcją, która miała przyciągnąć i apetyt, i błyskotliwość rozmowy, był wykwinny obiad, suto zakrapiany winem. Stąd powstało w naszych czasach dzisiejsze sympozjum, czyli debata na określony temat, zwykle z przygotowanym z góry wykładem, czy programem. W sumie nuda. Gadanina na sucho. Treść wykładu i debata wylatuje z głowy bezpowrotnie. Myślałam o mądrych starożytnych Grekach, siedząc na takim właśnie sympozjum i szukając drogi jak uciec, nie zwracając na siebie uwagi. Postanowiłam wtedy nigdy więcej nie dać się nabrać na żadne sympozjum. Ale...

W jednym z najbardziej ultra konserwatywnych klubów londyńskich, gdzie, między innymi obrazami, wisi tradycyjnie klasyczny portret Artura Neville'a Chamberlaina, premiera brytyjskiego, który 3 września 1939 roku, po ataku Hitlera na Polskę, wypowiedział wojnę Niemcom, zdziwienie członków wzbudziła niespodziewana notatka w grudniowym komunikacie klubu. Głosiła ona, że na skutek anonimowej sugestii (podejrzewano młodszych członków), proponuje się sympozjum, czyli debatę. To już samo w sobie wystarczyło, by podnieść brwi licznych członków. Wielu zignorowało notatkę. Inni przeszli koło niej, niedowierzając własnym oczom. Rzecz była ogólnie uznana za niepotrzebną modernizację, obarczono odpowiedzialnością młodego, dopiero co mianowanego

sekretarza klubu (nie przekroczył jeszcze pięćdziesiątki). Nikt oczywiście nie wierzył w anonimową sugestię. Tym, którzy przeczytali dalszy ciąg notatki, można było wybaczyć chwilową utratę równowagi. Jej ostatni paragraf ogłaszał proponowany temat sympozjum: „Imigracja”. Prasa od dawna pełna była długich i często mozolnych artykułów o tym nowym dziwołagu społecznym.

Wielka Brytania od wieków przyciągała emigrantów z wielu krajów, zarówno europejskich, jak i innych. Cóż więc nowego? Ludność wysp wzrastała, ale liczebnie nie zauważono wielkich różnic. Aż tu nagle noworodek w postaci Unii Europejskiej, nikogo nie pytając, przewrócił znany i świetnie funkcjonujący, spokojny system imigracji. Nie mówiąc już o innych członkach Unii, z samej Polski przywędrowało na wyspy dobrze ponad pół miliona zdrowych, silnych i chętnych do licho-płatnej pracy młodych ludzi. Liczba ich ciągle rośnie.

Słysząc ich i widząc wszędzie. Są popularni, bo dobrze reperują dachy, świetnie dbają o ogrody, są mądrzy hydraulicznie, żaden system domowy nie jest im obcy, doskonale kelnerują, a nawet prowadzą kawiarenki z ciastkami.

Sympozjum, które w końcu rzeczywiście odbyło się w klubie, nie było poświęcone wyłącznie polskim imigrantom. Przeciwnie, chodziło o debatę czy Wielka Brytania może sobie pozwolić na zupełną wolność w podtrzymywaniu szlachealnych tradycji imperium. Niemniej, kiedy przyszło do cytowania aktualnych danych cyfrowych, Polacy pobili rekord. Nie tylko liczbowo. Nie było w debacie ani słowa krytyki. Krytyką nie obdarzono żadnej narodowości według angielskiego „fair play”, czy może, „political correctness”, według mody dnia dzisiejszego. Był dobry obiad. Wino było znakomite. Debata ciągnęła się przy kawie w pokoju klubowym. Padały argumenty za i przeciw. Nikt nie spodziewał się definitywnego rozwiązania, tak jak nikt takiego nie uważał za właściwe do przyjęcia. Zauważyłem w kącie siedzącego bardzo starszego pana, pewnie w tym samym wieku co fotel, w którym siedział. Biała dystygowana głowa, długie palce rąk, a w nich niepaląca się fajka, którą gestykulował, kiedy brał udział w dyskusji. Głos miał tubalny, akcent „public school”. Sylwetką przypominał generała z lat czterdziestych. Zaczął mówić. Reszta słuchała z respektem... „Nikt dziś nie zapytał, dlaczego tak się dzieje, że ci młodzi ludzie zamiast pracować dla swego kraju, przyjeżdżają tu, by zarabiać grosze”, zapytał. „To są przecież wnuki naszych najwierniejszych aliantów od 3 września 1939 roku... Jeśli ich kraj jest biedny i cierpi na brak pracy dla młodych, czyż nie mamy obowiązku pomóc im odbudować ich kraj? Żeby się historia nie powtórzyła”. Zakończył z westchnieniem, dodając pod nosem... „Europa im nie

da wiele. Jak słyhać z drugiej strony kanału, w brukselskim klubie nie wszyscy członkowie są równi”...

Głęboka cisza zakończyła sympozjum w klubie. Stary generał wstał z fotela. Obecni żegnali go wzrokiem, stojąc.

28.01.2007

## ŚNIEŻNA WIGILIA CZYLI PACIERZ NA MROZIE

„Bagatela — powiedział pan generał — szczupaka nie będzie! Za to kapusty w bród. No i na barszczyk z grzybami też trzeba będzie pocze-kać”. Taka była pierwsza wigilia na wolności. Tock, późna jesień i zima 1941 r. Dawny letni obóz ćwiczebny Kozaków Orenburskich, stacja na linii kolejowej Kujbyszew-Czkałow, goły step przecięty cienką rzeczką Samarką z urwistym jedynym zadrzewionym brzegiem od strony obozu. Ten obóz to miejsce postoju tworzącej się armii polskiej w Sowietach. Od stacji dobry kilometr puszystego śniegu po pas. Siarczysty mróz ja-koś podświadomie dogrzewany krwią pulsującą optymistycznie w ży-łach. Krótki dzień.

Idzie nas grupa do obozu, którego z drogi polnej nie widać, aż do wysokiej drewnianej bramy, a przy niej postać w fufajce i futrzanej cza-pie z biało-czerwoną opaską na prawym ramieniu. Za bramą mały drewniany domek-barak, gdzie meldować się mają nowi przybysze z wielu krańców tego olbrzymiego kraju. W łachmanach, w obuwiu wyciętym ze starych opon samochodowych, głodni, zmarznięci, starzy i młodzi, cały przekrój narodu. Namioty wojska wkopane, a raczej wlepione głęboko w zamarzniętą glinę, pokryte cienką warstwą namiotowego płótna, a na nim gruba warstwa zlodowaciałego śniegu. W środku każdego namiotu piecyk z cegieł opalany drzewem, a przy nim warta pilnująca, aby nigdy nie zgasł. Ani w dzień, ani w nocy. W duszy szczęście, że już na wolności, już znowu w polskim wojsku. Jesteśmy w 6. Dywizji Dzieci Lwowskich pod dowództwem gen. Michała Karaszewicz-Tokarzewskiego, któ-rego dopiero co wypuszczono z Łubianki. Bito go tam niemilosiernie, ale wyżył i był z nami w tę pierwszą wigilię na wolności. A było to święto podwójne: Zmartwychwstanie i wolność. Przywrócona do życia armia polska czuła na sobie jakby nadprzyrodzoną rękę przeznaczenia. Warunki były mniej ważne. Było święto. Jak powiedział pan generał, szczupaka nie było, ale były nieodzowne, dobrze zasuszone śledzie, któ-rych nie było czym popić, i równie nieodzowne „szczy”, czyli kapuśniak. Żyliśmy w tej mroźnej, śnieżnej kopercie w te niespodziewane święta na wolności, choć na obcej ziemi, ale z niczym nieopohamowaną nadzieją,

że biała koperta się otworzy i zaczniemy znowu bić Niemców. Mówiono już o przesunięciu armii polskiej na południe. Było to w 6 miesięcy po ataku Hitlera na Rosję.

Tak się złożyło, że jednym z nowo przybyłych oficerów, którzy dołączyli do 6. Dywizji był człowiek o przeznaczeniu — jak się potem okazało — wyjątkowym. Był nim malarz, można powiedzieć, poeta w rysunku, filozof, żołnierz i pisarz, Józef Czapski. Miał on w sobie wrażliwość na niedolę ludzką, pozytywne współczucie i uważał cierpienie za wyznacznik wiary, a ulgę daną komuś w cierpieniu, za tej wiary potwierdzenie. Spędził wśród nas te pierwsze święta na wolności. Po Starobielsku na Ukrainie, przez Pawliszczew Bór i, w końcu, Griazowiec nad Wołgą, skąd go wypuszczono na wolność 2 września 1941 r. Nie wiedząc wtedy o tym, przypadkiem czy cudem uniknął śmierci w Katyniu. Był jednym z niewielu. Znalazł się w Tocku w późnych dniach września 1941 r. i został tymczasowo przydzielony do Ośrodka Zapasowego Armii. Tu, z własnej inicjatywy, poparty przez gen. Tokarzewskiego, wyszedł na jaw jego instykt opiekuńczy.

Oto tuż przy wejściu do obozu w Tocku, ustawiono coś w rodzaju drewnianego pulpitu, a na nim położono szkolny sowiecki kajet. Nad pulpitem stał, zgięty wpół, bardzo wysoki i równie chudy Czapski i fioletowym sowieckim karandaszem wypisywał imiona i nazwiska nowo przybyłych żołnierzy, przyprowadzanych ze stacji kolejowej do obozu. Każdy z nich podawał dane — gdzie był, w jakim obozie, w jakim więzieniu czy na jakim posesiołku. Czapski, a z nim sztab, szybko się zorientowali w lukach ludzkich. Zaczęto szukać braków, zaczęto podejrzewać najgorsze. Wśród przybyłych brakowało oficerów, nie było prawie wcale oficerów zawodowych. Brakło wyjaśnień. Czy może ten kajet Czapskiego, wskazujący na braki w składzie Armii Polskiej w Rosji, był pierwszą listą nieobecności ofiar Katynia? Kiedy przeniesiono Czapskiego do Kujbyszewa na stanowisko szefa Wydziału Opieki, nie było wątpliwości, że dowództwo Armii Polskiej tym razem wybrało człowieka najbardziej powołanego do takiej funkcji.

Józef Czapski zmarł w Maisons Laffitte 13 stycznia 1993 r. Kiedy go odwiedzałem tam niedługo przed jego śmiercią, choć rozmowa już była trudna, na wspomnienie Katynia czy jego pokrywały się łzami... Kto był w Tocku w te śnieżne i mroźne święta 1941 roku, będzie je pamiętał na zawsze.

24.12.2006

## PRZY DWORZE ŚW. JAKUBA

Do Londynu ma przybyć wkrótce nowy ambasador R.P. w osobie pani Barbary Tuge-Erecińskiej, jak dotąd wiceministra spraw zagranicznych w warszawskiej centrali. Powiedzmy sobie od razu, że Ambasada R.P. w Londynie to wyjątkowa placówka. Wskazują na to nie tylko wielkiej wagi fakty historyczne od wczesnych lat polskiej niepodległości (1918), ale i głębokie, często dramatyczne zjawiska naturalne oraz wypadki polityczne, które z roku na rok podnosiły wagę tego urzędu aż do dnia dzisiejszego. Komu mogło przyjść do głowy w maju 2004 r., że w ciągu dwóch lat członkostwa Polski w Unii Europejskiej, Wielka Brytania osiągnie rekord (w porównaniu z innymi członkami Unii), w przyjęciu na swe łono wielu setek tysięcy młodych emigrantów z Polski. Jednych z optymizmem w szeroko otwartych oczach, innych z wyrazem, czasem przykrej, desperacji. Takie są fakty i one też składają się na wyjątkowość pozycji Ambasady R.P. w Londynie. Polityka polityką, dyplomacja dyplomacją, a gwałtowne tempo zmian na całym świecie zmusza do coraz bardziej intymnego zbliżenia państw i narodów. Ta intymność ma też swoje wymagania praktyczne. Stąd jeszcze jedna zasadnicza zmiana w dyplomatycznym curriculum.

Niech cytat z pamiętnika Edwarda Raczyńskiego, najdłużej piastującego stanowisko ambasadora R.P. w Londynie (1934–1945), posłuży za ilustrację. „Londyn, 20 grudnia, 1934. Od 1-go listopada 1934 jestem ambasadorem R.P. w Londynie. Niby awans i to znaczny i zaszczytny, ale mimo to jakoś mi kwaśno... Po niezmiernie ruchliwej pracy, obejmującej szeroki zakres zagadnień na stanowisku delegata Polski przy Lidze Narodów w Genewie, przejście na ciche wody placówki londyńskiej wydaje mi się jakby nominacją do Senatu... A jednak, gdyby tak być miało, to wina będzie wyłącznie moja, gdyż do zrobienia jest bardzo dużo. Dużo, ale inaczej”.

W cztery lata po napisaniu tego zdania, Polska, ale też — może po raz pierwszy — Brytyjskie Foreign Office (gdzie ministrem był Anthony Eden, ukochany pupil Winstona Churchilla), były zaniepokojone atakami niemieckimi na Polskę. W związku z tym ambasador R.P. miał już pełne ręce roboty. Zaczęły się rozmowy o pożyczce na zbrojenia Polski. W pięć lat po cytowanym wpisie w pamiętniku wybuchła wojna. Kiedy w roku 1945 ambasada R.P. przeszła w inne ręce, Raczyński miał znowu pełne ręce roboty, innego rodzaju, ale niemniej ważnej, w której nie ustał aż do śmierci w roku 1993.

Dyplomatyczna równowaga często wymaga przejścia do porządku nad niektórymi wypadkami historycznymi po to, żeby tę równowagę

utrzymać dla nowych pokoleń. Tu waga i powaga ambasady polskiej w Londynie ukażą się może w nowym świetle: dwujęzyczności dużej i ciągle rosnącej grupy jej podopiecznych. To już nie kwestia obywatelstwa, nie sprawa adresu, ale rzecz przynależności. Ale na to nie ma reguł. Nie ma przepisów. Jest tylko zrozumienie bliskości, może właśnie ta sama intymność pomiędzy narodami, swoboda i twórczość współzycia. Język porozumienia może jest nawet obojętny, byle myśl była zrozumiana a intencja jasna.

Nie mogę zakończyć tego tekstu bez podkreślenia radykalnych zmian, jakim podlegała Europa, a z nią Ambasada R.P. w Londynie i polska dyplomacja, w latach tuż przed wojną aż do teraźniejszości. Tak pisał Edward Raczyński w swoim pamiętniku pod datą 10 stycznia 1935 r.: „Polska jest nadal nad Tamizą mało znana i nie bardzo popularna. Uciły co prawda krytyczne w stosunku do niej wypowiedzi prasy brytyjskiej, domagające się ustępstw dla zaspokojenia niemieckiego rewizjonizmu. Te ustępstwa, to polityczny układ polsko-niemiecki, zawarty w Berlinie w styczniu 1934 r. z ważnością na 10 lat”.

Nikt dziś nie może powiedzieć, że Polska jest nieznana nad Tamizą. W 1944 r., to znaczy w 10 lat po tym układzie, który skończył się olbrzymim przelewem krwi Wielkiej Brytanii i Polski, została w dużej mierze wspólna przeszłość. I równie wspólna przyszłość.

26.11.2006

## APEL POLEGLYCH

Różne są drogi prowadzące do poznania i zrozumienia historii własnego narodu. Pierwsza i może najważniejsza, bo daje ziarna, z których kielkować ma nigdy nie kwestionowana świadomość narodowej przynależności, to — dom rodzinny. Druga, równie ważna — kiedy świadomość przechodzi w wiarę. Trzecia, nie mniej ważna od dwóch poprzednich, to cementowanie świadomości i przynależności.

Elementem obejmującym jakby ramionami poznania wszystkie te trzy drogi, jest język rodzinny. Język, w którym łączą się przeżyte i zrozumiane doświadczenia na temat praw codziennego życia. Wszelkich wzlotów i upadków, wszelkich osiągnięć, wszelkich strat, wszelkich zwycięstw i wszelkich porażek. Mówimy często, że strat nie ma, że cena przelanej krwi, sama w sobie, musi być ceną płaconą za wolność narodu, za jego niepodległość, za jego siłę i za to, że porwał się w obronie najświętszych praw wolnego człowieka. Bo dla niego wolna ziemia, jego ojcowizna i na bieżąco ojczyzna, jest jedyną podstawą jego tożsamości.

Dziś więc, każdy apel poległych to hołd oddany tym, którzy krew przelali do ostatka i tym, którzy bez wahania podjęli walkę z wrogiem. Wszędzie tam, jak świat długi i szeroki, gdzie wróg czyhał. Dziś apel poległych nie jest już tylko apelem tych, co zginęli, czy zmarli w niewoli, ale też apelem tych weteranów, specjalnie na obczyźnie, którzy stojąc pod pomnikami poległych w boju kolegów, jeszcze pamiętają ich twarze, słyszą ich głosy, bo ginęli oni stojąc, obok nich. Oni nie polegli — aby pamiętać i aby uczyć, tych którzy przyszli po nich, synów, córki i wnuków. Apel poległych jest dla nich, bo może nie zdążyli, albo nie mieli warunków by przejść te trzy drogi, o których mowa wyżej.

Minęło 60 lat od zakończenia drugiej wojny światowej i 88 lat od zakończenia pierwszej, po której ówczesni moiżni tego świata uroczyste postanowili w Paryżu w roku 1918, że więcej żadnej wojny w Europie nie będzie. Dziś więc apel poległych niech obejmie i tych, którzy zginęli w tej pierwszej wojnie. Bo w tym leży sens każdego apelu poległych: nigdy więcej.

Jest też w tym jeszcze inna droga do poznania i zrozumienia wartości apelu. Oto, tu na obcej ziemi, rosną nowe pokolenia Polaków i Polek, dla których zarówno poznanie, jak i zrozumienie historii ich narodu może napotkać na trudności. Są sprawy, których przyjęcie wymaga przynajmniej częściowego przeżycia. Dom rodzinny, szkoła, książka, opowiadanie dziadka czy babki musi być odczute. Niestety, recepty na to nie ma. Ale każda sekunda skupienia w czasie apelu poległych, w każdym języku i w każdym otoczeniu, to jedna krótka myśl, która nie ucieknie. A jeśli tymczasem ucieknie — to wróci, bo taki jest porządek rzeczy ludzkich.

A więc, w gruncie rzeczy, chodzi o pamięć. O ten jeden krótki moment skupienia, kiedy pamięć prowadzi do panoramy szybkich jak w locie ptaka obrazów innych ludzi. Nie ma ich już wśród nas, ale żyją w iskrowych błyskach na ekranach naszej pamięci. I tam zostają. Nie tylko do następnego apelu poległych. Nie tylko do następnej rocznicy, nie tylko do następnego rozdziału historii, ale do coraz głębszego ugruntowania się w pamięci.

Nie tylko pamięć, ale pamiętanie jest więc najprostszą drogą do poznania i zrozumienia prawdy, że historia narodu polskiego, przeszłość, terażniejszość i przyszłość taka, jakiej naród pragnie, była, jest i będzie zawsze naznaczona walką o jego tożsamość.

29.10.2006

## JAŚ I MAŁGOSIA

Czysty język polski spod białego czepka to radość dla ucha i oka. A jeszcze kiedy widać spod tego czepka niebieskooką blondynkę z rumieńcami na policzkach, na których świeżej młodości nie zadrasnęło jeszcze życie — to czysty optymizm na przyszłość. Jeśli dodać do tego, że i blondynka, i czeppek, a przede wszystkim młodzieńczy uśmiech, to panienka za ladą „gastro-pubu” lub kelnerka w restauracji londyńskiej City, to dziś jeszcze duże zdziwienie. Mimo tysięcy młodych rodaków, o których piszą angielskie pisma, to jeszcze ciągle zdziwienie, ale zdziwienie dla nas radosne. Dla mieszkańców tego kraju to nie egzotyka, a uśmiech nie tylko przychylny, ale też atrakcyjny. Uśmiech innego rodzaju, bliższy, może szczerzy, wesoły i optymistyczny. Jaś i Małgosia, i wszyscy ich rówieśnicy, to chodzący po ulicach Londynu i innych miast na wyspie, optymizm, wiara w lepszą przyszłość i ambicja jej zdobycia. Jaś i Małgosia uczą się języka i myślą o powrocie. Język nabyty praktycznie ma inną wagę niż wykuty z podręcznika. Do niedawna mieszkali w ładnym małym domu pokrytym czerwoną dachówką, z rodzicami, z babcią i dziadkiem, gdzieś w nadwiślańskim kraju. I do tego domu chcą wrócić z nowym językowym kapitałem.

Krótką jest radość Jasia i Małgosi, kiedy czyta się w prasie — głównie brytyjskiej (sprawa może dla nas wstydliva?...), że nie wszyscy ich rówieśnicy nabierają praktycznych kunsztów, ani nawet nie pracują praktycznie w zawodach budowlanych i kanalizacyjnych, ale często spać muszą pod mostem, czy w krzakach w londyńskich parkach, czy jeszcze gorzej, na ulicach, w bramach, na stacjach kolejowych i autobusowych. Tu radość zmienia się w złość. Dziwne to uczucie. Jeśli Anglik lub Hindus, czy Pakistańczyk, czy nawet Włoch, czy Francuz śpi pod mostem czy w krzakach, to jego sprawa, bo nie musi, ale tak chce. Ale jeśli rodak, który przyjechał z wolnego kraju, w którym nic mu nie groziło, nie ma podstawowych warunków do cywilizowanej egzystencji, to zakrawa na karykaturę europejskiej odpowiedzialności cywilnej, tej, o której tak wiele pieje ciągle urzędnicza biurokracja rzekomo zjednoczonej Europy. Anglik, Hindus, Pakistańczyk, Włoch czy Francuz, mają zawsze dojsście do społecznego talerza zupy i łóżka w hostelu. A rodak? Może ma, ale jest zbyt dumny. A może problem sięga samej Brukseli?

Unia Europejska nigdy nie przewidziała rozmiaru ruchu ludności z krajów biedniejszych do krajów bogatszych Unii. Unia Europejska co tydzień ogłasza w druku w olbrzymim nakładzie dekrety i rozporządzenia dotyczące tak ważnych spraw jak spożycie marchewki we Francji, czy cukru we Włoszech. I wyznacza niezwykle dokładne rozmiary tego



spożycia, jak też ich ceny. Ale nikomu — jak się wydaje — nie przyszło do głowy, że nim Unia wyśle miliony do głodnej Afryki, może znajdzie chwilę na ustawienie norm obowiązujących kraje bogatsze w stosunku do emigracji z krajów mniej bogatych. Może znajdzie się jakiś względnie dalekowzroczny działacz Unii, który zarządzi specjalny, natychmiastowy dekret o obowiązku oryginalnych członków Unii szerokich inwestycji w nowych krajach członkowskich. Zdawałoby się rzecz logicznie prosta, łatwa i chyba nie przedstawiająca wielkich trudności politycznych. Bo pozytywna dla wszystkich zainteresowanych.

Daj Boże Jasiowi i Małgosi, i daj Boże tym, którym się nie bardzo udało emigracja na Zachód mlekiem i miodem karmiony. Dziś Zachód ma wszystkie te same problemy co Wschód, ale w innej skali. Tylko o tę skalę chodzi. W niedoszłej — szczęśliwie — tzw. konstytucji Unii, mówiono wiele o równości, ale zapomniano dodać w nawiasie komentarz o tym, co to jest równość. Poza prawem, które obowiązuje nas wszystkich równo, jest jeszcze cała lista praw społecznych. Na przykład praw chrześcijańskich. No i znowu ta skala...

22.10.2006

## VERBATIM

Nauka polska ma od lat dobre imię w szerokim świecie — zarówno humanistyka, jak nauki techniczne i matematyczno-przyrodnicze. Cieszyła się tą dobrą opinią i nigdy nie przestała dbać o swoje dobre imię, zwłaszcza w naukach ścisłych i technicznych, gdzie język przedmiotu nie wymagał tłumaczy. Był w cyfrach, równaniach i znakach chemicznych, pierwiastkach i wyrażeniach znanym fizykom, chemikom, mechanikom i matematykom na całym świecie. Humanistyka wymagała przekładów językowych, niemniej uzyskała cztery literackie Nagrody Nobla.

Świetna pozycja nauki polskiej została osiągnięta, w dużej mierze, przez administrację państwową, rozumiejącą jej potrzeby zarówno teraźniejsze, jak w przyszłości, ale też, w niemałej części, dzięki ofiarności szerokiego wachlarza społeczeństwa. Było jakby przyjęte, że nauka miała pierwszeństwo w długiej litanii potrzeb społecznych. Zasobów Polska międzywojenna nie miała wiele. Kto mógł, dbał o naukę, bo za nią stał dobrobyt kraju, jego siła obronna, jego pozycja w świecie.

Darczyńców o szerokim widnokregu i zrozumieniu potrzeb było wielu. Różne były losy ich samych i fundacji czy organizacji, którym dali swoje imię i mienie. Dziś zwrócił moją uwagę jeden z nich. Jak wynika z dokumentów z okresu po drugiej wojnie światowej, wymaga

on co najmniej przypomnienia, jeśli nie wznowienia akcji, by stał się on pierwszym z wielu na liście reaktywowanych. Nauka polska dziś, tak samo jak w pierwszych latach dwudziestych poprzedniego wieku, ma wielkie potrzeby. Co więcej, zasługuje na to, żeby się tymi potrzebami poważnie zająć.

Cytując verbatim z dokumentu: „W dniu 30 października 1924 r. aktem notarialnym została utworzona fundacja pod nazwą «Fundacja Smogulecka imieniem Bogdana Hutten-Czapskiego»”. Majątek Fundacji stanowiła nieruchomość o powierzchni 2683 ha, położona w miejscowości Smogulec. Celem jej było dostarczenie Uniwersytetowi Warszawskiemu i Politechnice Warszawskiej środków na popieranie nauki polskiej. 30 października 1930 r. Fundacja została potwierdzona rozporządzeniem Prezydenta RP w Dzienniku Ustaw. Fundacja realizowała swoje cele aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Dekretem PKWN z 6 września 1944 r., majątek Fundacji przejął skarb państwa. Dekret z dnia 24 kwietnia 1952 r. potwierdził zniesienie wszelkich fundacji. Tym samym, Fundacja Smogulecka przestała istnieć. Ten sam dekret przewidywał przekazanie majątku fundacji właściwemu ministrowi, by mógł on «przekazać w zarząd i użytkowanie zakładom i instytucjom, których działalność realizuje te same lub podobne cele jak zniesionych fundacji». Ten punkt dekretu nie został, o ile wiadomo, zrealizowany do dnia dzisiejszego”.

Dokument, z którego cytuję, nosi datę 13 stycznia 1993 r. Rzecz, zdawało by się, prosta. W nowych warunkach, z nowym rządem w Polsce, chyba nic łatwiejszego niż dekret Prezydenta RP, anulujący zniesienie tych fundacji — w pierwszym rzucie tych, których cele są jasne, jak na dłoni. Ani partyjno-polityczne, ani wymagające wkładów finansowych poza odszkodowaniem za ewentualne zniszczenie majątku Fundacji, i wyłącznie — w tym wypadku — dla dobra dwóch może najpoważniejszych instytucji naukowych w Polsce, czyli Uniwersytetu Warszawskiego i Politechniki Warszawskiej. Co wrzesień, chmary młodych pędzą do tych uczelni, by zostać ich uczniami. By zostać studentami z przyszłością. Przyszłością swoją, indywidualną i przyszłością nauki polskiej. Jest jeszcze drugi, równie ważny sens takiego prezydenckiego dekretu. Żyjąc i pisząc te słowa w Londynie, trudno nie wspomnieć młodzieży polskiej emigrującej za chlebem na Zachód. Słyszymy, że Polska woli, żeby nie wyjeżdżali, żeby zostali uczyć się i pracować w kraju. Też racja. Ale jak? Uczelnie mają swoje ograniczenia, tak samo jak ma je państwo. Każdy dodatkowy dochód z reaktywowanej fundacji może zwiększyć studencką pojemność tych uczelni i, w rezultacie, zmniejszyć atrakcję emigracji za chlebem na Zachód.

8.10.2006

## ALIANCI I ALIANCI

Braterstwo broni różnymi chodzi czasem drogami. Z rocznic, które przynosi szeroko rok 2006, może należy wspomnieć jedną, by jej nie zapomnieć, gwoli historycznej dokładności. Oto 60 lat temu, 7 kwietnia 1946 roku, czyli niemal rok po zakończeniu działań wojennych w Europie (12 maja 1945), wyszedł w Londynie pierwszy numer tygodnika „Wiadomości” pod redakcją Mieczysława Grydzewskiego. Wypełnił on lukę w poważnym piśmiennictwie literackim i politycznym wśród emigracji zachodniej. Stało się to możliwe dzięki dotacji rządu polskiego w Londynie. Luka powstała z dniem 12 lutego 1944 r., a więc w decydującym momencie wojny, kiedy brytyjskie ministerstwo informacji uznało londyńskie „Wiadomości Polskie” za szkodliwe dla alianckiej jedności i wstrzymało pismu przydział papieru, odbierając mu jednocześnie zezwolenie na druk. Takie były wojenne przepisy kontroli wydawnictw. Jest to szczególnie ważny, jeśli przypomnieć tło polityczne. Aby je przypomnieć, trzeba się cofnąć.

Londyńskie „Wiadomości” (1946–1981) były kontynuacją słynnych w Warszawie „Wiadomości Literackich” (1924–1939), „Wiadomości Polskich” (Paryż–Londyn 1939–1944), z tej samej stajni literackiej co poetycki „Skamander” (Warszawa, 1920–1928 i 1935–1931) i w języku francuskim „Pologne Littéraire” (też w Warszawie, 1926–1936). Ogólnie, wydawnictwa te skupiały najświetniejsze pióra polskie okresu dwudziestolecia: poetów, pisarzy, tłumaczy literatury obcej, komentatorów politycznych, a także krytyków literatury, teatru i sztuki. Nie miały w gruncie rzeczy żadnej specyficznej barwy wewnętrzno-politycznej, poza liberalizmem w prawdziwym tego słowa znaczeniu, opartym na wolności słowa i absolutnemu oddaniu temu, co najlepsze w polskiej literaturze, sztuce i kulturze. W ówczesnej atmosferze dwudziestolecia, „Wiadomości Literackie”, jako czołowe pismo intelektualne, uważane były za konserwatywne i zbliżone do obozu Piłsudskiego. Nie szędziły temu obozowi krytyki (ani dosadnej satyry) wtedy, kiedy wymagała tego polska racja stanu. Dodać tu trzeba absolutnie bezkompromisowe stanowisko pisma co do granic Polski, zarówno zachodniej, jak i wschodniej. I równie bezkompromisową postawę w stosunku do wolności słowa i opinii, w ramach kurtuazji w polemikach, dobrych manier pisarskich, jasnego i czystego języka, a nade wszystko, dobrego i rzetelnego piarstwa. Jednym z ulubionych chwytów redaktorskich redaktora Mieczysława Grydzewskiego było umieszczanie na pierwszej stronie „Wiadomości Literackich” obok siebie dwóch artykułów dwóch zupełnie sobie przeciwnych autorów, kolidujących ze sobą w swoich argumentach

politycznych. Prowokowany w ten sposób bujny plon listów do redakcji był zwykle rezultatem tych kolizji, niekiedy ciągnącym się w długie polemiki. Było to pismo pełne tętna życia kraju i w dużym stopniu było zwierciadłem jego intelektualnych osiągnięć i ambicji. „Wiadomości”, jak je nazywano potocznie i skrótowo, były, pomimo specyficznego poziomu, szeroko czytane i omawiane. Każdy czwartek, kiedy pismo się ukazywało, był dniem odkrycia albo nowego talentu poetyckiego, albo nowego felietonu znanego autora. Nigdy nic nudnego.

Późną jesienią 1939 roku, w Paryżu, niewiele się zmieniło poza tytułem. Przy pomocy rządu gen. Władysława Sikorskiego powstały „Wiadomości Polskie”. Redaktorem „in nomine” został Zygmunt Nowakowski, redaktorem „in re” pozostał Mieczysław Grydzewski. Rząd polski wówczas tolerował tzw. „piłsudczyków” jako zło konieczne, ale nie lubił o nich wiele mówić. Grydzewski był uznawany przez wszystkich członków nowego rządu za wybitnego specjalistę w swoim zawodzie. Nie musieli się niczego obawiać. Była wojna o Polskę na śmierć i życie. Zgodnie z przedwojenną tradycją, „Wiadomości” stały na swoim miejscu w szeregu. Tylko polska racja stanu była ważna. Wszystko inne było mniej ważne. „Wiadomości” stroniły od walk i polemik polskich partii politycznych na Zachodzie. Walka była o sprawę polską, zawsze i wszędzie.

„Wiadomości”, jak to starano się wytłumaczyć Brytyjczykom, nie były antysowieckie, a wyłącznie pro-polskie i, tym samym, pro-alianckie. Starano się też wytłumaczyć Brytyjczykom, nawet w parlamencie, że Polakom nigdy nie chodziło o psucie alianckich stosunków, a o pokazanie sowieckiej przewrotności, której mogą łatwo paść naiwną ofiarą w niedalekiej przyszłości. Brytyjski rząd miał swoje racje. My swoje. Historia potoczyła się kołem. Czy Jałta miałyby inny rezultat? Pewnie nie. Niemniej, epizod warto pamiętać. Jak powiedziano wyżej — gwoli prawdy historycznej.

20.08.2006

## „POKOLENIE POLITOLOGÓW”

Z końcem drugiej wojny światowej powstał, chyba z nadmiaru komentatorów, reporterów, rzeczoznawców i strategów analityków, nowy zawód — polityka. Przed wojną było jasne, że ślusarz był ślusarzem, architekt — architektem, lekarz — lekarzem, inżynier mechanik — inżynierem mechanikiem i że żaden z nich nie był politykiem, choć mógł być członkiem partii politycznej i interesować się polityką swego kraju, czy

swego związku zawodowego. Było nawet przyjęte, że brał czynny udział w głosowaniach, ale nie był politykiem, bo żył ze swego zawodu ślusarza, lekarza czy inżyniera. Skąd się to wzięło, że dziś bez względu na zawód — albo przeważnie jego brak — parlamenty i niezliczone instytucje doradcze, komisje i sekretariaty, są pełne zawodowych polityków? Jak się można do takiego zawodu dostać? Czy wystarczy matura, czy trzeba coś więcej? Czy trzeba posiadać jakieś specjalne kwalifikacje? Czy trzeba zdawać egzaminy? Jakie trzeba mieć poparcie i skąd? A co najważniejsze — jakich cech charakteru i znaków szczególnych wymaga zawód polityka?

Jest ich pełno w środkach przekazu informacji, w dziedzinach tak zdawałoby się odrębnych, jak szkolnictwo, sport i służba zdrowia. Niemal każda aktywność nosi na sobie bagaż polityczności, a więc jest politycznie dobra i wskazana, albo politycznie szkodliwa. Dla kogo? Jeśli się umówimy, że polityka to celowa działalność dotycząca głównie stosunków między warstwami społecznymi, państwami i narodami, związana z walką o zachowanie lub zdobycie władzy państwowej, jako narzędzia regulacji tych stosunków, albo określona część programu lub kierunek tej działalności, to dobrze. Niemniej, głównym podmiotem polityki jest państwo. Właściwa interpretacja tego założenia to dwuizbowy parlament, rząd wyłoniony przez parlament, opozycja i urzędniczy aparat państwowy. Gdzie w tej koncepcji miejsce dla rzekomych rzeczoznawców, komentatorów, ekspertów i nieakredytowanych nigdzie reporterów czy legionu „doradców politycznych”, opiniodawców i artystów w kreowaniu intencjonalnych przepowiedni politycznych?

W tym, co napisałem powyżej, pomiąłem, z całą świadomością, prawnie i legalnie ukonstytuowane partie polityczne, jedyne realne i przyjęte organy każdej akcji politycznej, której zarządy i administracje są przedmiotem znanym i wybranym przez elektorat społeczeństwa. Nie dotyczy to wyżej wymienionych kibiców na politycznej scenie. Powstaje pytanie, to jaki jest — i czy jest — związek pomiędzy politycznością a służbą publiczną nie opartą na partiach politycznych? Pokróćce, jaka jest — i czy jest — różnica pomiędzy zawodowym politykiem, kibicem i mężem stanu?

Odpowiedź przyniosła mi pamięć. Oto 30 lipca tego roku minie trzynasta rocznica śmierci Edwarda Raczyńskiego, ambasadora, ministra spraw zagranicznych, prezydenta RP, członka Rady Trzech, męża stanu i nigdy — partyjnego polityka. Może ktoś powiedzieć: nie było wtedy parlamentu w ścisłym tego słowa znaczeniu. Tak. Ale były partie polityczne zagranicą, we właściwym tego słowa znaczeniu. Raczyński wszystkie te różnice świetnie rozumiał i umiał je stosować w praktyce.

Z przekonania był klasycznym liberałem, nie działaczem politycznym, nie członkiem żadnej partii, jedynie oddanym opiekunem polskiej racji stanu, wszędzie tam gdzie wymagała ona opieki, to znaczy zawsze i wszędzie.

Inne dziś czasy. Na szczycie piramidy państwowej stoi wybrany partyjny polityk. Obok niego i dokoła niego są różne warstwy różnego pokroju partyjnych polityków.

Czy jest gdzieś puste miejsce dla męża stanu, który patrząc na amfiteatr polityczny swego kraju, odejdzie na chwilę od bieżącego trybu, odrzucając cienie i rzucając snop światła w przyszłość?

21-23.07.2006

## DYPLMATYCZNA SZACHOWNICA

Kiedy w latach trzydziestych ubiegłego wieku Jan Lechoń (Leszek Serafinowicz), świetny poeta i skamandryta, był attaché kulturalnym w ambasadzie polskiej w Paryżu, było dla wszystkich jasne, że jego głównym zadaniem było robić dobre wrażenie. Wprawdzie mówił fatalnie po francusku, ale robił to z olbrzymim wdziękiem. O to właśnie chodziło. Był miły, układny, sypał dowcipami i miał opinię słowiańskiego poety, co samo w sobie miało romantyczny urok. W tym też czasie ukazała się na warszawskich scenach sztuka Jarosława Iwaszkiewicza „Lato w Nohant”, o romansie Szopena i George Sand, szybko przełożona na język francuski. Niezależnie od tego filar francuskiej polonistyki na Sorbonie, prof. Paul Cazin, promował jak i gdzie mógł literaturę polską. Nie tylko napisał i wydał po francusku historię literatury polskiej, nie tylko ją wykladał i jej utwory przekładał; zdobył się też na opracowanie gramatyki polskiej dla Francuzów. Jak się wkrótce okazało jednak, Jan Lechoń jako attaché kulturalny, nie tylko robił dobre wrażenie. Bo oto w swoim mieszkaniu w Paryżu gromadził prof. Cazin francuskich pisarzy, dziennikarzy, publicystów i wydawców, tak jak malarzy, rzeźbiarzy, grafików i uwiedzionych polskim romantyzmem poetów. Sprowadził Iwaszkiewicza, który mówił świetnie po francusku, kochał francuską poezję i grał Szopena na fortepianie, a wreszcie — przygotował swoją sztukę o Szopenie „Lato w Nohant” do jej wystawienia w Paryżu. Kiedy mieszkał tam i z wielkim powodzeniem koncertował Artur Rubinstein, był częstym gościem u Lechonia. Polski parnas artystyczny był częścią wielkiego życia towarzyskiego Paryża. Także aktywna na tym parnasia była osoba Rosy Bailly, znakomitej tłumaczki literatury polskiej na język francuski, jej wiernej (aż do lat powojennych) orędowniczki

i pisarki współpracującej z „Wiadomościami Literackimi” w Warszawie i londyńskimi „Wiadomościami” w czasie i po wojnie. Lechoń nie był dyplomatą, ale był wyrazem klasycznej sztuki dyplomatycznej, jaką wykazali zawodowi dyplomaci, powierzając mu paryską placówkę kulturalną. Lechoń stworzył w Paryżu polsko-francuskie środowisko literackie i artystyczne. Jak można to porównać do dzisiejszej sieci polskich instytutów kultury w krajach zagranicznych? Środowisk nie tworzy się przez urzędnicze instytuty. Środowiska artystyczne tworzą artyści. Biura nie są do tego potrzebne.

Mamy tu dwa wyraźne argumenty: jeden za propagandą sztuki przez artystów, a drugi za przyznawaniem klasycznej sztuki dyplomatycznej wyłącznie zawodowym dyplomatom a nie partyjnym politykom. Kolidują sztuka a urzędem jest jasna i nie wymaga komentarza. Argument drugi to sprawa zasadnicza, historyczna, tradycyjna i... polityczna, choć tym ostatnim być absolutnie nie powinna. Dyplomatów się kształci i wychowuje. Tak jak w zawodowej armii. Bo w swojej istocie i założeniu dyplomata jest niczym armia. Musi być niezależna od polityki. Od polityki jest rząd i parlament. Dyplomacja, tak jak armia, stoi na straży państwowej racji stanu. Reprezentuje głowę państwa i państwo. Wolno jej, rzecz prosta, mieć poglądy polityczne, ale w milczeniu. Kolidują pomiędzy nie milczącym dyplomatą a partyjnym politykiem jest tak oczywista, że nie potrzeba specjalnego alfabetu na jej zrozumienie. Dlatego ostatnio opublikowane szeroko w prasie ruchy na dyplomatycznej szachownicy w pałacyku polskiego ministerstwa spraw zagranicznych przy ulicy Foksal w Warszawie, rzucają się tak jaskrawo w oczy. Odwołanie ryczałtem jedenastu ambasadorów z różnych stolic, ważnych i mniej ważnych, to szok dla systemu i szok dla dyplomatycznego kunsztu. Znowu sztuka cierpi. Jak wynika z publikacji prasowych, celem tego nie dyplomatycznego manewru są wątpliwości co do partyjno-politycznej przeszłości odwołanych dyplomatów. A więc jeszcze jeden gwóźdź do trumny klasycznej sztuki niezależnej dyplomacji.

Wracając pamięcią do przedwojennego Paryża i też Londynu, gdzie po wojnie, choć nieoficjalnie, podobne — tym razem polsko-angielskie — środowisko artystyczno-literackie powstało w pracowni „pod mostem” Feliksa Topolskiego, oparte na jego pracach jako świetnego malarza, rysownika i grafika i na jego osobowości, trudno się oprzeć porównaniom. Sztuka i dyplomacja mają wiele wspólnego. Między innymi to, że i sztuka, i dyplomacja są zwierciadłami dyscypliny myśli człowieka. W momencie, w którym dyscyplina się potknie o partyjno-polityczną zależność, straci profesjonalną wolność.

30.06.2008

## PAMIĘĆ SZUKA FAKTÓW

Albo odwrotnie: fakty szukają pamięci. Z nich wyłaniają się niemal ciągle żywe sylwetki tych, którzy na naszych oczach — czy może raczej oczach naszej pamięci — byli tych faktów autorami. Nie tylko lubimy rocznice, lubimy też wspomnienia faktów i ich autorów, bo na nich rośnie historia. Pisząc o tej olbrzymiej kolekcji faktów i ich autorów w związku z rocznicą 65 lat istnienia „Dziennika” i 45 lat istnienia „Tygodnia”, szukając nowych śladów ich działalności w olbrzymim materiale archiwalnym, znajduję wiele wartych zacytowania rodzyneków. Świadczą one o niemal intymnej łączności londyńskiej emigracji z tymi wydawnictwami. Moja znajomość z „Dziennikiem”, która przeszła w dogonną przyjaźń, zaczęła się w roku 1943, w Initial Flying Training Wing w stacji RAF Hucknall, koło Nottinghamu. Od pierwszego wydania „Dziennika”, z datą 12 lipca 1940 roku. W jednym z pierwszych numerów, autor tygodniowego felietonu pisał: „...napływo-wa Polonia londyńska zna się, jeśli nie z nazwiska, to z widzenia”. Ton tych pierwszych numerów nie zmieniał się tak długo, jak długo trwała wojna. Tu rządili trzej wysokiego kalibru publicyści polityczni: szpizowy Zygmunt Nowakowski, bezkompromisowy głos Polski walczącej, Stanisław Stroński, współpracownik gen. Władysława Sikorskiego, minister informacji i precyzyjny polityk prawicy oraz Aleksander Bregman, rasowy dziennikarz starej szkoły, operujący faktami. To byli ci, którzy przepowiadali nie tylko wyniki dziejących się na „radiowych oczach” działań wojennych, ale co więcej, przepowiadali ich rezultaty. Często nie widząc różnicy pomiędzy faktami a fantazją. Jeśli swoje przepowiednie czasem zabarwiali pozbawionym wstydu optymizmem, nikomu to nigdy nie zaszkodziło. Raczej odwrotnie. Psychicznie pewnie pomogło. Nierzadko też dawali rady naszym aliantom co do strategii i planowania dalszych akcji. Byli też inni publicyści wysokiej miary, tacy jak Stanisław Cat-Mackiewicz, rubaszny i niewstrzemięźliwy krytyk wszystkiego i wszystkich, który swój indywidualny bunt radykalnie podsumował, kiedy jako premier rządu londyńskiego poleciał do Warszawy, licząc na udział w formowaniu „właściwej” polityki tamtejszego rządu. Londyn uważał to za zdradę. Historyk, generał, pisarz, polityk, minister — Marian Kukiel — miał wielki dar uczonego w drobiazgowości, jaką poświęcał swoim uroczystym artykułom z okazji wszystkich patriotycznych rocznic. Od Legionów Dąbrowskiego i Legionów Piłsudskiego, do powstań Styczniowego i Listopadowego, Kosynierów Kościuszki a wreszcie Traktatu Wersalskiego i wszystkich błędów, które z niego wynikły. Nie sposób pominąć tu dwóch braci Zbyszewskich — Karola,



w swoim czasie redaktora „Dziennika” i Wacława Alfreda. Para różna w charakterze, ale dziwnie sobie bliska w traktowaniu świata i ludzi, zwłaszcza polityków, z ironią bliską ostrej satyrze. Karol przeszedł do historii emigracji jako „Tylon”, jak podpisywał swoją ciętą, piątkową kolumnę plotek towarzyskich, politycznych i osobistych. Myśląc o satyrze, w pamięci starych emigrantów londyńskich zostanie na zawsze Marian Hemar. Mówiono w londyńskim „Ognisku”, gdzie królował on i jego teatr i gdzie skupiało się przez wiele lat życie towarzyskie, polityczne i literacko-artystyczne emigracji, że Hemar był jej zwierciadłem. Hemar, żołnierz Brygady Karpackiej, był atrakcją „Dziennika” nie tylko z powodu humoru, bystrości z jaką się przyglądał polskiej wizji i jej rzeczywistości, nie tylko z tytułu fraszek, ale z żyłki przedwojennego rytmu życia i temperamentu w świecie literackim. Było tych „dziennikowych” luminary, pisarzy okolicznościowych i poetów, rzecz prosta, wielu. Wymieni ich wszystkich, na pewno, w przyszłości obfita biografia pisma z fotografiami i znakami szczególnymi.

W swojej świetnej książce „Mieszkam w Londynie” (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1994), tak notowała Stefania Kossowska: „...Przemówienia. Przemówienia. Jeśli który z polskich dygnitarzy wyjątkowo nie przemawia albo nie wydaje orędzia, to chociaż wysła depeşe albo otrzymuje depeşe, o czym „Dziennik” musi natychmiast zawiadomić naród... Zygmunt Nowakowski pamiętał, że w najgorętszym czasie którejś ofensywy, w „Dzienniku” wypełnionym urzędowymi oświadczeniami, ukazała się notatka: «Z powodu braku miejsca komunikat wojenny podamy jutro...»” Wojna się już dawno wprawdzie skończyła, ale co się zmieniło? Prasa codzienna ma wiele wspólnego z pokarmem. Karmi informacją, ale nie narzuca smaku. Właściwie nie narzuca. Można informację przyjąć, albo ją odrzucić. Ale bez niej zostaje niesmak, że dzieje się coś za naszymi plecami. Zostajemy gdzieś poza nawiasem. Zwłaszcza tam, gdzie w grę wchodzi twórczość literacka. Informacja to wprawdzie jeszcze nie wiedza, ale to już tylko parę kroków... Myślę, że takie albo im podobne uwagi można zastosować do idei znakomitej, cotygodniowej „Środy Literackiej” w „Dzienniku”, której pierwszym redaktorem był poeta Stanisław Baliński, a jego następcą pisarka, Stefania Kossowska. Na terenie emigracji „Środa Literacka” miała specyficzny charakter. Z jednej strony dbała o przypomnienie niedostępnych tu polskich dzieł literackich i informacji o współczesnej literaturze krajowej, a z drugiej, udostępniała czytelnikom twórczość emigracyjną. Zadanie nie lada na cienkich stroniczkach „Dziennika”. Tym większa zasługa. Tym większa radość z nowej twórczości emigracyjnej. Nade wszystko, karmiła nie tylko emigrację, ale — w jakimś tam

zakresie, o którym kiedyś opowie następny rozdział rocznicowej historii — tak jak „Dziennik” i „Tydzień” od 65 i 45 lat, karmiła kraj.

19-21.05.2006

## DZIEDZICTWO KULTURY

Cóż jest bardziej stałego w narodowej historii niż piękna chrześcijańska tradycja dzielenia się tym, co się posiada ze społeczeństwem kraju, do którego się należy? Jest to tradycja zachodniej cywilizacji, oparta na potrzebie utrzymania postępu wiedzy, gromadzenia zabytków historycznych, utrwalenia świadectw istnienia narodu i państwa, podtrzymania, w czasach dobrych i złych, żywej tożsamości jego obywateli. (Polska nie jest jedynym narodem na świecie, dla którego ta tradycja jest ważna. Ale Polska, dzięki swojej historii i swojemu położeniu w Europie, miała i pewnie w dalszym ciągu ma, wszelkie powody ku temu, by dać jej konkretny wyraz wszędzie tam, gdzie istnieje tego potrzeba. W roku 2006 nie ulega wątpliwości, że potrzeba taka istnieje.)

Polska weszła w nową erę swojej bujnej historii. Jest dziś członkiem wielkiej wspólnoty europejskiej, gdzie — praktycznie rzecz biorąc — znikły mury graniczne, i w której jej obywatele mogą się dowolnie poruszać. Gdziekolwiek by się w tej Europie znaleźli, a nawet poza nią, będą siłą rzeczy reprezentować wiedzę i doświadczenie nabyte w swoim kraju. I na podstawie tej reprezentacji będą szacowani. A z nimi, szacowany będzie naród. Wracam do tradycji dzielenia się posiadanym dobrem, o czym wyżej.

Narzuca się jeden ze szczególnych przykładów, w postaci Fundacji Smoguleckiej Bogdana Hutten-Czapskiego (1851–1937), obywatela ziemskiego, dziedzica klucza majątków smoguleckich w zachodniej Polsce i członka zasłużonego kulturze polskiej rodu, kreatora Fundacji Smoguleckiej na rzecz Uniwersytetu Warszawskiego i Politechniki Warszawskiej. Dobra smoguleckie znajdują się w województwie bydgoskim; majątek Smogulecka Wieś należy do powiatu szubińskiego a całość dóbr smoguleckich należy do powiatu wągrowieckiego. Z innych wybitnych członków rodu Hutten-Czapskich z czasów nowszych należy wymienić m.in.: Emeryka (1828–1896), światowej sławy numizmatyka, bibliofila i fundatora muzeum im. Hutten-Czapskich w Krakowie (dziś część Muzeum Narodowego w Krakowie), Karola (1860–1904), prezydenta miasta Mińska, i Emeryka młodszego (1897–1979), syna zmarłego przedwcześnie Karola i wnuka Emeryka starszego, wybitnego kontynuatora dzieła przybranego (po śmierci Karola) ojca Bogdana, numizma-

tyka, kolektora dawnych map Rzeczypospolitej, działacza społecznego, dyplomaty i oficera polskich sił zbrojnych na Zachodzie w czasie II wojny światowej. Ale kim był ten wybitny darczyńca nauki polskiej, Bogdan Hutten-Czapski, poza tym co napisano wyżej?

Skąd się bierze u ludzi powołanie czy potrzeba by uczcić dostojność niezbadanej dotąd wiedzy, z której tylko inne już, następne pokolenia będą mogły korzystać? Nie jest łatwo odpowiedzieć na to pytanie inaczej niż tylko przez zacytowanie własnych słów człowieka, który darowizny dokonał. 13 maja 1931 roku, Bogdan Hutten-Czapski uroczystie obchodził 80. urodziny w swojej smoguleckiej posiadłości. Skorzystał z tej okazji by powiedzieć parę słów o sobie: „W tym starym dworze smoguleckim, który przez przeszło pół wieku był moją własnością, witam Wasze Magnificencje (rektorów Uniwersytetu Warszawskiego i Politechniki Warszawskiej), jako przedstawicieli nowego właściciela, t.j. Fundacji Smoguleckiej, powołanej przeze mnie do życia celem wspierania rozwoju polskiej nauki. W ważnej dla mnie chwili, w której oddaję społeczeństwu ten dom, w którym od tak długiego czasu mieszkam, oraz te pola, lasy i łąki, na których tak długo pracuję, niech mi będzie wolno powiedzieć słów kilka o powodach, które mnie do tego kroku skłoniły. We wrześniu r. 1915, podczas zawieruchy wojennej, a w kilka tygodni po objęciu Warszawy, znakomity uczony, który wówczas trzymał w swem ręku losy Królestwa Kongresowego, postanowił utworzyć w zabranym Moskalom kraju wyższe uczelnie wyłącznie polskie, a mnie powierzył nadzór nad ich organizacją i rozwojem. Trudny ten, lecz zaszczytny urząd objąłem z radością i dzierżąc w mych rękach oświaty kaganiec, starałem się trzymać go jak najwyżej, aby w najodleglejszej wsi polskiej wiedziano, że otwarte zostały w stolicy wszechnice, na których młodzież może się kształcić we wszystkich dziedzinach wiedzy na użytecznych obywateli przekształcającego się w Państwo narodu. Wtedy spotkałem na drodze mego życia męża nie pospolitego, który zdawał się być powołany, aby objąć w Polsce kierownicze stanowisko, ale którego przedwczesna śmierć po krótkim czasie zabrała, Józefa Brudzińskiego. Zabraliśmy się do twardej pracy, gdyż chodziło nie tylko o utrzymanie i rozszerzenie wielkich zakładów, ale i o codzienną ochronę ich wobec wielu nieprzyjaznych żywiołów, a także i wobec nierozważnych kroków samej młodzieży. Przez dwa lata byłem kuratorem Wyższych Uczelni Warszawskich, mając uprawnienia daleko idące, a w czasach normalnych nie dające się pogodzić z autonomią akademicką, ale w burzliwych chwilach światowej wojny konieczne i dla samych wyższych uczelni użyteczne... Potem złożyłem mój urząd w ręce nowo utworzonych władz polskich i uszczęśliwiała mnie pewność, że obie uczelnie

były już wtedy silnie zorganizowane, tak, że mogły przetrzymać burze wypadków i dać nowo utworzonemu Państwu Polskiemu pracowników na wszystkich polach społecznej działalności...”

Ta darowizna Bogdana Hutten-Czapskiego dała początkowe podwaliny praktycznej egzystencji Uniwersytetowi Warszawskiemu i Politechnice Warszawskiej, które pozwoliły nowym władzom państwowym na kontynuację ich coraz świetniejszego rozwoju.

Wracamy do czasów teraźniejszych w kraju. Oto tekst listu zaadresowanego do Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa, pod datą 13 stycznia 1993 r., przez rektorów Uniwersytetu Warszawskiego i Politechniki Warszawskiej: „30 października 1924 r. aktem notarialnym została utworzona fundacja pod nazwą «Fundacja Smogulecka imieniem Bogdana Hutten-Czapskiego». Majątek Fundacji stanowiła nieruchomość o powierzchni 2683 ha położona w miejscowości Smogulec. Celem powołanej Fundacji było dostarczenie Uniwersytetowi Warszawskiemu i Politechnice Warszawskiej środków na popieranie nauki polskiej. Niniejsza Fundacja potwierdzona została Rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 30 października 1930 r. o Fundacji Smoguleckiej imienia Bogdana Hutten-Czapskiego (Dziennik Ustaw nr 76 poz. 596). Fundacja realizowała swoje cele do czasu wybuchu II wojny światowej. Po wojnie na zasadzie art. Ust. 1 dekretu PKWN z 6.09.1944 r. o przeprowadzeniu reformy rolnej (Dz.Ust. Z 1945 r. nr 3 poz. 13) majątek Fundacji przejął Skarb Państwa mimo istnienia nadal Fundacji. Dekretem z dnia 24 kwietnia 1952 r. o zniesieniu fundacji (Dz. Ust. nr 25 poz. 172) także Fundacja Smogulecka przestała istnieć. Jednocześnie zgodnie z art. 7 tegoż dekretu majątek niniejszej fundacji winien być przekazany właściwemu ministrowi, który zgodnie z art. 8 dekretu mógł przekazać w «zarząd i użytkowanie zakładom i instytucjom, których działalność realizuje te same lub podobne cele jak zniesionych fundacji». Niestety powyższego nie zrealizowano do dzisiaj (13 stycznia, 1993). Uniwersytet Warszawski i Politechnika Warszawska zamierzają reaktywować Fundację Smogulecką, w związku z czym wnosimy o powstrzymanie wszelkich działań związanych z majątkiem Fundacji, a w szczególności ze sprzedażą majątku Fundacji”. Jak się wydaje, z tym listem kłamka zapadła.

Czy dziś, w zmienionej sytuacji politycznej, w normującym się systemie stosunków pomiędzy państwem a obywatelem, a nade wszystko w tak pozytywnej pozycji Polski w wolnym świecie, kłamka ta rzeczywiście nie da się ruszyć z miejsca? Jest rzeczą oczywistą, że po drugiej groźnej zawierusze wojennej i głębokich zmianach, jakie zaszły po niej, spiętrzyły się trudności w załatwieniu wielu podobnych kwestii. Istnieje

jednak chyba tak samo ważna intencja, która była motywem Bogdana Hutten-Czapskiego w roku 1924, czyli posługa nauce polskiej. Była wówczas intencja istotna i potrzebna. Nie trzeba chyba długo szukać dowodów, że dziś jest co najmniej tak samo, albo jeszcze bardziej potrzebna.

2.04.2006

## **PRZYJAŹŃ**

### *Pamięci Marii Kalinowskiej*

W 1943 roku pracowała w księgarni polskiej w Edynburgu: tam się spotkaliśmy. Dalszy ciąg wojny nas rozdzielił. Każdy miał wtedy inny przydział. Po wojnie to już była historia bliskości dwóch rodzin, rozpoczynających nowe życie w kraju, do którego nie były w żadnym stopniu przyzwyczajone. Zнали ten kraj i znali ludzi, bo była to część Europy, z jej kulturą, gdzie ludzie mieli podobne maniere do tych, jakie znali. Ale mimo to, trochę inne w odniesieniu do cudziemców. Mieli też urazę do mieszkańców tego kraju z tytułu niepewności w ich postępowaniu w stosunku do Polski i Polaków natychmiast po zakończeniu działań wojennych i ułatwieniu, w celach politycznych, wrogiemu mocarstwu opanowania ich kraju rodzinnego. Życie obu rodzin i ich wielu przyjaciół szło swoim biegiem. Nie mogło być inaczej. Pracowała potem, razem z innymi paniami, w różnych polskich i pół-polskich sklepach, kawiarenkach i organizacjach. Mężowie robili różne rzeczy. Ogólny poziom pierwszych zarobków sięgał £5 tygodniowo.

Mimo to, życie towarzyskie kwitło, pisarze pisali i drukowali, codziennie wychodził „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”. Raz na tydzień, w czwartek, wychodziły „Wiadomości”, był polski teatr w „Ognisku”, były koncerty. Ale rodaków na obcej ziemi trzymały przede wszystkim przyjaźnie. Bliskość pomiędzy ludźmi była konieczna. Oparta na wspomnieniach, na potrzebie rozumienia nowej rzeczywistości, na potrzebie porównań życia codziennego, na wymianie niezbędnych informacji, a nade wszystko, na poczuciu nierozzerwalności, tak bardzo jeszcze wtedy żywej polskości. Język polski był wtedy tak ważnym ogniwem łączności, jak może nigdy przedtem, ani potem. Żyliśmy w tym ogniwie, trochę tak jak na własnej wyspie, z własnym brzegiem i z własnym wiosłem. A wyspa była bezpiecznie przywiązana do lądu, który nie był nasz, ale stawał się, siłą rzeczy, z każdym dniem bliższy. Tak, jak konieczna przystań. W tym ogniwie Maryś Kalinowska była atrakcyjnym elementem żywotności, humoru, radości życia bez względu

na codzienne trudności, umiejąca się śmiać z odwagą osoby, która trudności codzienne traktuje z przekorą. Przez parę lat nasze rodziny dzieliły ten sam dom. Tam rodziły się nasze dzieci, tam były chrzciny, tam były rocznice, tam były święta. I tam regularnie był nowy rok. Jednego z nich, Maryś z mężem popłynęła do Kanady, gdzie jej mąż, Ludwik, dostał posadę w Greek Line, w której przedtem pracował w Londynie. Jedna rodzina wyemigrowała do Toronto. Mimo garstki przyjaciół, nie czuła się tam dobrze. Był mąż, była córka i był syn, byli bardzo bliscy przyjaciele, niestety — mieszkający daleko od Toronto. Reszta to były znajomości. Brakowało jej londyńskiego środowiska, w którym wszyscy się znali, w którym była atmosfera serdeczności wśród przyjaciół i znajomych. I w tym był cały sens tej grupy osób. Znali się, tak jak nasze dwie rodziny, jako już dorośli, albo prawie dorośli przed wojną, znający wolną Polskę. Dziś śpiewaliśmy inaczej te same pieśni, bolały nas i wzruszały inaczej te same poezje, inaczej słuchaliśmy tej samej muzyki. Tu w Anglii zostało to w głowie i w sercu, ale nie w rzeczywistości.

W Toronto, w małym podmiejskim domku z ukochanym ogrodem, z równie ukochanym psem, z córką i z synem cieszyła się życiem jak mogła, ale to nie było to, o czym marzyła. Czytała zachłannie polskie książki, „Tydzień Polski” z Londynu, który uważała za ważny łącznik z tym, co zostawiła w tym kraju. Często mówiła, że martwi ją coraz częściej „nieporządny” i niechlujny język polski w ostatnich latach pisma. Mówiliśmy jej na to, że to nic w porównaniu z tym, jak się zmienił język w kraju... Pytała dlaczego nie ma już Hemara, jego piosenek i satyrycznych wierszyków. Tu przez długi jeszcze czas żyło wielu z jej bliskich i drogich przyjaciół. Przeżywała ich coraz częstsze zgony tak samo, albo nawet silniej, niż my tu. Czuła się sama w odległej Kanadzie... Wiązały się z tym wspomnienia, smutki i radości razem przeżyte, razem omawiane, niektóre śmieszne, inne mniej śmieszne, ale wspólne. Londyn i środowisko, w którym żyliśmy razem, zostawiła z żalem. Tym bardziej, że tak dobrze pamiętała blaski i cienie życia żołnierza polskiego na wyspach brytyjskich i początki demobilizacji w nieznane. Długotrwała, ciężka choroba Ludwika i jego śmierć zostawiła ją w samotności, ale w duchu pozostała zawsze taka sama, pełna życia, odważna, mimo różnych niedomagań, zawsze otwarta na każdy oddech przyjaźni, każdy uśmiech, które odwzajemniała z radością w oczach, z miłym słowem na ustach, ruchem dumnej głowy świadcząc, że jest, że nic się nie zmieniła, że życie nie jest ani trudne, ani łatwe, ale trzeba przez nie przejść właśnie tak — nigdy się nie poddając.

Maria Zofia Kalinowska zmarła w Toronto po długiej chorobie 14 lutego 2006 r. w wieku lat 93. Żyła w przyjaźni i dla przyjaźni.

28.04.2006

## TEMPERAMENT

Podziwiać trzeba szybką orientację krajowych dziennikarzy, publicystów i komentatorów politycznych w rozrzuśzanym życiu partyjnym w Polsce. Z jak wielkim rozmachem a czasem nawet szerokim gestem, starają się rozpraszać zmkroki kulis politycznych. I z jak nienaruszalną swadą, swobodą i wiarą w swoją nieomylność, obdarzają czytelników wyrokami i przepowiedniami. Nie tracąc ani chwili na dokumentację potwierdzoną co najmniej faktami. Oto czytelnik, w kraju i za granicą, odbiera te kąski ze zdziwieniem, czytając, na przykład, że premier nie zgadza się z prezydentem, marszałek ma za złe wicemarszałkowi, bo miał dłuższy wywiad w dzienniku radiowym, a minister nie może przebaczyć swemu wiceministrowi wyjazdu za granicę w misji, w której on sam, minister, miał brać udział, i która mu się — z natury rzeczy i z tytułu starszeństwa — należała. Dobrze, to są małe rzeczy, personalia, bez których żadna gra polityczna nie jest możliwa. Gorzej, jeśli minister nakreśli ustawę, którą pod jego nieobecność „zredaguje” wice-minister. Albo jeśli poseł z tej samej partii będzie głosował przeciwko ustawie, która jest częścią programu politycznego tejże partii. Ale to w końcu też można zaliczyć do głupstw i codziennych utarczek pomiędzy ludźmi, którzy, z najlepszymi chęciami, śledzą gorliwie częstotliwość ukazywania się ich nazwisk na szpaltach codziennych gazet i tygodników.

Rzecz ma się zupełnie inaczej, kiedy w zgiełku niezliczonych oświadczeń i komunikatów, plotek i przepowiedni, jakiś popularny publicysta, by przypomnieć o swoich wpływach i wadze swoich opinii, ni z tego, ni z owego, odważy się na użycie słowa „koalicja”. Czytelnicy usłyszą krzyk: „Kto z kim?” „Jaka koalicja?” „Co on wygaduje?”. Inny, również wpływowy, komentator zabierze głos, który postawi koalicję na trybunie powszechnych domysłów. I zacznie się publiczna dyskusja. W prasie, w radio, w telewizji, w szkołach, uniwersytetach, teatrzykach komediowych i na ulicach, w tramwajach, autobusach i w poczekalniach u dentystów. Ale właściwie o czym? Bo jeśli dyskusja, to raczej o temperamencie klimatu, w którym ta rzekoma koalicja mogłaby zaistnieć. Czy Polacy mają temperament podatny, by koalicja dwóch partii o podobnych programach była w ogóle możliwa? Czy dane, które są potrzebne do powstania koalicji mieszczą się w arsenale społecznym, politycznym wyborców? Czy mają nie dość doświadczenia historycznego i wyrobienia parlamentarnego, by przyznać przeciwnikowi rację w imię zbliżenia do pozytywnego celu?

Przykładów w naszej historii może by się trochę znalazło, ale nie takich, które można by przetłumaczyć na dzisiejsze czasy. Wprawdzie

pomiędzy rokiem 1928 a 1935 — choć w zupełnie innych warunkach — ówczesnie mądrym pomysłem pilsudczyków był tzw. BBWR, Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem.

Najważniejszym wyrazem w tym bloku był przymiotnik „bezpartyjny”. Co to znaczyło? Znaczyło, że był otwarty dla wszystkich tych, którzy w zasadzie nie byli w opozycji do pilsudczyków. Czyli w sumie tych, którzy — nawet przy szczypcie wątpliwości — mieli nadzieję na normalizację dzieła stworzenia — w tych krótkich latach od odzyskania niepodległości — względnie sprawnie działającego aparatu państwowego. Kontynuatorem Bloku był założony w roku 1937 (oficjalnie ogłoszenie było 12 II tego roku) Obóz Zjednoczenia Narodowego, którego zamierzeniem był pewien rodzaj koalicji. Był to zaledwie fragment naszej współczesnej historii, ale fragment, z którego czerpiemy jeśli nie wiedzę, to przynajmniej doświadczenie.

Dziś, niezależnie od kraczących dziennikarzy i jasnowidzących publicystów politycznych, stoi przed nami rzeczywistość, w której koalicja dwóch mocnych obozów parlamentarnych wobec względnie osłabionej opozycji — jeśli temperament pozwoli — byłaby niemal ateńskim wyrazem dojrzałości. Chodzi w gruncie rzeczy nie o szczegóły, nie o drobiazgi, a o trwałą pozycję systemu, w której administracja publiczna równa się administracji państwowej. Polska ma to, o co tyle lat walczyła w kraju i za granicą. W tej walce konieczny temperament wykazała.

17-19.03.2006

## OPINIA PUBLICZNA

Dawno już, w czasach zamierzchłych, kiedy opinia publiczna była noworodkiem, nikomu nigdy nie przyszło do głowy traktować ją poważnie. Ani, tym bardziej, wyciągać z niej jakiegokolwiek polityczne wnioski. Jak każdy noworodek, wydawała z siebie różne hałaśliwe głosy. Brano je jako zło konieczne, które niczym więcej nie groziło poza właśnie hałasem. Kiedy była już podrastającym dzieckiem, przestała wydawać z siebie uprzykrzający hałas, ale miała zamiast krzyku różne dziecinne dolegliwości. Nie były one niebezpieczne, bo ułaskawiała je aspiryna gasząca gorączkę. No i w dalszym ciągu nikt nie zwracał na nią specjalnej ani większej uwagi.

Dalszy jej rozwój to szkolenie — albo w tzw. demokracji, albo w jej przeciwieństwie. Jeśli demokratyczne, to otwarte szeroko na świat ją otaczający i na respekt dla wolności przekonań. Miała ona wtedy silny głos, który ma do dziś. Jeśli istniała w przeciwieństwie do demokracji, czyli



respektu dla wolności przekonań, a nade wszystko, do wolności mówionego, pisanego i drukowanego słowa, miała przed sobą świat zamknięty. Tak zamknięty, że mogła tylko istnieć w podziemiu, w tajemnicy, mówić przyciszonym głosem — nigdy hałasem — w ciągłym narażeniu swego istnienia. Nie ma się więc co nad nią zastanawiać. Od takiego systemu, myślę, odeszliśmy już na zawsze.

Dziś opinia publiczna jest dorosła. W krajach wysokiej cywilizacji i praktykowanego humanizmu cechuje ją różnorodność, głośnie i odważne mówienie każdym dostępnym jej językiem. Człowiek żyjący z nią za pan brat zna dobrze jej rozmiary i te granice, w których jej głos może być dosłyszany i wzięty pod uwagę przez innych o podobnych intencjach.

Wynikający z tego stanu rzeczy dialog może mieć szerokie pole widzenia. Oto jesteśmy w tym kraju świadkami, jak to wygląda w praktyce. Nie mamy wątpliwości co do systemu, który pozwala na istnienie głośniejszej opinii publicznej. Wiemy z wielu doświadczeń, dawnych i mniej dawnych, że różnorodność zdań i opinii stwarza też pole do nieporozumień, co do użytku opinii publicznej na co dzień. Ma ona przecież niejednego głos. Sporadyczne sondaże niewielkich określonych grup są często tendencyjne, nie wnoszą więc nic nowego. Można by zaryzykować twierdzenie, że ma ona tyle głosów, ile ust je wypowiada. Jest prasa, która się na nią powołuje, tak jak jej w danym momencie wygodnie. Jest radio i telewizja, których komentarze mówione łatwo używają głosów opinii publicznej, akcentując to, co uważają za stosowne. Jest parlament, gdzie cytują głosy tego, co się wydaje posłom i lordom wygodną im opinią publiczną. Jest wreszcie środowisko ludzkie, gdzie ta opinia publiczna często zmienia barwę w każdej nawet prywatnej rozmowie. Czym więc jest, ta ciągle opiewana, opinia publiczna?

Dla polityków rzecz wygodna. Wprawdzie nie można jej wziąć w ręce, nie można jej sprecyzować, ale dobrze jest o niej bez zająknięcia mówić, bo sprzeciw nie może być nigdy uzasadniony. Efemeryda? Tak i nie. Wygodne narzędzie do uprawiania oświeconej polityki, gdzie każdy ma głos i gdzie każdemu się wydaje, że go słycać. Nie wtajemniczonym może się wydawać, że opinia publiczna to kula u nogi tych, którzy mają rządzić w demokracji. Chyba odwrotnie. Opinii publicznej wydaje się, że rząd jest jej kulą u nogi. W ten sposób i rząd i opinia publiczna mogą żyć ze sobą w harmonii i zgodzie. Zależą od siebie. Są nierozzerwalni. Można tylko rozróżnić ich głosy. Połączyć ich mogą tylko demokratycznie uczciwe wybory po to, żeby je znowu rozdzielić natychmiast po ogłoszeniu ich wyników. Opinia publiczna, jako taka, nic nigdy nie wygrywa, ale może się znacznie przyczynić do wyroku.

11.02.2004

## EX-LIBRIS

Nauka to piękna rzecz. Szkoda, że często idzie w las. Nie ginie tam wprawdzie, bo nic w naturze nie ginie, ale się dziwnie rozprasza. Znika koordynacja wiedzy, tak potrzebna, by użyć z niej to, co najistotniejsze. Podobnie dzieje się z narodem, kiedy rozprasza się jego najistotniejsze powołanie, wynikające z doświadczeń i wiedzy. Polska żyje od pewnego czasu w pułapce elekcyjnej. Pułapkę nastawił przepis, że nastąpił czas, kiedy kogoś trzeba wybrać na głowę państwa. Cofając się w głębinę historii polskich elekcji, mamy w tej dziedzinie pewne doświadczenia. Niektóre lepsze, inne gorsze. Żyjemy w nowych czasach, ale chodzi o to samo, czyli o najwyższego zwierzchnika. Biorąc pod uwagę dzieje późniejsze, też czasem lepsze, czasem gorsze, choć w ostatnich czasach raczej te ostatnie, może system ten wymaga egzaminu zdrowotnego. Nie serce tu ważne, a rozum. Pułapka to trochę, jak furtka, z której boimy się wyjść na światło dzienne z obawy przed terenem nieznanym. W pułapce jest nęcący smakołyk — fotel prezydencki — ale nie ma, jak dotąd, ani jednej głowy o odwadze spojrzenia na pułapkę z góry, zamiast z boku. Wiemy, że patrzą na nią z różnych bocznych stron partie polityczne, wiemy, że patrzą na nią z załka osoby o politycznych ambicjach i wiemy, że wysuwane są kandydatury tych, co już się do tych pozycji przyzwyczaili. Są i inne osoby o dziecinnej naiwności. Nie widać ani jednej nowej głowy. Nie widać autorytetu. Nie widać oświecenia. Nie widać niezależności partyjnej, nie widać idei doskonałości. A właśnie o tę doskonałość chodzi. Nie o prezencję, nie o obiekt dekoracyjny, nie o działacza, nie o przywódcę partyjnego, nie o polityka-doktrynera, nie o teoretyka współczesnej ekonomii, ani — tym bardziej — o teoretyka demokracji. Ale o wykształcony rozum, najlepiej w naukach ścisłych, bo te bezbłędnie koncentrują dyscyplinę mózgu. Chodzi o głowę, której umysł dorósł do zadania, by młodzież blisko 40-milionowego narodu uwierzyła w siebie. Chodzi więc pokrótce o to, żeby smakołyk w pułapce zastąpić chlebem powszednim. Zbliża się maj 2004. Polska wejdzie, wraz z innymi, w nową epokę. Polska wchodzi w rozpiętość, jakiej nigdy nie miała. Na emigracji łączą nas z krajem albo dwie godziny lotu, albo 64 lata wizji, nadziei i rozczarowań. Ani dwie godziny, ani te lata nie zmieniają faktu, że z oddali widzimy Polskę w kalejdoskopie wielu kolorów. Dodajmy jeszcze jeden.

Nie bójmy się historii. Wśród tych lepszych czy gorszych doświadczeń elekcyjnych Polski w jej długiej historii, warto przypomnieć inny polski maj w pierwszym dwudziestoleciu niepodległości. Był rok 1926. Po przewrocie majowym Józef Piłsudski objął władzę w Polsce. Miał

do wyboru każde stanowisko w państwie. Odsunął się jednak od władzy bezpośredniej poza czysto wojskową. Jego autorytet w niczym nie osłabł. Nikt w Polsce nie miał wtedy wątpliwości, skąd idą wpływy na losy kraju. W tej sytuacji wynikała konieczność nie tylko utworzenia nowego rządu, ale także elekcji nowego prezydenta. Stanisław Wojciechowski, prezydent w czasie majowych wypadków, ustąpił. Piłsudski miał upatrzonego szefa rządu w postaci swego dawnego współpracownika prof. dr. Kazimierza Bartla, wybitnego matematyka, profesora Politechniki Lwowskiej. Jako premier, Bartel wysunął prof. dr. Ignacego Mościckiego, wybitnego chemika, profesora Politechniki Lwowskiej i uniwersytetów szwajcarskich, na stanowisko prezydenta. Obie sugestie Piłsudski przyjął, bo były po jego myśli. Wiedział lepiej niż inni, jak dalece potrzebna była Polsce rozumna równowaga oparta na wiedzy wyższej, niż ta codzienna, polityczna. (Kazimierz Bartel zginął z rąk hitlerowców w roku 1941. Ignacy Mościcki był prezydentem aż do końca wojny polskiej w 1939 r. Zmarł w 1946 r.)

Nie był to historyczny przypadek. W tego rodzaju decyzjach Piłsudski pokazywał geniusz polityczny, oddzielając codzienną administracyjną kuchnię od filozofii rządzenia. Ta ostatnia wymaga wizji na przyszłość. Takiej wizji dziś szuka Polska.

15.03.2004

## TRZY WIZYTY

Bieg historii jest często przypadkowy, choć historycy starają się szukać logicznego połączenia wypadków. Osoba głowy państwa jest albo przypadkiem, albo mniej lub więcej logicznym wynikiem politycznej precyzji (lub jej braku) w selekcji kandydatów. W końcu września 1939 roku podstawą decyzji była kardynalna zmiana zespołu rządzącego w obliczu groźnego napadu Hitlera na Polskę i równie groźnego sowieckiego uderzenia w plecy. Rząd polski znalazł się we Francji, gdzie, po spiesznym pertraktacjach, stanowisko konstytucyjnej głowy państwa objął Władysław Raczkiewicz. Miało to miejsce w ambasadzie RP w Paryżu, 27 września 1939 roku. 3 września 1939 roku Francja wypowiedziała wojnę Niemcom. W maju 1940 roku złożyła broń. Był to kluczowy moment naszej kampanii o Polskę. Wielka Brytania i Polska zostały same na placu boju. 21 czerwca 1940 roku prezydent Władysław Raczkiewicz przyjechał do Londynu. Głowa państwa, a za nią władza polityczna, siły zbrojne i odbudowane instytucje, znalazły się pod angielskim parasolem. Razem z prezydentem przyjechali: minister spraw za-

granicznych — August Zaleski, minister skarbu — Henryk Strasburger, szef kancelarii prezydenta — Stanisław Łepkowski, sekretarz — inż. Adam Piotrowski i adiutant prezydenta — mjr Stanisław Skarbek. Na dworcu Paddington prezydenta powitał król Jerzy VI w asyście ambasadora RP, Edwarda Raczyńskiego, i ostatniego przed wojną ambasadora brytyjskiego w Warszawie, Howarda Kennarda. Otworzył się nowy rozdział walki o niepodległość Polski w zaprzyjaźnionym Zjednoczonym Królestwie. Tu schroniły się wskrzeszone, suwerenne instytucje państwowe. Tu przygotowywały się do dalszej walki polskie siły zbrojne, armia, lotnictwo i marynarka wojenna.

Wzajemne stosunki polsko-brytyjskie w okresie pierwszym, to znaczy 1940–1941, dyplomatycznie poprawne, nigdy dramatyczne, choć często z obu stron emocjonalne, przechodziły ostre kryzysy, których przyczyną był Związek Sowiecki. We wszystkich tych kryzysach Wielka Brytania zawsze podtrzymywała swój status alianta według podpisanych w roku 1939 umów o wzajemnej pomocy z Polską. Warunki podtrzymywania tego statusu nie zawsze były dla niej wygodne politycznie. Mimo to wywiązała się ze swoich alianckich obowiązków. W rezultacie swego sposobu postępowania, tak dobrze nam już dziś znanego, i przyjęcia przez rząd polski w Londynie tych właśnie zasad, nawet takich, które w świetle tamtego dnia były dla nas niekorzystne, wyszliśmy z wojny z honorem. Uderzyła w nas dopiero w roku 1945 decyzja rządu brytyjskiego uznania „rządu jedności narodowej” w skrawioonej wojną Polsce. Powstało wtedy nowe państwo polskie na emigracji. Tak jak poprzednio — z rządem, armią, lotnictwem i marynarką wojenną w stanie spoczynku. Nikt nam nie przeszkadzał żyć tu po polsku, poza niektórymi organami prasy, które wierzyły w wielką przyszłość i potęgę stalinowskiej Rosji. Przeszło trochę lat, słońce komunizmu zgłosiło ze zwiększeniem militarnej potęgi Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Zachód przeżył wojnę koreańską, z trudem, ale przeżył Wietnam, przyczynił się do zburzenia muru w Berlinie i zjednoczenia Niemiec, i wreszcie, raczej w osłupieniu ale z radością, przyjął i otworzył ramiona na „Solidarność” w Polsce. Rozpoczął się nowy, drugi rozdział polskiej racji emigracyjnego stanu w Wielkiej Brytanii. Były dalej organy nadrzędne i były ośrodki, których kolebką była armia polska na tej ziemi, lotnictwo i marynarka wojenna. Przybyli też w zwiększonej liczbie Polacy z kraju, szukający nowego życia politycznego i innej pracy. W kwietniu 1991 roku, z oficjalną wizytą państwową przyleciał do Londynu polskim samolotem przywódca i twórca „Solidarności”, nowo wybrany, niemal przez aklamację, prezydent Polski, Lech Wałęsa. Był gościem królowej Elżbiety i księcia Filipa. Był gościem Wielkiej

Brytanii i Polaków w Anglii. Nade wszystko był wówczas symbolem i zwiastunem odnowienia Europy i upadku wrogiego jej systemu politycznego na graniczących z nią ziemiach wschodnich. Nie było to dla nikogo, a specjalnie dla Polski rozwiązanie idealne. Ale zostało, choć bez wielkiego entuzjazmu, przyjęte na zasadzie respektu dla umów międzynarodowych, które miały w przyszłości zapewnić pokój i bezpieczeństwo. Co do tego głosy są i długo jeszcze będą podzielone.

Na początku maja 2004 roku kolejna głowa państwa polskiego przybędzie do Londynu z oficjalną wizytą. Prezydent Aleksander Kwaśniewski będzie gościem królowej Elżbiety i księcia Filipa. Będzie też gościem rządu Wielkiej Brytanii. Okazją jest oficjalne przystąpienie Polski do Unii Europejskiej. Czy będzie to początkiem jeszcze jednego, nowego rozdziału w życiu Polaków w tym kraju?

21.04.2004

## ZAGRANICA

Głośno w Brukseli, w Strasburgu i innych stolicach Europejskiej Unii o budżetach, wspólnej polityce rolnej, czasem o terrorze, ale rzadko o wielu czekających nas kardynalnych zmianach w życiu codziennym mieszkańców Zjednoczonej Europy.

Oto, dość nagle, jakby z nienacka, wyszło sztydło z worka. Okazuje się, że 1 stycznia 2009 roku, czyli za trzy lata, upadną szlabany graniczne pomiędzy członkowskimi państwami. Było o tym wiadomo od dawna, ale przy nawale innych ważnych decyzji, albo ich braku, konsultacji, zebrań na szczycie i pod nim, ten ważny szczegół jakoś uszedł uwadze większości członków. A będzie to zmiana, jeśli nie kardynalna, to na pewno głęboka. Nie tylko dotknie sentymentów Europejczyków, tych sprzed Unii i tych po Unii, ale też, i to bardziej, praktycznego stosunku jednych i drugich do tego geograficznego tworu, który nazywamy Europą. Jest oczywiste, że wszyscy członkowie (jak dotąd) Unii Europejskiej, to mieszkańcy tego tworu. Jedni mają do niego stosunek nijaki, przyjmują go jako rzecz oczywistą, inni — jako zło niemal konieczne, przekonani, że właściwie nie ma się o co kłócić, bo to i tak nic nie zmienia. Są też tacy, którzy mówią, że każde państwo członkowskie ma odrębną specyfikę, albo uważają, że sama wymiana między nimi dóbr ekonomicznych nie wystarcza do przyznania wspólnocie specjalnych właściwości emocjonalnych, artystycznych, psychicznych czy moralnych. Jak to — mówili niektórzy — nie będziemy już mogli wyjeżdżać za granicę? Wyjazd „za granicę” już nie będzie taką atrakcją, jaką był przed Unią, straci ten

specyficzny smaczek przygody, nieznanych wrażeń, odkryć i nieprzewidywanych czy przewidzianych romantycznych spotkań, takich jakie rzadko zdarzają się w życiu codziennym. Stanie się czymś tak pospolitym, jak podmiejskie wakacje na wsi czy w górach, czy nad swojskim morzem, jak wycieczka łódką po Wiśle, a nawet po Sekwanie czy Tamizie. Zginie podniecenie wyjazdem w inny, nieznaną nowy świat.

W latach międzywojennych na dworcu głównym w Warszawie, przy Alejach Jerozolimskich, byli „numerowi”, czyli tragarze w niebieskich kurtkach, na których nosili numery. Mieli oficjalną stawkę za przeniesienie bagażu (duży kufer-szafa kosztował więcej niż zwykła walizka) i nikomu nie śniło się o małych, drelichowych torbach na kółkach, których dziś używają podróżni. Dziś tragarzy (numerowych) nigdzie nie ma. Z dworca głównego w Warszawie wyjeżdżało się za granicę. Był wspaniały „Train bleu” z wagonem sypialnym i restauracją, który wiozł pasażerów via szlaban graniczny w Zbąszyniu, przez Niemcy do Paryża. Podróż trwała 18 godzin. W Zbąszyniu, na granicy, polska straż graniczna sprawdzała paszporty. To samo odbywało się po niemieckiej stronie. Był świetny obiad i noc w wygodnym sleepingu, jedna osoba na dole, druga na górze (przedmiot niekończących się domysłów i komentarzy). Były też przedziały — sypialne jednoosobowe — luksus nie lada! Pamiętam dobrze te wyjazdy. Każdy był okazją towarzyską, żegnać czy witać przychodziła rodzina, przyjaciele i znajomi, z kwiatami i pudełkami czekoladek, była wymiana adresów, numerów telefonów i świeżych, warszawskich ploteczek. Dziś dworzec główny w Warszawie — mimo że Polska jest w Unii dopiero od maja — wygląda tak samo jak wszystkie europejskie dworce — anonimowo. Nie ma w nich ducha przygody, dreszczyku emocji podróży. I tak, zamiast przygotowania do wielkiej podróży w nieznaną, wszędzie jest tak samo. Gare du Nord w Paryżu wygląda tak samo, jak dworzec główny w Warszawie, tak samo, jak w Mediolanie, tak samo, jak w Rzymie i podobnie nawet, jak dworce w Londynie. Są zimne, nieprzytulne, obce i nie wróżą żadnych nowych wrażeń, poza tymi, które tak dobrze znamy. Ma to też wiele wspólnego ze smakiem nie tylko podróży. Dziś nie trzeba jechać do Paryża, żeby zjeść „baguette”, nie trzeba jechać do Wenecji, Rzymu, Aten czy Paryża, żeby zobaczyć najwspanialsze dzieła sztuki, szczytu ludzkiego geniuszu. Dziś jest to wszystko w Internecie, w telewizji. Skończyła się wielka romantyczna przygoda. Dreszcz poznawania żywego świata w oryginale nie wytrzymał tempa czasu. A może się tylko gdzieś schował? Nostalgia?... Tak.

3.01.2005

## OBŁĘGOREK

Czyż trzeba przypominać czytelnikom „Dziennika” postać Mariana Hemara (1901–1972), poety, satyryka, komediopisarza, reżysera, kompozytora, żołnierza Brygady Karpackiej, długoletniego stałego współpracownika Radia Wolna Europa, jednego z kreatorów emigracyjnej sceny teatralnej w londyńskim „Ognisku”, i... namiętnego autora listów do „Dziennika Polskiego”? W listach tych lubił przekomarzać się ze spżozowymi felietonami Zygmunta Nowakowskiego (1891–1963), czołowego publicysty emigracyjnego w Londynie, świetnego i popularnego przed wojną felietonisty krakowskiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, powieściopisarza („Przyłądek dobrej nadzieji”, „Rubikon”) i dramaturga („Gałązka rozmarynu”, sztuka o Legionach Piłsudskiego), i z emigracyjną humoreską plotek Karola Zbyszewskiego, drukowanych co piątek w londyńskim „Dzienniku Polskim”. Lubił też narzekać na „Dziennik”, który w tych czasach nieźle prosperował, wspomagany jeszcze ciągle, tak czy inaczej, z resztek polskiego „majątku” publicznego. DZIŚ liczy na „majątek” głównie prywatny tych, których emigracyjny żywot w tym kraju wymaga drukowanego słowa polskiego. Tak się złożyło, że w niedawnych miesiącach tarapatów finansowych „Dziennika” zajrzałem do zbioru felietonów Hemara „Awantury w rodzinie” (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1994). I nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że mrugał na mnie Hemar z za kurtyny „Ogniska”.

W felietonie „Oblęgorek” (1962) Hemar zastanawia się nad dobroczynnością rodaków w stosunku do literatury polskiej. Co też można łatwo sparafrazować na polskie piśmiennictwo. Czy taka w ogóle istnieje?

Hemar pyta (przypominam, wczesne lata sześćdziesiąte): „Czy ktokolwiek w spadku po sobie, w testamencie, pomyślał o zapisie dla pisarzy?.. Albo dla jedyne go polskiego dziennika? (Jeśli tak, prosimy o wiadomość pod hasłem „Oblęgorek”). Nikt — to znaczy jedna bieduła, Herminia Naglerowa, pisarka, która paręset mizernych funtów całego swego majątku zostawiła na nagrody dla kilku kolegów, którzy ją przeżyli (...) Albo, staruszka z angielskiej prowincji, która przysłała 6 pensów w znaczkach pocztowych, z najserdeczniejszym listem i błogosławieństwem dla chorego...” Zygmunt Nowakowski, bo to właśnie o nim mowa, zmarł po długiej chorobie w 1963 r. Felieton Hemara był napisany w czasie jego ostatniej choroby. Był wezwaniem do społeczności o pomoc, w przedłużającej się kuracji pisarza. I tu przypomniał Hemar, że Oblęgorek to była nazwa mająteczku, który wdzięczne społeczeństwo polskie z trzech zaborów, bez cienia drażliwości, ufundowało

Henrykowi Sienkiewiczowi, a on, bez cienia zażenowania, z wdzięczną radością dar narodu przyjął...

Na apel dla Zygmunta Nowakowskiego czytelnicy z całego świata odpowiedzieli bardzo życzliwie. Dar przekroczył sumę 1500 funtów, podtrzymał go na duchu i ulżył mu w cierpieniach w ostatnich miesiącach życia.

Hemar dziś pewnie by inaczej napisał co do „Dziennika”. Schyliłby czoło przed tymi, którzy nie żałują „Dziennikowi” pomocy w takiej, czy innej formie. Ale by może zauważył, że pomoc dorywcza to zastrzyk uśmierający. To kompres, by chwilowo przestało parzyć. Ale to nie „Oblęgorek”, który da bezpieczeństwo dachu nad głową i pewność przeżycia. A nade wszystko poczucie, że to nie tymczasowość a stan permanentny.

Oblęgorek nie był połączony z żadnymi warunkami, nie był związany politycznie, nie służył nikomu, a tylko literaturze polskiej. W tym wypadku zdrowiu, talentowi i dobremu samopoczuciu polskiego pisarza. Nie licząc na to, jak się ten mająteczek miał w przyszłości opłacić. Był darem w całym tego słowa znaczeniu.

To krótkie wspomnienie tego, co napisał Hemar w 1962 roku w Londynie, niech wspomnieniem zostanie. Niektórzy z nas lubią takie wspomnienia, bo pamiętają Hemara i pamiętają wiele innego rodzaju kryzysów w „Dzienniku”, który mimo wszystko jest dziś ciągle z nami.

A Oblęgorek niech zostanie symbolem wiary w niezależną literaturę polską.

12.02.2006

## CZŁOWIEK W LUSTRZE

Od najdawniejszych lat, w młodości i w wieku dojrzałym, wyobrażałem sobie, że kiedy człowiek stoi przed lustrem, widzi tylko siebie i nic więcej. Cóż może widzieć innego? Jakieś tło? Tylko ścianę, czasem kawałek sufitu i okno. A na oknie firankę, dzięki której nikt go widzieć nie może. Dopiero w ostatnich latach, już na długiej emigracji, okazało się, że byłem w błędzie. Oto stoi człowiek przed lustrem i myśli, że go nikt nie widzi, ale jeśli się zastanowi, to sobie po jakimś czasie uprzytomni, że przecież inni go też widzą niemal codziennie, ale widzą go inaczej. Widzą go swoimi oczami. I czytają to, co widzą okiem krytycznym. To takie ludzkie. Co najważniejsze, widzą go tak, jak chcą. Mogą nawet każdego dnia zaobserwować inne, nieznanne dotąd cechy i walory albo wady charakteru. I tak to w demokracjach albo krajach do demokracji zdąża-



jących powstało lustro jako nowa broń polityczna. Broń, zdawałoby się, pojedynczego kalibru, jednostronna, niewypałowa. A jednak, jakże głęboko raniąca. Strzału nie słyhać ani nie widać, przycisk cyngla nie daje odrzutu, ani strzelającemu nawet zza węgła, nie przynosi żadnej ujmę, bo go nie widać gołym okiem. Trzask z lustra jest tak samo bolesny jak kula w łeb, tak samo rani, tak samo obniża postawę rannego. I tak samo odejmuje mu możliwość obrony, bo nie wie skąd go dopatrzono. Wie tylko jedno: że stał się pionkiem niebezpiecznej gry, której pewnie nigdy nie wygra. Strzelającym właśnie o to chodzi. Jeśli ten człowiek stojący przed lustrem jest politykiem — tym gorzej, bo patrząc w swoje własne oczy w lustrzanym odbiciu, może nie wiedzieć, że w niego strzelają. Dowie się o tym dopiero rano przy śniadaniu, kiedy otworzy poranną gazetę.

Chorobą naszych nowych, politycznych czasów jest brak wiary w uczciwość i prawość człowieka. Każdy jest o coś podejrzany. A ponieważ nie ma ludzi bez grzechu, milczenie nie pomaga, a odwrotnie. Lustrzana polityka wskazuje niezawodnie na odrzucenie wszelkich przepisów gry politycznej, odbierając ostateczny autorytet parlamentowi, gdzie lustro jest nie tylko przyjętą bronią ręczną. Operuje też w ścisłej tajemnicy, ujawnione post-factum, kiedy jest za późno, by odeprzeć zarzuty. Prasa, której wartość, albo jej brak, wyraża się w oparach sensacji, podsyca ją w miarę wagi osoby, która jest celem lustrzanego pocisku. I tak buduje się demokrację, pozbywając się opozycji. Prawdziwej lub domniemanej.

Gdyby to było takie proste! Niestety, tak się tradycyjnie dzieje i tak uczy nas historia, że demokracja nie może egzystować w izolacji jednej partii, bo przestaje być demokratyczna. Musi żyć w ciągłej dyskusji, w ciągłej debacie, w ciągłej ewolucji myśli politycznej i społecznej. Każda warstwa społeczeństwa ma prawo do wypowiedzi w swoich sprawach, jak i w sprawach narodu.

Polska nie jest odosobniona wśród krajów europejskich i pozaeuropejskich, w użyciu lustra jako broni ręcznej. Ale epidemia niekończących się lustracji w kraju jest dużo bardziej bolesna niż w innych krajach (gdzie lustro nie tyle jest bronią, co raczej ilustracją), bo opiera się na bolesnej przeszłości. Nikt jej nie wymaże ani z historii, ani z pamięci. I nie chodzi o to, żeby cokolwiek wymazywać. Dokumentowanie różnic ideowych, teoretycznych i praktycznych jest istotne. Warunki debaty o równym głosie wszystkich partii są także istotne. Trzeba umieć dopuścić do głosu nawet tych, którzy patrząc w lustro nie muszą ani nie powinni się spodziewać, że będą tym lustrem zaatakowani.

Odeprzeć atak lustrzany nie jest łatwo. Słowa giną na szpaltach gazet. Toną w protokołach i zeznaniach adwokackich z obu stron, wreszcie jest ich tyle, że społeczeństwo zaczyna je ignorować. Ich ślady stają

się chlebem powszednim teatrzyków komediowych, wesołych piosenek i kawiarnianych dowcipów. Może dopiero wtedy lustro stanie się znowu przedmiotem codziennego użytku, a nie źródłem strachu człowieka wiążącego przed nim z zadowoleniem rano krawat.

20.05.2007

## KONTYNUACJA

Dobrze, że doczesny bliźniak „Dziennika”, „Tydzień Polski” nie znikł z horyzontu prasy polskiej w Wielkiej Brytanii. Dobrze, że odzywa się własnym głosem. Dobrze, że jeszcze ma materiał, choć skrócony — zarówno w treści, jak i w objętości.

Talentów trzeba szukać, bo są. Trzeba ich zachęcić. Wśród wspaniałych uzdolnionych hydraulików, ślusarzy, mechaników wszelkiego typu, rzemieślników budowlanych i też zbieraczy truskawek i malin, kręcą się — może nieco zagubieni w tłumie — historycy, poeci, malarze, aktorzy i pisarze, których nie stać na papier, ani, tym bardziej, na komputer.

W tej masie ludzkiej jest też wielu takich, którzy piszą prace magisterskie i tezy doktorskie na brytyjskich uniwersytetach.

Oto źródło, w którym należy szukać nowych materiałów. Tu pozwolę sobie przypomnieć genezę „Tygodnia”. Powstał on nie jako dodatek do „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”, ale jako samodzielna jednostka, której celem była niezależna literatura, kultura i sztuka. Rzecz prosta, polegała ona przez wiele lat na pokoleniu, które szybko znika.

Nie znikają jego dzieła, ale skończyła się, w wielu przypadkach, ich działalność. Dziś „Tydzień” ma więc przed sobą nowe zadania. Jako że zdecydował się trwać na swojej oryginalnej postawie, nie musi zmieniać tradycji, a zdać się na zmianę strategii. Otwarty konkurs literacki, ogłoszony szeroko, z nagrodami obliczonymi nie w walucie, a w centymetrach szpalt „Tygodnia”, może dać niespodziewany i bogaty plon.

Często myślę, że zawód redaktora jest pokrewny zawodowi akuszerki. Ojciec, czyli pisarz i matka, czyli pisarka, stoją na szczycie piramidy. Maszynopis, czy rękopis znajduje się w rękach redaktora, który zmienia się w akuszerkę i razem starają się, by noworodek nie tylko ujrzał światło dzienne, ale żeby był załącznikiem literatury.

Wszystko, co napisane, to przyszłe dzieło literackie. Oczywiście, można się godzinami, a nawet latami sprzeczać, czy to dobra literatura, czy nie, ale nie można jej odebrać prawa twórczości. Każda nowa twórczość, każde nowe wcielenie zrozumienia otaczającej nas rzeczywistości, a nawet imaginacji, jest odbiciem czyjejś i jakiejś prawdy.

Doświadczone tylko przez tego jednego pisarza, czy pisarkę. Dlatego wyjątkowe, jedyne. Ważne jako wyraz egzystencji narodu i obraz każdego pokolenia. Tylko indywidualna twórczość może taki obraz pokazać, jedynym środkiem pokazania tego obrazu jest druk jako forma przekazu.

Pamiętam, kiedy — już dawno temu, w zamierzchłej emigracyjnej przeszłości — redaktor, pisarz, gawędziarz i długoletni dyrektor — „akuszer” „Dziennika”, Juliusz Sakowski, uskarżał się w „Ognisku” na niekończącą się lawinę wspomnień wojennych i nie wojennych, jakie workami przynosiła poczta do Polskiej Fundacji Kulturalnej. Nie tylko uskarżał się na ilość, ale także na jakość. No i na to, że rzadko wnosili coś nowego.

Nie zgadzam się z tym. Temat miały na pewno ten sam, ale reakcje zawsze były indywidualne, spojrzenia zawsze trochę inne, innym okiem ujrane, innym uchem usłyszane. I, co najważniejsze, z myślą o kimś innym pisane. To się nie zmieniło. Wiadomo, że wojna jako zjawisko i przeżycie specjalne, ma to do siebie, że niemal każdy jej uczestnik nosi je w sobie też jako coś specjalnego, co się zdarza jemu i wszystkim innym raz w życiu.

Ale wojna nie musi być jedynym bodźcem do pisania wrażeń, które ma się w pamięci i na które się głęboko reaguje. Dla tych, o których piszę wyżej, każdy dzień w nowym środowisku, każde nowe wrażenie, to też nowość dla czytelnika.

Krótko, węzłowo, z humorem, aby redaktor — akuszer z radością witał noworodka.

6.07.2007

## KOLOROWE MIASTO

Każde miasto ma swój kolor, ma też własny dźwięk i swój własny klimat. Nie o pogodę chodzi, a o atmosferę. Londyn ma ich wiele. W każdej dzielnicy inną, w każdym mieście specjalną.

Dotyczy to też ich mieszkańców. Stałych i przyjezdnych. I tych co przybywają z innych krajów z zamiarem zostania na jakiś czas, albo na zawsze, wszystkich dotyka ta specjalna atmosfera, niemal wszyscy ulegają w jakiś sposób wdziękowi tego miasta, tak jak urokowi zachowanej w nim tradycji. Tej nie trzeba szukać, bo jest na każdym kroku. Co więcej, do tej tradycji łatwo się przyzwyczaić. W niej kryje się uczucie wolności i swobody. I głębokiego oddechu w ciszy londyńskich parków.

Nieodżałowana pisarka i kronikarka, Stefania Kossowska (Lwów 1909 — Londyn 2003), ostatnia redaktorka londyńskich „Wiadomości”

i „Środy Literackiej” w „Dzienniku”, napisała książkę pt. „Mieszkam w Londynie”. Po raz pierwszy wydana nakładem Fundacji Tadeusza Walczaka w Londynie w roku 1964. Poczytność jej była zapewniona, bo ówczesna Polonia londyńska poszczególnie i zbiorowo znajdowała w niej odbicie swego codziennego życia na emigracji. Stała się też nie tylko najbardziej dokładnym dla polskiego czytelnika przewodnikiem, ale też zbiorem anegdot, eleganckiej satyry i poczucia humoru. To ostatnie specjalnie sprzyjało anglosaskiej atmosferze miasta. Jak poczynała była książka Kossowskiej wśród polskich tubylców, jak i coraz większej ilości przybyszów i turystów kraju, wskazuje drugie jej wydanie w 30 lat po pierwszym, w roku 1994, tym razem nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej. Któż mógł się wtedy spodziewać, że po dziesięciu latach, w roku 2004, poczytność książki wzrośnie może stokrotnie? Czy też ci, co decydowali o drugim wydaniu, mieli albo przeczucie wielkiego napływu rodaków do Londynu, albo byli obdarzeni siłą nadprzyrodzoną? Po dziesięciu latach, drugie wydanie było gotowe, by podzielić się swoimi informacjami z nowo przyjętymi członkami Unii Europejskiej. Dziś, 14 lat później, optymizm każe myśleć, że książka dalej spełnia swe oryginalne zadania. A z nią, swe pisarskie zadania spełniła i dalej spełnia Stefania Kossowska.

Jej śmierć, 15 września 2003 roku, położyła kres jej publicystycznej działalności, ale pomnożyła czytelników. Bo oto, z emigracją nabierającą innego charakteru, Londyn stał się znowu tą stolicą polskiej emigracji na zachód. Tak pisała autorka we wstępie do drugiego wydania książki: „W czasie swego ostatniego pobytu w Anglii ks. prof. Janusz Pasierb — z którego przedwczesnym odejściem wciąż nie mogą się pogodzić w kraju jego przyjaciele pisarze, artyści i uczniowie, znalazł w czyjejs bibliotece «Mieszkam w Londynie» i po przeczytaniu zaraz zadzwonił do mnie, by mnie namawiać na ponowne wydanie tej książki. Przytoczyłam mu moje racje — że nie ma już Londynu o jakim pisałam, że to już jest właściwie książka historyczna”. „— O właśnie trzeba ją przypomnieć, by zatrzymać historię...” Ks. Pasierb ma rację. Dziś tę książkę przypominam znowu, bo jest wciąż aktualną, choć dla innych oczu, innego patrzera i innych wrażeń. Jest coś bardzo intymnego w odczuwaniu miejsca, w który się żyje i pracuje, a nade wszystko, tła codziennego życia, które niczego nie wymaga, a daje tyle, co oko zobaczy, a serce odczuje. Stosunek, jak myślę, jest intymny a jednocześnie bardzo własny, swój i do niczego nie zobowiązujący. W sumie przywilej wyjątkowy. Tylko patrzeć i słuchać.

„Mieszkam w Londynie” wspominam często po śmierci autorki, bo nakłania do porównań z innymi stolicami polskiej emigracji. Paryż,

atrakcyjny w dzień i w nocy, gęsto oświetlony w przeciwności do na ogół ciemnego Londynu, pełen głośniejszej gwary, w ciągłym ruchu, pełen zapach usmażonej cebuli, z wdziękiem młodej panienki, często pijany winem i słońcem, spieszący się w takt dmuchanej harmonii na każdym kroku, albo bardzo wesoły, albo bardzo smętny, czasem we łzach tęsknoty. Rzym pełen nieustającego ani w dzień, ani w nocy gwaru, ruchu pędzących samochodów, z głośnym klaksonem, nadęty, pewien siebie, ze zniewalającym uśmiechem, zawsze żartobliwy, zawsze dowcipny, nigdy zbyt poważny. Waszyngton, sztywnawy w krawacie, urzędowy, nudny, pełen ludzi takich samych jak my, pochodzenia wszechświatowego, z ich własnym charakterem wymienionym na identyczność charakteru amerykańskiego. Tak jak kocham Paryż i Rzym, tak czym prędzej wracam do londyńskiego zaułka spokoju, nawet pewności, że tu — mimo różnych miejscowych niedoskonałości — niewiele się zmienia. Kiedy Kossowska pisała o Londynie, choć uznawała liczne zewnętrzne zmiany, czuła trwałość londyńskich tradycji. I tak chciała je przekazać nowym młodym emigrantom, których zawsze witała z otwartymi ramionami i z wielkim zainteresowaniem słuchając ich głosów o tym, co chcą wiedzieć o kraju w którym żyli, pracowali i umierali ich ojcowie i dziadkowie.

13.07.2007

## ODRODZENIE

Pojęcie odrodzenia we współczesnej literaturze polskiej występuje często i przybiera wiele form. Mówimy o odrodzeniu narodowym, politycznym, społecznym i artystycznym. Także, nierzadko, o odrodzeniu moralnym. To ostatnie, w ogólnym sensie, bywa świadomą albo podświadomą podstawą do wymienionych poprzednio. Wszystkie te formy z konieczności pochodzą od ludzi światłych. Ich realna analiza rzeczywistości, nawet jeśli zabarwiona fantazją czy wyobraźnią, szukająca innych rozwiązań niż te, które widzimy przed sobą w życiu codziennym, to jedna z dróg do poznania prawdy. Tak jak w literaturze, w historii Polski współczesnej dzieje się coś podobnego. Próby odrodzenia istnieją w niej i powtarzają się regularnie przy każdej zmianie ustroju politycznego. Przeglądając kartki tej historii widać, że miesiąc sierpień często w nich występuje.

Skoro sierpień za pasem, wracają niektóre fragmenty o próbach odrodzenia. Dwadzieścia lat temu, 18 lipca 1987 roku, londyński „Tydzień Polski” zamieścił mój tekst, którego tytuł brzmiał: „Polski sierpień”. Pierwsza nowoczesna próba to dzień 6 sierpnia 1914 roku, kiedy o świ-

cie, z Oleandrów w Krakowie wyruszyła Pierwsza Kompania Kadrowa Józefa Piłsudskiego w kierunku na Miechów–Kielce. Sześć dni później Piłsudski wkroczył do Kielc, przekroczywszy granice Królestwa. Były to pierwsze kroki ku niepodległości Polski.

Następna dramatyczna data, tym razem koniec miesiąca sierpnia, to atak Hitlera na Polskę. Od tego momentu, próby odrodzenia — każda w innych warunkach — trwać będą aż do dnia dzisiejszego. Jedną z tych historycznych prób odrodzenia była konferencja „Okrągłego Stołu” w Polsce, w roku 1989. Było o niej wiele w prasie polskiej i zagranicznej. Co zostało we współczesnej literaturze polskiej? Niezbyt wiele, choć wiele napisano. Na emigrację też nie przenikało dużo. Tak jak każda sensacja, piśmiennictwo przedmiotu miało krótki oddech. Ale oto w Londynie, razem z autorką, znalazły się „Okruchoy z okrągłego stołu (Polskie impresje z lat 1989–1995)”, książka Anny Marii Mickiewicz, młodej lubelskiej poetki, wychowanki KUL-u. Zwraca uwagę już sam tytuł, gdzie autorka używa małych liter pisząc o okrągłym stole. Próba odrodzenia była tylko próbą. Warto się jej przyjrzeć, bo oczy, które ją obserwowały, były młode, pełne energii i oczekiwały istotnych zmian na lepsze.

I znowu ten sierpień... „I tylko ten wiatr... czyli wspomnienia z rewolucji”... Prolog. Data 17 sierpnia, rok 1989. „Młodzi ludzie, skupieni wokół Lubelskiej Autonomicznej Grupy Anarchistów organizują wiec. Zbierają podpisy w sprawie utworzenia w Lublinie Ośrodka Wolnej Kultury.” Próba odrodzenia nabiera sił na stronach książki. Jest niepokojąca. Jej język literacki jest buńczuczny. Agresywny. Taki był wtedy nastrój młodzieży, która chciała walki. Jeszcze nie o odrodzenie, ale o wolność słowa i czynu. Przypominam książkę Anny Marii Mickiewicz, cytując niektóre tytuły rozdziałów — wszystkie znamienne dla czasów i dla udokumentowania ówczesnego nastroju młodzieży uniwersyteckiej: „Prolog Rewolucja”, „Tylko ten wiatr...”, „Braki w baku”, „Sprytne triki w mieście Kocku”, „Dzieci rewolucji”, „Deficyt uczuć”, „Nie możemy zapominać o historii”, „Pomysł na rewolucję”, „Wizyta u Wałęsy”. Dla autorki są to niezapomniane realia. Dla czytelnika przez wiele lat oddalonego od tych realiów, widnokrąg może być zamglony. Ale nie jest. Dziś jest to już historia. Autorka i jej rówieśnicy, w kraju czy za granicą, przeszli przez pierwsze etapy próby odrodzenia. Proces tego odrodzenia szedł swoją drogą. Młodzież chciała proces przyspieszyć, aby zdążyć być młodymi. I zostać młodymi jak najdłużej. Kronika wydarzeń miała przed sobą jeszcze pewien dystans. Dystans bez ostatecznej mety.

Polski sierpień to miesiąc do pamiętania. Sierpień 1944. Powstanie Warszawskie. To najbardziej krwawa i dobitna próba odrodzenia. Kulminacja zwartej potęgi ducha narodu. Zryw bez precedensu, otwarty,

wszystko na szaniec. Nie czekając ani licząc na odwet. Nie kalkulując strat ani zysków. Nie myśląc co będzie. Tylko wielka niewiadoma. W literaturze polskiej nie brak śladów tej jedynej w dziejach próby odrodzenia. Jest ich dużo i to bardzo precyzyjnych. Luki w literaturze europejskiej są ciągle jeszcze do naprawienia. Tak jak do większości polskich prób odrodzenia, które są przecież niepodzielną częścią historii Europy i całego cywilizowanego świata.

20.07.2007

## APOLOGIA

Przeprosiny to obosieczna broń. Nigdy nie wiadomo gdzie wystrzeli. I czy tam gdzie trzeba. Gdy mama była odwrócona tyłem, mały Dyzio skorzystał. Wyciągnął drobną rączkę do salaterki, na której leżały jego ulubione malinowe cukierki. Spojrzał w kierunku odwróconej mamy. Złapał malinowego cukierka i tak szybko zjadł, że omal się nie udławił. Szelest papierka nakazał mamie się odwrócić. Mały Dyzio stał w kącie purpurowy. „A to wstyd” — powiedziała mama — „Nie wolno. Trzeba zaraz przeprosić mamę!” Mały Dyzio tak długo seplenił przeprosiny, że aż się rozplakał. Mama też w szloch. A w tym szlochu przeproszała Dyzia, że zostawiła malinowe cukierki na stole, zamiast je schować do kredensu. I tak oboje w szlochu przepraszali się nawzajem. Z tego morał „Przyznaj się, ale nie przepraszaj!”. Mały Dyzio był w strachu, a mama, jak to mamy, chciała, żeby Dyzio zjadł malinowy cukierek, ale tylko za jej zgodą. Co by tam było, nie wiadomo, ale malinowy cukierek był już i tak zjedzony.

Nie wiadomo skąd i dlaczego, świat nowoczesny ogarnęła epidemia apologii. Mężowie stanu, parlamentarzyści, premierzy, prezydenci, generałowie, wyżsi urzędnicy państwowi, nawet profesorowie wyższych uczelni, którzy powinni wiedzieć lepiej, przepraszają wszystkich dokoła publicznie i prywatnie. Czasem mają za co przepraszać, ale często biją się w piersi, ot tak, na wszelki wypadek. W jednej apologii wyznanie i rozgrzeszenie. Jedna dawka słowna jako placebo. I świat wraca do swego normalnego trybu życia. Apologia zrobiła swoje. Nikt w nią nie wierzy. Przyjmują dawkę raz, czasem drugą, bo nie sposób jej nie zauważyć, przy trzeciej zaczynają mieć wątpliwości. Powtarzana na wielu szczeblach aparatu państwowego wywołuje śmiech i podważa zaufanie do przepraszającego. Kiedy prezydent Stanów Zjednoczonych przeprasza za niepowodzenia w Iraku, bez konkretnego planu jak dalszych niepowodzeń uniknąć, to już nie śmiechu warte, a negacji wagi jego urzędu. Kiedy premier Wielkiej Brytanii przeprasza w Izbie Gmin za niedopatrzienia w ad-

ministracji służby zdrowia nie proponując żadnego natychmiastowego lekarstwa, zakrawa to na lekceważenie pacjenta. A może wyzdrowieje sam? W rezultacie nikt już żadnych przeprosin nie bierze poważnie. Jak szara mgła rozlega się powszechna apatia przeproszonych. Głos autorytetu przestaje nim być. Po przeprosinach obliczonych na zniknięcie problemu, następuje litania przyczyn. Nikomu nie przychodzi do głowy, że najlepszym środkiem zapobiegającym przyczynom, może być radykalna zmiana sposobu działania. Na pierwszy ogień przeprosiny — na rzecz przyznania się do winy. Na drugi — znaleźć lekarstwo. Nawet takie, które boli, doskwiera, jest niewygodne politycznie, piecze, zatyka w gardle, odbiera oddech. Jeśli autorytet pocierpi, pacjent szybciej wyzdrowieje. Na temat przeprosin przypomina mi się autentyczny emigracyjny, który można uznać za kluczowy w rozwiązaniu rzekomej tajemnicy tzw. gremialnych przeprosin. W kwietniu 1946 roku zaczęły na nowo wychodzić w Londynie „Wiadomości”, tygodnik literacko-polityczny, wznowienie paryskich i londyńskich „Wiadomości Polskich” i przedwojennych, warszawskich „Wiadomości Literackich”. Było to wkrótce po mojej demobilizacji. Redaktor Mieczysław Grydzewski zaproponował mi sekretarstwo w redakcji. Przyjąłem z ochotą. Tam zetknąłem się bliżej po raz pierwszy ze znakomitym i znanym publicystą i pisarzem, Zygmuntem Nowakowskim, krakowianinem, przed wojną czołowym pisarzem krakowskiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”. W czasie wojny Nowakowski był związany z rządem gen. Sikorskiego, a po jego śmierci był czynnym członkiem władz polskich na obczyźnie i w dalszym ciągu jednym z najświetniejszych publicystów. Z natury głęboki i nieustępliwy, bezkompromisowy patriota, w sprawach dotyczących Polski nie uznający żadnych kombinacji politycznych, nie prowadzących do całkowitej wolności kraju.

Nowakowski mieszkał wówczas w domu konsula RP w Londynie, dr. Karola Poznańskiego, w dzielnicy Hampstead. Odwiedzałem go tam, od czasu do czasu, nosząc mu korekty i inne materiały z redakcji. Opisałem kiedyś jedną z takich wizyt. Było popołudnie i tradycyjna herbata u państwa Poznańskich. Tak się złożyło, że akurat w tym czasie dostałem obywatelstwo brytyjskie. Konsul Poznański o tym wiedział z tytułu mojej oficjalnej deklaracji, jaką w tej sprawie złożyłem w Konsulacie RP, by nie utracić polskiego obywatelstwa. (Nie byłem w tym względzie odosobniony). Tak też dowiedział się o tym Nowakowski, który zareagował gwałtownie na wiadomość o zdemobilizowanych Polakach, przyjmujących obywatelstwo obcego kraju. Krótko mówiąc uważał ich za zdrajców. W czasie tej krótkiej i przykłej tego dnia herbatki, dr Poznański dyplomatycznie i z autorytetem wyraził zdanie,



że uważał stanowisko Nowakowskiego jako wysoce niesprawiedliwe. Nowakowski był niewzruszony. Uważał swoją pozycję za jedyną i nie dopuszczał do dyskusji. „Nie widzę powodu, aby tych zdrajców przeproszać. Moje stanowisko jest jasne i mam do niego wszelkie prawa. Co więcej, niczego nie żałuję”. Zdecydowana postawa przeprosin nie wymaga. Czego wymaga, to odwagi. A w sumie, malinowy cukierek już i tak był zjedzony.

27-29.07.2007

## INSTYTUT DOBREJ WOLI

Jak co roku, sierpień przywołał na pamięć historyczne próby, których celem było odrodzenie Polski. Pisałem o nich w „Tygodniu Polskim”. Dziś wracam do tej sierpniowej kroniki, bo nie może w niej zabraknąć próby równie brzemiennej, jak wszystkie inne, ale tej, której łańcuch następstw trwa do dziś dnia. W tej sierpniowej kronice, Sierpień 1980 r. w Gdańsku był taką próbą. Była ona tak ważna i kluczowa, że nie podobna porównywać jej z innymi.

Dwudziestopięciolecie gdańskiego sierpnia uświetnił dziennik „Rzeczpospolita” specjalnym dodatkiem z datą „Sierpień 2005”. W związku z aktem erekcyjnym Europejskiego Centrum „Solidarności” w Gdańsku, tak pisał Paweł Adamowicz w artykule pt. „Pamięć i miejsce w historii”: „Gdański, polski sierpień '80 rozpoczął pokojową, ewolucyjną drogę do wolności wielu narodów. Rangę wydarzeń nad Bałtykiem podkreślił w swojej ostatniej książce «Pamięć i tożsamość» Jan Paweł II, lecz świadomość roli Sierpnia w obaleniu porządku pojałtańskiego i zjednoczeniu Europy nie jest powszechna”. Wsiąkla ona w historię, a jej śladów praktycznych można tylko szukać w inicjatywach indywidualnych i wśród zgrupowań osób związanych oryginalnie z powstaniem i działalnością „Solidarności” i tych w różnych częściach świata, dla których jest żywa, bo przeżywają te same uciski polityczne i tak samo szukają pokojowej drogi do wolności. W planie Unii Europejskiej przyjęto solidarnościowe postulaty wolnych związków zawodowych. Przyjęto też zasady niezależnych politycznie związków ludzi pracujących. Zasady te są piękne i wzbudzają wiele emocji. Unia Europejska wpadła w sidła narodowych debat politycznych. Aby nadążyć za tempem wydarzeń i problemów piętrzących się na biurkach Komisji Europejskiej w Brukseli, wiele oryginalnych zamierzeń i zasad uległo pod ciężarem zbierającego się na nich kurzu. „Solidarność” była wspaniałą lekcją uniknięcia konfliktów społecznych. Tylko duża doza dobrej woli może te zasady wprowadzić

w życie codzienne. Nie wszędzie zabrakło dobrej woli. W roku 1995 rozpoczęła w Gdańsku swą działalność Fundacja pod nazwą Instytut Lecha Wałęsy. Fundacja jest organizacją apolityczną, pozarządową, bez zysku, poświęconą całkowicie sprawom sprawiedliwości społecznej i edukacji młodych, ochrony dziedzictwa narodowego, tradycji niepodległościowej i solidarnościowej. Jako pierwsza tego typu organizacja w Polsce zbliża się do zapomnianych przez Unię Europejską mandatów, nadanych jej przez państwa członkowskie, którym drogę wskazała „Solidarność” już w roku 1980. W dużej mierze zapomnianych też w kraju, a tak wiele się po Gdańsku spodziewano.

Nie tylko w kraju. Przypomina się Londyn i emigracja polska na Wyspach, w czasie kiedy Gdańsk był na ustach całej Europy i odzywał się głośnym echem w Stanach Zjednoczonych. Tu w Londynie żyli z nami, w nadziei naszego odrodzenia, wolności i równości wszystkich obywateli, nasi gospodarze i sprzymierzeńcy. Nagle byliśmy rozpoznawani. Byliśmy ludźmi przyszłości w Europie Środkowo-Wschodniej. Do roku 1980, kiedy zaczął się strajk w Gdańsku, musieliśmy — często na siłę — tłumaczyć naszym gospodarzom, że komunizm jest i naszym, i ich wrogiem. Nie wszyscy to przyjmowali w dobrej wierze. Taka była wtedy w ich oczach nasza uparta polskość. Dziś, po maju 2004 r., nasi gospodarze mogą tę upartą polskość poznać bliżej. Dziś w Anglii, Walii i Szkocji rosnąca niemal z dnia na dzień liczba polskich publikacji nikogo nie dziwi, poza samymi starymi Polakami. Ci ze zdziwieniem liczą lata zmian, które przeszedł naród polski w kraju i na emigracji.

Po 27 latach od gdańskiej wielkiej próby, było bardzo łatwo powiedzieć, że ta próba była kluczem do innych bram, ale byłoby też bardzo trudno odmówić jej pierwszeństwa w przekazaniu światu żywotnej informacji, że Polska nie podda się bez walki. Taki był sens tej próby, która — mimo wszystko — się udała. Nie trzeba się zbytnio zastanawiać nad jej konsekwencjami, czy ich brakiem w kraju. Bezsporny fakt jest na zawsze zapisany w historii, ale co najważniejsze, w pokoleniu, które z niego wyrosło. Tam jest następny klucz, może do wyszukania w Fundacji Instytutu Dobrej Woli Lecha Wałęsy.

3-5.08.2007

## **SŁONECZNA STRONA ULICY**

Kto z nas w czasie II wojny światowej brał na serio słynne słowa demokratycznego prezydenta Stanów Zjednoczonych Franklina Delano Roosevelt'a: „Polska natchnieniem świata”? Wszyscy. Była to zapo-

wiedź, że kiedy Polska się wykrwawi, będzie mogła liczyć na opiekę, pomoc materialną i orężną oraz przyjaźń tego potężnego kraju. Polska liczyła na to i, jak dowiadujemy się z polskiej i amerykańskiej prasy, nadal liczy.

Łączy się z tym faktem odbudowa gospodarcza, dziś w dalszym ciągu niezmiernie ważna, mimo członkostwa kraju w Unii Europejskiej. To są dwie odnogi tego samego zagadnienia. Każda wyraża się inaczej w praktyce. Unia Europejska to gospodarka praktyczna, dorywcza, na co dzień, geograficznie łatwa do wprowadzenia w życie. Stany Zjednoczone, nawet nie wspominając układu co do tarczy nuklearnej, to daleki rzut. Na dłuższą metę. Oparta na głębszych korzeniach i obliczona na trwałość. W Unii Europejskiej Polska ma do czynienia z grupą wielu państw i musi polegać na decyzjach gremium. W Stanach Zjednoczonych decyzje jednego rządu są łatwiejsze do osiągnięcia, do przyjęcia i pertrakcji. Wystarczą dwie mądre głowy do wprowadzenia ich w życie. Kłopot w tym, że ta jedna — podobno najważniejsza decyzja polsko-amerykańska — utknęła w martwym punkcie. Przypomina ta sprawa dwie stojące naprzeciw siebie orkiestry symfoniczne, każda z własnym dyrygentem, grająca ten sam klasyczny utwór w swojej własnej interpretacji. Polska orkiestra powtarza ten sam utwór przy każdej okazji, ściśle, jak w partyturze autora. Orkiestra amerykańska, składająca się głównie z muzyków europejskich, ma przed sobą wizję tamtych czasów. Jej interpretacja jest raczej dowolna, artystycznie świeża, dodająca połysku przyjętym formułom. W interpretacji polskiej, to muzyka tradycji i sentymentalnych wzruszeń. W muzyce amerykańskiej wszystko jest nowe, wolne od wszelkich tragizmów starego świata. Jak powiedziano wyżej, Polska liczyła i nadal liczy na Stany.

W praktyce naszego codziennego, merkantylnego życia samo ličenje to nie wszystko. Sprawa bezwizowego wjazdu dla Polaków jest w tym najmniej ważna. Europejski rok 2004 pokazał błąd trudny do naprawienia. Polska straciła wiele młodej siły. Europa zyskała niewiele poza nieuregulowanym ruchem, tak bardzo potrzebnej młodzieży. Bezwarunkowe otwarcie bram do Stanów może łatwo proces ten powtórzyć — z wielką stratą dla Polski, a z minimalnym pożytkiem dla Stanów. Tak więc, dwie orkiestry grają ten sam utwór, ale inaczej. Czy może żadna nie przeczytała tego, co zamierzał autor? Rzecz prosta, możemy się tylko tego domyślać. Ale autor, jako muzyczny poeta, może usiłować pokazać, że każdy konflikt ludzki prosi się o pojednanie.

Nie trzeba chyba wielkiego geniuszu politycznego, żeby grzebiąc w wielkim bazarze amerykańskich bogactw doszukać się istotnych dla Polski korzyści. Jedna z nich to amerykańskie inwestycje. W ska-

li bez pułapu. Nie będziemy nigdy wiedzieli, co miał na myśli prezydent Roosevelt w swoim górnolotnym wezwaniu, dotyczącym Polski. Pewnie uważał te słowa za moralną podporę cierpiącego narodu. Ale nawet w najlepszej wierze nie mógł przewidzieć, jakie Polska będzie miała najpilniejsze potrzeby. Dziś to wiemy, ale czy wiedzą to i Amerykanie? Pewnie nie. Co wiedzą, i co im jest dość wygodne politycznie, to że Polska ma miejsce w Unii Europejskiej. Miejsce? Czy też nie stoi w kolejce, tym razem do europejskiego bazaru? Ten, jak dotąd, nie okazał się rogiem obfitości. Kolejka do niego jest długa i tylko wybrani mają do niego dostęp. Niektórzy są na „taryfie ulgowej”, inni mają zaledwie miejsce w kolejce. Czyli tak, jak w życiu.

Nie mogę odwrócić się od wagi Stanów dla Polski. Wizy czy ich brak nic nie zmienia. Obopólna wymiana dóbr doczesnych, ta najkrótsza i najłatwiejsza droga do bazarów o światowej pojemności, to krok pozytywny. A przy okazji, można się jeszcze czegoś nauczyć. Na przykład, jak dojść do własnego miejsca dla kraju, który nie chce być na zawsze natchnieniem świata, a jego rzeczywistym i praktycznym członkiem.

8-10.08.2007

## HOŁD POLSKIM TRADYCJOM

Kolekcjonerzy zabytków polskich tradycji połączeni są świadomością szybkości przemijania czasu. Ich bodźcem do zbierania i kultywowania śladów życia narodu jest potrzeba przekazania ich następnym pokoleniom. To, co im przekażą, to jak metryka pochodzenia. Dlatego każdy dokument ocalony, skatalogowany, zabezpieczony i naukowo objaśniony, obdarzony jest rewerencją tych, którzy je odnajdują. W ten i tylko w ten sposób powstaje kontynuacja tradycji.

W historii Polski było wielu wybitnych kolekcjonerów dzieł sztuki, numizmatyki, map, porcelany, mebli, złota i srebra, miedzi i tkanin. Wszystkie kolekcje mają swoje miejsce w muzeach, zamkach i pałacach. Nie wszystkie jeszcze udostępnione są szerokiej publiczności, ku zrozumieniu tradycji, ku nauce i szerzeniu kultu historii narodu.

Tak się stało, że udostępniono niedawno w Warszawie nowy rozdział w dziejach polskiego kolekcjonerstwa. Tym niecodziennym kolekcjonerem jest zmarły niedawno w Warszawie, w wieku lat 80, Janusz Henryk Przewłocki. Jego bogate archiwa fotograficzne, obejmujące dokumentację życia ziemiaństwa i arystokracji na przełomie XIX i XX wieku, były w lipcu przedmiotem wystawy w Domu Spotkań z Historią „KARTA” w Warszawie, zatytułowanej: „Świat ocalony w kolekcji Janusza Prze-

włockiego". Jest to dorobek 40 lat mrówczej pracy, wyszukiwania, darowizn rodziny i przyjaciół, a nade wszystko porządkowania, kodyfikacji i pielęgnacji fotografii, pozytywów i negatywów, by udostępnić je następcom i historykom. Dziś kolekcja liczy 20 tysięcy pozycji. Jest to zbiór wyjątkowy, bo pochodzący w większości ze źródeł prywatnych i rodzinnych, których, z natury rzeczy, nie posiada żadne muzeum w takim całokształcie. Na wystawie przedstawiono 200 wybranych z bogatej kolekcji pozycji.

Niełatwo sobie wyobrazić, jak mozolnie musiał Przewłocki pracować nad zbiorem fotografii, czasem wyblakłych, czasem niewyraźnych, niekiedy zbyt ciemnych lub zbyt jasnych, by odtworzyć obraz jak najbardziej zbliżony do oryginału. W ciągu 40 lat jego pracy, musiał przejść przez wszystkie etapy postępu techniki utrwalania starych fotografii. Wielka praca uwieńczona archiwalnym sukcesem. I jakie bogactwo materiału dla historyka obyczaju, pisarza, scenografa, czy specjalisty od ubiorów, choćby dla teatru, filmu czy telewizji. W świecie dzisiejszym widzimy wszędzie szczegółowe obrazy dzisiejszego codziennego życia. A co dopiero szczegółowe obrazy niedzisiejszego codziennego życia, utrwalone fotograficznie to, jak było wtedy? Stroje, mundury, spojrzenia, tło, uśmiechy, czasem przez łzy, niemal ukłony, kto z kim i kto przy kim stoi, starsi przeważnie z innej strony niż młodzi, uroczystości rodzinne, śluby, chrzciny, święta w rodzinnym gronie, polowania, znamienni i mniej znamienni goście, zaręczyny, karety wiozące nowożeńców w podróż poślubną, imieniny, urodziny, praca w polu, w sadzie, w ogrodzie... Zdjęcia amatorskie obok zdjęć zawodowych fotografów.

Oto pamiątki z okresu sześćdziesięciu lat dziewiętnastego wieku i pierwszych 40 lat wieku dwudziestego. Pojawiające się w nich zaprzyjaźnione lub spowinowacone rodziny to Czartoryscy, Potoccy, Radziwiłłowie, Branicy, Zamoyscy i Czapscy. Janusz Przewłocki urodził się w majątku rodzinnym Mordy pod Siedlcami. Jego ojciec Henryk pochodził z ziemiańskiej rodziny Przewłockich, matka, Karolina z Hutten-Czapskich, była siostrą Józefa i Marii Czapskich. Czapscy wychowywali się w majątku rodzinnym Przyłuki, teraz na Białorusi, o czym tak pięknie i malowniczo pisała Maria Czapska w swojej książce „Europa w rodzinie”. I rzeczywiście, bracia, siostry, kuzyni, bliźsi i dalsi, rozsiani po tej Europie od XIX wieku, a może i dawniej, a ich wnuki i prawnuki w dalszym ciągu, weszli do Europy różnymi drogami, kiedy ich ziemię i mienie zabrała historia ich kraju rodzinnego.

Janusz Przewłocki czuł w sobie powołanie w postaci poczucia obowiązku zabezpieczenia historii i takiego samego poczucia obowiązku w stosunku do wielkiej, rozgałęzionej rodziny. Polsce i im swoją kolekcję polecił. Ośrodkowi KARTA należą się słowa uznania za pomysł

i wykonanie wystawy. Przywoła ku pamięci starym i młodym, poświęcenie człowieka, który ukochał dawne, polskie tradycje i stworzył pole godne talentów pisarzy, poetów i malarzy. Krótkie, ale wymowne było nasze spotkanie w roku 2005 w Toruniu, przy okazji wystawy malarstwa i rzeźby jego kuzynki, Izabelli Godlewskiej, w Muzeum Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Był wtedy otoczony rodziną, a więc jakby potwierdzeniem, że jego historyczny zbiór trafi tam, gdzie zamierzał.

17-19.08.2007

## KRÓTKI ŻYWOT ZACNEJ FUNDACJI

Od niepamiętnych czasów ziemia karmi narody. Polska, jako kraj rolniczy, jest tego klasycznym przykładem. Tak jak większość krajów o płodnej glebie. Jeśli ziemia bogata, dokarmia też, w razie potrzeby, umysły ludzkie kierujące dobrobytem tej ziemi, darząc naukę i osoby z nią złączone, owocami tej ziemi. Tak powstaje równowaga podziału mienia narodu. Bez względu na to, w jakiej sytuacji politycznej, czy ekonomicznej znajduje się państwo w danej chwili. Na pozór wydawało by się to proste i logiczne. Ale istnieją przykłady w naszej współczesnej historii, nie potwierdzające tego stanu rzeczy.

Dekret notarialny z dnia 30 października 1924 roku ustanowił Fundację imienia Bogdana Hutten-Czapskiego na rzecz Politechniki Warszawskiej i Uniwersytetu Warszawskiego. Fundacja była oparta na majątku, stanowiącym nieruchomości o powierzchni 2863 hektarów w miejscowości Smogulec, w województwie bydgoskim. Donator tak sprecyzował swój dar: „Celem Fundacji było dostarczenie Uniwersytetowi Warszawskiemu i Politechnice Warszawskiej środków na popieranie nauki polskiej”. Prezydent Rzeczypospolitej potwierdził Fundację Smogulecką imienia Bogdana Hutten-Czapskiego. Fundacja realizowała swoje cele aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Kiedy we wrześniu 1944 roku partia rządząca przeprowadziła reformę rolną, majątek fundacji przejął skarb państwa, mimo że Fundacja nadal formalnie istniała. W kwietniu 1952 r. podpisano dekret o ogólnym zniesieniu fundacji. Tym samym Fundacja Smogulecka przestała istnieć, a wraz z nią wielce korzystna i niezbędnie potrzebna pomoc dwóm wspaniałym polskim instytucjom naukowym, specjalnie w tak trudnym, powojennym okresie gospodarczym.

Tak jak trudno jest przewidzieć przyszłość, tak jeszcze trudniej jest zorientować się w teraźniejszości. Uwagę przykuwa myśl o celu nadrzędnym, wyższym, kiedy wypadki życia codziennego szykują inną

odpowiedź. Wiemy, że nie należy się spodziewać logiki od parlamentów ani rządów, zmieniających się w tempie niezmiernie szybkim i nastawionych na sukces dorywczy, bieżący, niemal na co dzień. Jeśli nie mamy szukać logiki w ich bieżących akcjach, tym bardziej nie możemy się spodziewać, że domyślają się zupełnie braku sensu i logiki w akcie, w którym państwo odbiera sobie samemu wartość, w postaci nieodpłatnego daru w dożywocie. Umysł polityczny jest zawsze dorywczy i szuka natychmiastowych rozwiązań. Jest to rezultatem doktryn partyjnych, krótkotrwałych i przelotnych. A co gorsze, zatruwa horyzonty ponad codzienne i optymizm co do przyszłości.

W roku 1993 rektor Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Andrzej Kajetan Wróblewski, i rektor Politechniki Warszawskiej, prof. Marek Dietrich, wystąpili oficjalnie do Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa w Bydgoszczy, zawiadamiając o ich zamiarze reaktywacji Fundacji Smoguleckiej, wnosząc o wstrzymanie wszelkich działań związanych z majątkiem Fundacji, a w szczególności z jego sprzedażą. Tu sprawa reaktywizacji Fundacji stanęła w martwym punkcie.

Obecny dziś w Polsce system polityczny, w którym państwo jest posiadaczem własności ziemskiej, jest pozostałością z niedawnej przeszłości. Jako taki jest sprzeczny z przyjętymi na Zachodzie, a specjalnie w Unii Europejskiej, zasadami. Jest też fundamentalnie obcy polskim tradycjom i sprzeczny z uniwersalnym prawem własności prywatnej. Jest też rezultatem politycznej słabości. Wyjątkowe okoliczności, które mogłyby usprawiedliwić kiedyś istnienie tego systemu, dziś dawno już zostały za nami. System więc, jeśli będzie istniał dalej, stanie się polskim unikatem. Ironią losu jest zupełny brak konkretnych decyzji, co do zwrotu mienia prawowitym właścicielom, w tym Fundacji Smoguleckiej, przez brak której dwie wspaniałe polskie instytucje należące do narodu, pozbawione są dodatkowych środków na krzewienie nauki polskiej. Świat nauki jest międzynarodowy. Udział Polski w tym świecie ciągłego dążenia do doskonałości w osiągnięciach naukowych jest konieczny.

24-26.08.2007

## WRZEŚNIOWE ROCZNICE

Wrzesień, w kraju i na emigracji, to miesiąc rocznic. Dotykają one, tak czy inaczej, wszystkich pokoleń Polaków. Są rocznice bardziej znamienne dla losów całego narodu, są też takie, których specjalna waga odnosi się do szczególnych jego wartości. Myślę, że dziś jest właściwy czas, aby przypomnieć Stefanię Kossowską, której śmierć w połowie

września 2003 roku w Londynie pozbawiła literaturę emigracyjną ciągłości pokoleń literackich od II wojny do czasów dzisiejszych. Poniższe przypomnienie ukazało się w „Tygodniu Polskim”, z datą 20 września 2003 roku.

### **Stefania Kossowska**

(Lwów 1909–Londyn 2003)

Pisarka, dziennikarka, redaktorka, świadek i dziennikarz intelektualnej historii Polski współczesnej od wczesnych lat trzydziestych aż do końca swojego bogatego i owocnego życia. A więc ogarnęła doświadczeniem może najbardziej dramatyczny okres przeżyć kraju. Urodzona we Lwowie 23.09.1909 r. jako córka znakomitego prawnika i adwokata Stanisława Szurleja (1878–1965) i Jadwigi z Ciepielowskich. W latach 1927–1932 studiowała język francuski w Lozannie (1927) i prawo na Uniwersytecie Warszawskim (1928–1932), uzyskując magisterium. Studia prawnicze to w dużym stopniu tradycja rodzinna. Ojciec, Stanisław Szurlej, przeszedł do historii politycznej Polski jako, m.in. obrońca Wincentego Witosa w słynnym procesie brzeskim (1930–1931), a potem jako szef sądownictwa wojskowego i Naczelny Prokurator Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Po wojnie był współzałożycielem Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie. Jej mężem był znany i ceniony artysta malarz i grafik, zmarły w Londynie, Adam Kossowski (1905–1986).

W roku 1935, jako początkująca dziennikarka, związała się z warszawskim tygodnikiem „Prosto z Mostu” pod redakcją Stanisława Piaseckiego i jako korespondentka współpracowała z pismami warszawskimi, m.in. z „Wieczorem Warszawskim” i „ABC”, do wybuchu wojny w 1939 roku. W latach wojennych była referentem do spraw literackich ministerstwa Informacji i Dokumentacji rządu polskiego w Paryżu (1939–1940), następnie w Londynie (1940–1947), a po wojnie była urzędniczką Polish University College w Londynie (1949–1953).

W roku 1946 wznowiony został w Londynie tygodnik „Wiadomości”, z którym Kossowska regularnie współpracowała w latach 1953–1969, m.in. jako autorka popularnej rubryki „W Londynie”, którą podpisywała pseudonimem „Big Ben”. W roku 1969 ciężko zachorował redaktor „Wiadomości”, Mieczysław Grydzewski. Od tego momentu do 1974 roku redagowała ona tygodnik wspólnie z Michałem Chmielowcem. Od roku 1974 aż do zamknięcia pisma w roku 1981 była redaktorem naczelnym, finansowym i administracyjnym. W tym czasie współpracowała regularnie z Radiem Wolna Europa i polską sekcją BBC. Przez sześć lat (1980–1986) czynnie współpracowała z londyńskim



„Tygodniem Polskim” w charakterze kierownika literackiego redakcji. Od roku 1986 redagowała „Środę Literacką”, miesięczny dodatek do londyńskiego „Dziennika Polskiego”. W latach 1977–1981 przewodniczyła Jury Nagrody Literackiej „Wiadomości”. Kossowska publikowała swoje eseje i recenzje niemal w całej prasie polskiej na obczyźnie. W kraju, współpracowała głównie z dziennikiem „Rzeczpospolita”, „Tygodnikiem Powszechnym”, „Dekadą Literacką” i miesięcznikiem literackim „Więzi”. Jej książki to: „Mieszkam w Londynie” (Londyn, 1964), „Jak cię widzę tak cię piszę” (Londyn, 1973), „Galeria przodków: sylwetki emigracyjne” (Warszawa, 1991), „Przyjaciele i znajomi” (Toruń, 1998). Wydała też antologię prozy „Wiadomości na emigracji” (Londyn, 1968) i Nagrody „Wiadomości” (1958–1990), pt. „Od Herberta do Herberta” (Londyn, 1993). Otrzymała nagrody: Radia Wolna Europa (1954), tygodnika „Wiadomości” (1970), Fundacji Jurzykowskiego w Nowym Jorku (1980), im. Stefana Badeniego i paryskiej „Kultury” (1984). W roku 1999 wyszła, nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie, praca zbiorowa pt. „Pani Stefa”, poświęcona twórczości i działalności Stefanii Kossowskiej, pisarki, dziennikarki i redaktorki, z okazji 90-lecia jej urodzin.

Olbrzymią zasługą Stefanii Kossowskiej było to, że potrafiła nawiązać kontakty z pisarzami i redaktorami, ale przede wszystkim z młodym pokoleniem literatów i publicystów w kraju. Przyjmowała ich u siebie, pomagała w wyszukiwaniu i badaniu materiałów leżących w polskich archiwach w Londynie, Paryżu i Nowym Jorku. Kossowska najchętniej dzieliła się swoim żywym zainteresowaniem nowościami literackimi w kraju i była w tym, może, jedynym w Londynie źródłem informacji. Lubiała też wszelkie literackie „plotki”, którymi tradycyjnie żyją wszystkie ośrodki twórcze, a specjalnie te, które dzieli nie tylko przestrzeń geograficzna, ale, aż do roku 1990, też wszelkie uprzedzenia. W tej inicjatywie wtórowała paryskiej „Kulturze”, choć nie wykraczała poza ramy czysto literackie, odwrotnie niż „Kultura”, w której dziedziny polityczne i ekonomiczne miały wyraźne pierwszeństwo. Te interesowały Kossowską mniej. Miała do tego pragmatyczny stosunek: bardzo lubiła wiedzieć jak i z czego żyją pisarze i intelektualiści. Zarówno w kraju, jak i na obczyźnie. Uważała, że ideowość nie powinna wyrażać się wyłącznie w patriotycznych uroczystościach — że idee powinny być pieczętowane słowem drukowanym, prozą czy poezją i że powinny zostać, jako ślad ludzkich przeżyć i dążeń. (...)

Stefania Kossowska zmarła 15 września w podlondyńskim „Antokolu”.

2.09.2007

## MASKARADA

Pierwszy tytuł, jaki miał mieć ten felieton, brzmiał „Towarzysz Putin i jego wojsko”. Zmieniłem z uwagi na najnowsze wiadomości z Moskwy i ze świata. Specjalnie z północnej sfery podbiegunowej, gdzie od niedawna faluje rosyjska flaga — jeśli tak można powiedzieć — na dnie arktycznego oceanu, w rzekomo olbrzymie zapasy ropy i gazu. To pierwszy rosyjski tytuł własności resztek światowego magazynu bogactw naturalnych. I konkluzja jak szybko Rosjanie zdejmą maski.

Jak się okazało, drażyli podbiegunowe dno już od dawna, na złość Stanom Zjednoczonym i swoim podbiegunowym sąsiadom. Jak wymierzili to dno i doszli do wniosku, że należy ono do geograficznej Rosji, to też zagadka okryta maską. Rzecz prosta, sąsiadzka Norwegia i zapobiegliwi Niemcy pośpieszyli z pierwszą umową pomiędzy sobą, aby, co najmniej, zabezpieczyć część tego łatwopalnego arsenału. A łatwopalny on jest z wielu powodów.

Nie tylko dlatego, że wystarczy przysłowiowa zapalka. Ale też dlatego, że zapalnikiem są wysokie ambicje polityczne i militarne Rosji, ekonomiczne Stanów Zjednoczonych, no i przede wszystkim tubylców — Norwegii, Szwecji i Danii. Ta najbliższa arsenału trójca autentycznych właścicieli, mimo że gotowa do partnerstwa z innymi, ma słuszne uprzedzenia co do potęgi militarnej Rosji, tak samo, jak do potęgi finansowej Stanów i Unii Europejskiej.

Potęga finansowa Rosji, jeśli taka istnieje, jest, jak zawsze, pod znakiem zapytania. Pod jeszcze mocniejszym znakiem zapytania są jej ambicje polityczne. Rosja liczy na poważne dochody, kiedy eksploatacja bogactw ruszy pełną parą. Ale na to samo liczą inni. Stany Zjednoczone, choć jak dotąd bogate w paliwa, wiedzą jak ograniczone mogą się okazać złoża naturalne i jak wiele kapitału potrzeba, żeby się do nich dostać.

Kapitał też ma coraz wyższą cenę w stosunku do czasu potrzebnego na praktyczne dobranie się do źródła bogactw, zakopanych głęboko na dnie oceanu pod Biegunem Północnym. Ironią tego przedsięwzięcia jest wspaniała, bogata natura podbiegunowego rejonu północy. Oto z jednej strony masy lodu topnieją, podwyższając temperaturę do coraz bardziej niebezpiecznych dla całej ludzkości granic, a z drugiej eksploatacja dna oceanu proces ten gwałtownie przyspieszy, produkując trujące gazy.

Już dziś nabrać należy głębokiego oddechu, by zrozumieć zachłanność ludzką, prowadzącą świadomie do utrudnienia tego oddechu. Czy kiedykolwiek w historii świata była obawa, że będziemy sami truli naszą własną, piękną naturę?

Maski spadają z rosyjskich dygnitarzy jak przekwitłe kwiaty. Jak wiemy z licznych poświadczonych historią doświadczeń, ambicje Rosji nie mają granic. Ani tendencji do zmian bez względu na klimat ustrojowy. Na czele tych ambicji jest potęga militarna. Na drugim miejscu, choć równorzędna, to chęć bycia przyjętą do wysokiego stołu bogatych, zachodnich demokracji.

Wizerunek, który nosi na piersi każdy Rosjanin, to „Ameryka”. Wyśmiewać się z niej można, nawet wypada. Ale nie pomniejsza to wagi wizerunku. Mają już swoje własne drapacze chmur, ale nie mają amerykańskiej swobody bycia ani wyczucia, jak prawo reguluje prawdziwą demokrację. To nie leży w rosyjskiej psychologii. I tej swobody bycia im brak, tak jak brak im koncepcji życia bez strachu. Mają wprawdzie swoją odmianę łatwej komunikacji z innymi, ale nie tak łatwej jak Amerykanie.

Wizerunek więc Ameryki jest niekoniecznie jasny, często zamglony znakiem dolara, jeszcze częściej dyktowany filmami z Hollywood. Dziś jednak ambicje militarne ukazują się na szpaltach światowej prasy niemal codziennie. Gra rakiet nad Europą to poważny element dyplomatyczny i polityczny. Ale jak go wygrać? Ameryka może mieć więcej rakiet, ale Rosja nie leży daleko w tyle. Tu spada następna maska. Przeloty rosyjskich odrzutowców nad Morzem Północnym i Atlantykiem to manewry niby pouczające Brytyjczyków i ich aliantów o innym arsenale rosyjskim. To nie tylko maska, ale wyzwanie o przyjęcie do klubu możnych tego świata. Niekończąca się maskarada — to tak jak gra w pokera, tyle tylko że stawki są coraz wyższe; których — jak dotąd — nikt nie wygrywa, ani nie przegrywa. Czy i kiedy przyjdzie moment, w którym jeden z graczy będzie zmuszony odkryć karty? Może się to łatwo zdarzyć pod szybko topniejącym lodem nad Biegunem Północnym.

Kiedy ambicje polityczne poparte są ambicjami militarnymi, tracą najłabsi. Czy historia czeka, żeby się powtórzyć?

7-9.09.2007

## SZTUKA PRZYJAŹNI

Stefania Kossowska (1909–2003), dziennikarka, pisarka, redaktorka, w kraju, przed drugą wojną, i na emigracji, miała wrodzony dar przyjaźni. Ważny fragment jej bogatego życia i bliskiej przyjaźni z poetką, Anną Frajlich, przybliżyła literaturze polskiej dr Anna Supruniuk w swojej świeżo wydanej książce, pt. „Definicja szczęścia” (Stefania Kossowska. „Definicja szczęścia”. Listy do Anny Frajlich 1972–2003. Do druku przy-

gotowała, słowem wstępnym i przypisami opatrzyła Anna Supruniuk, *Archiwum Emigracji XXVII*, Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń 2007). Dokładne i wyczerpujące przypisy, zwięzłe i naukowo opracowane, są w tej książce konieczne, by wytłumaczyć i zrozumieć treść tej przyjaźni.

Z jednej strony dzielił tę przyjaźń Atlantyk. Autorka listów mieszkała w Londynie. Autorka odpowiedzi w Nowym Yorku. Z drugiej, dzieliła dwie pisarki różnica pokoleń. Tu nieodzowna uwaga: Kossowska miała wyjątkową łatwość porozumienia z młodymi ludźmi, związanymi w jakikolwiek sposób z piśmiennictwem, i wyławiania młodych talentów literackich, bez względu na szerokość geograficzną ich zamieszkania. Co może ważniejsze, to to, że ze zwykłej, profesjonalnej wymiany korespondencji pomiędzy redaktorem i młodą poetką wyrosła szeroko rozgałęziona przyjaźń bardzo osobista, niemal intymna. Doświadczona życiowo i zawodowo Kossowska miała w sobie dużo instynktu opiekuńczego.

Wyraziło się to w listach do poetki podwójnie: w delikatnym kierowaniu talentem poetki, jak i w prawie macierzyńskiej trosce o jej zdrowie. Listy Kossowskiej mają w sobie całą gamę uczuć, obaw, rad, radości z poezji młodej pisarki, a nade wszystko — z jej obecności i bliskości. Bliscy i przyjaciele, a specjalnie czytelnicy londyńskich „Wiadomości” (1946–1981), wiedzieli, słyszeli o młodej poetce Annie Frajlich pewnie aż do marca 1981, kiedy tygodnik przestał wychodzić. W latach późniejszych, korespondencja i jej bogactwo literackie i pamiętnikarskie było znane niewielu. Kossowska często mówiła bliskim o Annie Frajlich, o jej poezji i o przyjaźni.

Potem, kiedy przyjaciele i znajomi znikali, mało wiedziano o kontynuacji korespondencji aż do śmierci Kossowskiej w roku 2003. Dopiero dziś, dzięki zapobiegliwości Anny Supruniuk, listy te weszły do literatury. Należy się też duże uznanie toruńskiemu Archiwum Emigracji. Niecałe 10 lat przed zamknięciem londyńskich „Wiadomości”, 19 czerwca 1972 roku, Kossowska, ich ówczesna redaktorka (tymczasowo w zastępstwie chorego redaktora Michała Chmielowca), tak pisała do młodej, nieznannej poetki Anny Frajlich: „Bardzo ucieszył mnie i list Pani i wiersze. «Wiadomości» — jak Pani zapewne wiadomo — liczą sobie niemal 50 lat i bardzo się cieszymy, gdy zgłaszają się do nas młodzi pisarze... Umiała Pani w swoich wierszach zachować piękną równowagę między nowoczesnym idiomem i rzetelnym sensem, którego brakuje tylu współczesnym wierszom”.

Kossowska, redaktor praktyczny, i pisarka rzetelna w obserwacji zjawisk nie lubiła emfazy i jeszcze mniej lubiła, specjalnie w poezji, to, co zakrawało na egzaltację. W zakończeniu tego, pierwszego w zbiorze,

listu, który zapoczątkował współpracę poetki z pismem, redaktorka pyta: „Czy nie pisze Pani nic prozą? Jeśli tak — proszę koniecznie coś przysłać...” Tak zaczęła się literacka i osobista przyjaźń. Tak jak pierwsze listy do Anny Frajlich zaczynała „Droga Pani”, tak w styczniu 1975 roku, Kossowska pisała „Droga Pani Anno”, przeprasząc w liście za „poufałość”, i dalej: „Proszę też zapomnieć o tych wszystkich formalnościach, „szacunkach” i „poważaniach” w listach do mnie...”

W kwietniu tego samego roku znajdujemy list, w którym londyńska pisarka pisze: „Droga Pani Aniu”, i tak już zostało aż do kwietnia 1998 roku, kiedy list z tą datą zaczynał się frazą „Pani Aniu najmilsza”. Już w lipcu tego roku, Kossowska przeszła na „Aniu kochana”. W miarę rozwoju współpracy z „Wiadomościami” aż do 1981 roku, i w miarę coraz głębszej korespondencji, rosło wzajemne poznanie obu pisarek. Choć listy Anny Frajlich do Kossowskiej byłyby niewątpliwie fascynujące, równie atrakcyjna jest domniemana pełna ich treść, czytana w odpowiedziach na listy do niej z Londynu.

Z listów Kossowskiej i jej szczegółowych odpowiedzi na listy Frajlich, możemy sobie łatwo wyobrazić podłoże intelektualne tej treści. W tym jest obraz nie tylko wymiany informacji, ale też klimatu literackiego emigracji, i, co może nawet ważniejsze, wprowadzenie młodej poetki do tego klimatu. Był on dość specyficzny. Odległość od kraju wymagała specjalnej pieczy na językiem ojczystym. Poezja miała w tym zadania wyjątkowe. Młoda poetka, żyjąca w Ameryce, miała inny obraz emigracji.

Był to obraz, który interesował Kossowską, współpracującą z pisarzami polskimi w Stanach Zjednoczonych, ale różnica pokoleń wymagała nowych źródeł literackich. Londyńska pisarka wykazała tu wielką zaletę w popieraniu nowych, młodych talentów. Nie był to jej jedyny sukces w tej dziedzinie. Dzięki niej odrodzona filologia polska znalazła też oddźwięk w Londynie. O poezji Anny Frajlich będą na pewno pisać szeroko młodzi polscy historycy literatury. W książce Anny Supruniuk znajdują materiał podwójny.

Listy doświadczonej pisarki, dziennikarki i redaktorki w odpowiedzi na listy młodej, początkującej poetki, może szukającej tych cech kultury i literatury polskiej, w której wychowało się pokolenie Kossowskiej. Jej autorytet w „polskim Londynie” był i jest znany i ceniony. Jest też dobrze znany w kraju. Jej listy do Anny Frajlich to potwierdzają. Wskazują też na to, że dla młodej poetki ten autorytet był drogowskazem nie tylko literackim, ale też głęboko osobistym. Książka Anny Supruniuk to słuszne przypomnienie mało znanej części działalności Stefanii Kossowskiej.

15-16.09.2007

## ŚRODEK CIĘŻKOŚCI

Ogłoszono w Polsce wybory parlamentarne w październiku 2007 roku. Jak się okazuje, koalicja, taka jaka była, nie dała sobie rady z bieżącymi problemami kraju. Pochodzące z różnych źródeł doświadczenia wskazują na rzadkość wypadków, w których wielobarwna koalicja daje sobie radę z rzeczywistością. Ta wymaga kompromisów. A to rzadkość. Środek ciężkości, ten co zwykle jest kamieniem węgielnym wszystkich nieporozumień, można nagiąć do pewnego stopnia. Przekroczywszy ten stopień, konieczna jest odwaga, by zamiast upierać się gorączkowo przy czysto partyjnych doktrynach, zasiąść do stołu z kompromisem. Trochę dodać, trochę ująć, byle była zgoda. Nawet tymczasowa. W tym cały sęk. Wiemy też z wielu historycznych doświadczeń, że kompromisy nie leżą w polskim charakterze politycznym. Środek ciężkości więc nie będzie wśród jednostek politycznych, polityków czy partii politycznych, a raczej utknie na przetargach pomiędzy bliżej ze sobą spokrewnionymi ideowo odłamkami tych partii. Jeśli tak, to w sumie niewiele się zmieni. Partyjna mapa polityczna Sejmu i Senatu nie ulegnie wielkiej zmianie. A więc pozostanie to samo pytanie, co zawsze w Polsce przed wyborami, tak jak i często po wyborach. Kogo wybieramy? Polityków, działaczy, urzędników, pośredników, krzykaczy, doktrynerów, teoretyków, politologów, karierowiczów, przyjaciół znajomych ministrów, tych co mówią zawsze „tak” i nigdy „nie”, łagodnych, nie ambitnych, zawsze zadowolonych, nie uznających zmian, cierpliwych, nudnych, nie mających żadnych nowych idei? Czy specjalistów, technokratów, inżynierów, budowniczych, ekonomistów, doktorów, naukowców wszystkich dziedzin, architektów, nauczycieli, przemysłowców, handlowców, nie zapominając o pisarzach, poetach, malarzach i muzykach? Na którą stronę przechyli się środek ciężkości?

Rozglądając się nie dalej jak, na początek, tylko po Unii Europejskiej, jej członkowie założyciele, tak jak nowi członkowie, mają, w sumie, te same problemy do rozwiązania. Są one gospodarcze i socjalne. Gospodarczo: międzynarodowość przemysłu i wymiany dóbr, nieuregulowana koncentracja kapitału, polityka inwestycyjna... Socjalnie: bezrobocie, migracja i emigracja. Polska ma problemy dodatkowe, w formie spadku po długoletnim oddaleniu od Europy Zachodniej. Niemniej, nie jest odosobniona w warunkach, w jakich musi pracować. W innej skali, w innej przestrzeni czasu, ale na tych samych zasadach. Polska spieszy się, by nadażyć i pilnie obserwuje zmiany w polityce swoich sąsiednich, europejskich sąsiadów. Szczególnie Francji i Niemiec. Co do Wielkiej Brytanii — choć Polska jest jej bliska, tradycyjnie i wspólnie

cześnie — jej system polityczny i ustrój jest odmienny od „łacińskiej” Europy. Tu interesująca dygresja. Wielka Brytania oczekuje wyborów powszechnych, pewnie w okresie bliskim wyborom w Polsce. Brytyjska Partia Pracy, dziś sprawująca rządy, wydaje się rozumieć, że w dzisiejszym szybko poruszającym się świecie politycznym, w skali międzynarodowej jak i narodowej, zasadnicze różnice pomiędzy partiami politycznymi nikną, wobec ogromu zagadnień nie tylko europejskich, ale i światowych. Brytyjski premier zaprosił na naradę członków dwóch głównych partii opozycyjnych. Nie ważne, czy w gruncie rzeczy miał na myśli względy czysto pragmatyczne, czy nie. Faktem jest, że naradzali się razem. Co najważniejsze, wzajemnie się informowali. A co jeszcze ważniejsze, poinformowali wyborców, że żadna partia polityczna, sama oddzielnie nie podola ogromowi problemów, z jakimi będzie się musiał uporać cały cywilizowany świat. Oto gwałtowne ocieplenie, zmiany klimatyczne, ciągnąca się w nieskończoność wojna w Iraku, Bliski Wschód, Palestyna, niebezpieczeństwo nuklearne z Iranu, Korei Północnej i innych krajów, no i coraz głębiej zakorzeniona, cicha i głośna, globalna akcja rewolucyjna radykalnych muzułmanów.

Dziś polscy wyborcy są daleko od czasu, kiedy może ich to dotyczyć. Mają jednak codziennie przed sobą dokładne wiadomości, co do stanu zdrowotnego naszej półkuli. Nie mogą nie zauważyć, że ta „nasza” półkula się zmniejsza. Tak jak kurczy się czas, który może się okazać potrzebny na to, by skutecznie działać. Czytam z rosnącym niedowierzaniem w przedwyborczych komentarzach dziennikarskich o tym, co świadczy o klimacie personalnym, jakim te komentarze operują. Czy rzeczywiście tylko personalia są ważne? Czy może mylą się komentatorzy?

21-23.09.2007

## SUWERENNOŚĆ

Patrząc dziś na mapę Europy i jej przyległości, trudno jest ulec złudzeniu, że jest to monolit. Historia każdego elementu tej grupy samodzielnych i niepodległych państw i narodów wskazuje na ich odrębność. Bitwy, które toczyli między sobą o pierwszeństwo, fizyczne i polityczne, długoletnie sprzeczki o prawdziwe, czy domniemane bogactwa, o królewskie wpływy, o korony, o ziemię, o religie, o praworządność, o prawo, o tradycje, o moralność — wszystko, co reprezentują jako państwa i narody — to żyje tak samo, jak zawsze żyło. Tego nikt ani nic nie zmieni. Można więc zapytać, czy Europa jest w Unii? Odpowiedź pragmatyczna

musi brzmieć „tak”. Ale czy to jedyna odpowiedź? Nie bez powodzenia odparto ataki na projektowaną „konstytucję” Unii, dziecko bujnej imaginacji Francuzów, dla których ich oryginalna pozycja jednego z „rodziców Unii”, więc najbardziej uprzywilejowanego członka-założyciela, była sygnałem do proponowania daleko idących reform. Francuzi lubią reformy, lubią debaty, a nade wszystko — lubią rządzić. Urzędniczy skład Komisji Głównej Unii, tak jak tzw. Europejski Parlament, dopuścili do debaty, ale w końcu Brytyjczycy nie wytrzymali. Ich głośne veto, choć powitane bez większego zdziwienia, miało właściwy oddźwięk. Konstytucja przepadła. Francuzi zmienili rząd i prezydenta, a Holendrzy, drugi głośny przeciwnik konstytucji, dołączyli do głosów sprzeciwu. Ale Francuzi nie stracili animuszu, by reformować Unię. W czerwcu, 27 szefów państw członkowskich Unii zadeklarowało, że „koncepcja konstytucji Unii” została pogrzebana. Dziś jesteśmy już w trochę innej Unii, ale wisi nad nią nowa reforma. Tym razem już nie konstytucja, a traktat. Debata trwa. Proponowany traktat, Reforma Unii, jak wskazuje jej projekt, może fundamentalnie zmienić politykę narodową członków. Oto krótka synteza projektu nowego Traktatu Unii Europejskiej: prezydent jako głowa Unii, europejski korpus dyplomatyczny i minister spraw zagranicznych, jednolity kodeks prawa kryminalnego i europejski publiczny prokurator, skasowanie 40 narodowych praw weta, nadanie Unii „osobowości prawnej” i mandatu kontraktowania umów międzynarodowych, czyli praw istniejących wyłącznie w konstytucjach suwerennych państw.

Albo mamy do czynienia z nieporozumieniem, które może mieć daleko idące konsekwencje, specjalnie w krajach o zakorzenionych tradycjach, albo Unia idzie w kierunku własnej państwowości. To kierunek chyba niebezpieczny. Oddala to demokratyczną współpracę w tych dziedzinach, które dotyczą wszystkich członków Unii. Jednocześnie odbierając członkom te dziedziny społecznego życia, bez których indywidualna tożsamość narodowa nie może istnieć. Prasa europejska pyta dlaczego potrzebne są reformy? Czy po to, żeby Unię skoncentrować? Czy po to, żeby ją wzmocnić militarnie? Czy też po to, żeby ściślej kontrolować działalność państw członkowskich? Odpowiedź nie jest łatwa. Wracam do pytania zadanego retorycznie na początku tego tekstu — „Czy Europa jest w Unii?” Oczywiście jest. Ale do jakiego stopnia można zdefiniować Unię, której oryginalnym zadaniem była koncentracja rynku europejskiego ku uzyskaniu regulacji ekonomicznej? Chodziło między innymi o zmniejszenie przetargów o artykuły pierwszej potrzeby, by w ten sposób wyrównać różnice w stanie posiadania państw członkowskich. Dziś definicja ta wymaga rewizji. Lata istnienia Unii przyniosły zmiany



polityczne. Dołączyli nowi członkowie. Nowe doświadczenia militarne wzmogły nasilenie fizycznego niebezpieczeństwa w formie istniejących zatargów wojennych, jak też ataków terroru. Czy może to być argument do zacieśnienia więzów Unii? Niemniej, Unia musi pozostać demokratycznym instrumentem wolnej akcji, a nie zorganizowanym „związkiem zawodowym” wolnych narodów o własnych władzach państwowych, własnych parlamentach i prawa własnej decyzji tam, gdzie ich własny system władzy jest tak potrzebny ich obywatelom. Tylko to może im dać świadomość, że decydują o swoim losie i za te decyzje sami chcą ponosić odpowiedzialność. Po wyborach październikowych Polska poweźmie decyzję w sprawie projektu nowego traktatu Unii. Trzeba mieć nadzieję, że będzie to własna jej decyzja.

28-30.09.2007

## 27 ROSARY GARDENS, LONDON SW7

Jak z rękawa sypią się 60-letnie wspomnienia. Kto jeszcze pamięta przełomowe czasy wojny i cenzurę władz brytyjskich? 12 lutego 1944 roku rząd brytyjski wstrzymał przydział papieru „Wiadomościom Polskim” — najbardziej poczytnemu literackiemu i politycznemu tygodnikowi polskiemu na obczyźnie. Powodem tej decyzji był brytyjski „appeasement” w stosunku do Sowieców, stojący w ostrym konflikcie z antysowiecką polityką pisma i rządu polskiego.

Tak to wtedy było. Pod pretekstem przydziału papieru cenzura dyplomatycznie regulowała działalność polityczną swoich aliantów. Nie było odwołania od takiej decyzji. Przydział papieru na wydawnictwa był racjonowany. Pomimo że mieliśmy paru dobrych przyjaciół w brytyjskich kołach politycznych, którzy rozumieli nasze stosunki, a raczej ich brak, z Sowiecami, o interwencji oficjalnej nie mogło być mowy. I tak, dopiero po zakończeniu działań wojennych w Europie, 12 maja 1945 roku, sytuacja się zmieniła. Upłynęło jednak jeszcze wiele lat, nim opinia publiczna w Anglii dostrzegła istotne motywy sowieckiej polityki międzynarodowej.

W kwietniu 1946 roku, czyli po przeszło dwóch latach milczenia, nowe wcielenie „Wiadomości Polskich”, tym razem z tytułem „Wiadomości”, ujrzało światło dzienne. Może warto przypomnieć, że pismo to — choć z przerwą nie z jego winy — było kontynuacją „Wiadomości Literackich” (Warszawa 1924–1939) i „Wiadomości Polskich” Paryż (Londyn 1940–1944). Nowe londyńskie „Wiadomości” redagował, tak jak oba dawne wcielenia, Mieczysław Grydzewski.

Wydawcą, też tak, jak dawniej, był Antoni Borman. Pierwszym lokalem redakcji był dom państwa Sendeków przy Rosary Gardens, w dzielnicy South Kensington, w krótkiej, cichej ulicy pomiędzy Hereford Square a Old Brompton Road. Redakcja i administracja pisma mieściła się w dużym frontowym pokoju od ulicy. (W jednym z pokoi na pierwszym piętrze mieszkał przez wiele lat poeta, Skamandryta, Stanisław Baliński.) Stały tam: z jednej strony biurko redaktora, a pod frontowym oknem duży stół, na którym Antoni Borman i okoliczni pomocnicy pakowali pismo. Z papierem dalej były trudności, ale okazało się, że w „spadku” po Dywizji Pancерnej została w Belgii polska drukarnia. Tam drukowały się „Wiadomości”.

Na początku pismo wyglądało biednie i chudo na zewnątrz. Pęczniało jednak, z tygodnia na tydzień, bogactwem treści. Emigracyjna literatura i piśmiennictwo w Londynie, w Nowym Jorku, w Paryżu, w Rzymie i wszędzie tam, gdzie osiedli albo znaleźli się pisarze, były brzemienne świetną twórczością. Nie było w tym piśmie nic bardziej bezkompromisowego, niż jego cotygodniowa treść literacka i polityczna. Niemal jako odpowiedź na niewidzialną urzędniczą rękę, która wstrzymała pismo w roku 1944, potężna nic niepodległościowa brzmiała pełnym głosem, przekonania o swej racji.

Dodaję tu wspomnienie osobiste. W roku 1946 redakcji sekretarowała Małgorzata Opieńska, żona Józefa Opieńskiego, przedwojennego spikera Polskiego Radia w Warszawie, potem w Londynie i w Polskiej Sekcji BBC. Po paru miesiącach, kiedy zachorowała, Grydzewski zaproponował mi tymczasowe zastępstwo. Byłem dopiero co po demobilizacji. Przyjąłem bez wahania. Tak się stało, że choroba Opieńskiej się przedłużała, a moje tymczasowe zastępstwo stało się permanentne i przetrwało sześć lat, do 1952 roku...

Przechodziłem ostatnio parokrotnie koło domu na 27 Rosary Gardens. Za każdym razem cisnęły się w pamięci obrazy domu i osób. Kto ich jeszcze pamięta? Wymieniony wyżej współlokator „Wiadomości”, Stanisław Baliński, który cierpiał na chroniczny katar — leczył go olbrzymią czerwoną chustką, i (z polecenia swojej nauczycielki języka angielskiego, którego poprawną wymowę uważał za nieosiągalną) sokiem z marchewki. Świetny poeta, Jan Rostworowski, syn dramaturga Karola Huberta, który co pewien czas przyjeżdżał do redakcji małym, towarowym vanem, w którym miał sklep „delikatesów” polskich i innych. Jedliśmy wtedy krakowską kielbasę i małosolne ogórki. Przynosił też czasem wiersz nabazgrany na zatłuszczonej kartce papieru. Przychodzili też inni, zwykle nieśmiało, trzymając w drżącym ręku rękopis dla pana redaktora. Tego ostatniego nigdy w dzień w redakcji nie było. Dnie

spędzał w czytelni British Museum. Wieczory w redakcji. I tak, choć w innych pomieszczeniach, pismo wytrzymało do 1981 roku. W tej samej, nigdy nie zmienionej formie — po śmierci Grydzewskiego pod redakcją kolejno: Michała Chmielowca i Stefanii Kossowskiej. Potrzeba pisania o sprawach polskich trwa. Ale sprawy są inne.

5-7.10.2007

## GŁOS ZNAD WISŁY

Sądząc po szeroko rozgłaszanych informacjach w kraju i na obczyźnie, tym razem głos październikowych wyborów nad Wisłą obejmie wiele miejsc osiedlenia rodaków poza Polską. Głos dojdzie do chyba wszystkich krajów Unii Europejskiej. Dojdzie wszędzie tam, gdzie ciekawe środowiska polskie czekać będą albo na spodziewane zmiany w kierunku polityki polskiej, albo przeciwnie — na status quo.

Głos składać się musi z różnych tonów. Ten, który przyjdzie znad Wisły, będzie odpowiedzią na ton głosu z urn wyborczych. W Polsce i poza nią. Co jest nowe i ważne, to to, że dziś nie tylko rodacy w kraju i poza krajem nadstawiać będą ucha na głos po wyborach nad Wisłą. Dziś, nie tylko w Unii Europejskiej, ale w wielu innych krajach (niekoniecznie tych, w których są Polacy), wiele par oczu i uszu zwróconych jest nad polską rzekę, jak na termometr tej, może najbardziej centralnej, części Unii.

Tak jak historycznie od wieków mówimy o niezbyt dogodnym położeniu geograficznym Polski pomiędzy Zachodem i Wschodem, tak zmieniający się układ sił w całej Europie, idący z optymizmem ku rzeczywistej w przyszłości unii — to położenie łagodzi. I tym samym, daje możliwość głębszego oddechu. Unii i Polsce. Dlatego Bruksela, Londyn, Paryż, Rzym, Berlin, Madryt i... Waszyngton będą słuchać głosu znad Wisły z uwagą i z bliższym zainteresowaniem. Nie chodzi tu tylko o handel, przemysł i finanse. Chodzi tu też o zaufanie do tego jednego głosu, który potrafi wykrzesać kompromis patrząc na metę, a nie na wyboistą do niej drogę. Meta to dłuższy okres stabilizacji politycznej, nie w zwykle niebezpiecznych, przypadkowych, krótkotrwałych koalicjach, a w trwałej, elementarnej debacie, gdzie teoretyczne doktryny ustępują miejsca realiom. Takiego to głosu czekają wyborcy, a z nimi ich sojusznicy. Jeśli głos okaże się tubalny, głośny i zabrzmi dźwięcznym głębokim basem, to już krok do równowagi. Baryton przekona na krótko optymistów i utrwali w nich wiarę, że nic jeszcze nie stracone, ale czy ta wiara wystarczy? Może też okazać się zbyt wyzywający, co nie będzie złe

— wyborcy lubią wyzwanie do czynu. Męski tenor wzruszy wyborców żeńskiego rodzaju, ale nie poruszy serc karierowiczów politycznych, bo ci nie lubią romantyzmu. Będzie jednak brzmiał zgodnie, może zbyt łagodnie, za bardzo ugodowo. Sopran zabrzmii cieniutko i w kraju, i poza krajem. Będzie brzmiał nijako, niezdecydowanie, skromnie, bez wyrazu, choć delikatnym tonem uczuli przekonanych już od dawna pesymistów, usprawiedliwiając ich wiarę w słabość systemu. A dyskankik... znaczyć będzie o nowych wyborach za sześć miesięcy...

Mylą się ci, którzy żyją w przekonaniu, że wybory parlamentarne to proces wyłącznie polityczny. Głosowanie indywidualne w wyborach do dwóch izb ustawodawczych w wolnym kraju to proces i społeczny, i psychologiczny. Ale nade wszystko tajny. Kartka wrzucona do urny wyborczej, z krzyżykiem wskazującym na wydrukowane na niej nazwisko kandydata, to ściśle osobisty głos wyborcy. Co się za tym kryje, wie tylko on. Kartka to zastrzeżona prawnie informacja tylko dla liczących głosy. To pierwszy krok procesu społecznego. Drugi krok okaże się po wyniku wyborów. Nim nawet zacznie się proces społeczny (który jako realny i niemal dotykalny, wykaże tylko dyscyplina wyborcza), kartka wyborcza — czyli głos własny wyborcy — będzie wynikiem procesu psychologicznego. Czy głosuje na tego, czy innego kandydata, takiej, czy innej partii, takiego, czy innego zabarwienia, na lewo, czy na prawo, czy może po środku... Co na to wpływa? Z jednej strony — obowiązek głosowania, a z drugiej — pozycja osobista wyborcy? A może jeszcze co innego?

O ten proces psychologiczny zabiegają partie i przemożne dziś środki przekazu. Niebezpieczna to droga dla wyborców. Może się łatwo okazać zdradą rozsądku przy intensywnej propagandzie. Wybór indywidualny, mimo że tajny na kartce wyborczej, wymaga odwagi. Wyniki wyborów parlamentarnych rzadko przynoszą radykalne zmiany. Zwłaszcza, kiedy wachlarz zmian jest z konieczności ograniczony. Stopień tego ograniczenia, to nie racja do milczenia. Milczenie jest jednym z jego powodów.

12-14.10.2007

## GOŚĆ W DOM?...

Ile razy przeglądam „Księgę Gości” znakomitego poety, Skamandryty, Jana Lechonia (Leszka Serafinowicza), mam w oczach jego pochyłą długą postać, entuzjastycznie witającą w drzwiach przychodzące do jego paryskiego mieszkania osoby. („Księga gości Jana Lechonia”, oprac. Beata Dorosz, ALGO, Toruń, 1999.) Jego entuzjazm do ludzi, zaintereso-

sowanie nimi, przyjaźń, nawet luźna, choć często bliska i głęboka, chęć bliskości, często konieczność bycia z nimi, to nie tylko potrzeba słyszenia ludzkiego głosu, ale ratunek przed samotnością. Na nią był w życiu skazany przez siebie samego: była mu, jako poecie, też potrzebna. Tak jak była mu potrzebna chwilowa obecność ludzka. Zawsze sporadyczna, nigdy permanentna.

Rok 1999, kiedy „Księga gości” była wydana, to stuletnia rocznica urodzin poety. Zmarł śmiercią samobójczą w Nowym Jorku, w roku 1956. „Księga gości” zawiera podpisy niemal całego pokolenia świetności dwudziestolecia Polski niepodległej, ale ponieważ zaczyna się w okresie paryskim Lechonia, w roku 1932 — kiedy by attaché kulturalnym ambasady RP, dochodzą do niej podpisy elity intelektualnej i artystycznej ówczesnej Francji. Później, na emigracji w Ameryce, znaleźć w niej także można nazwiska amerykańskich pisarzy i muzyków. Lechoń zmarł w okropnej samotności, o której pisał już nie poematy, ale prozę w listach do przyjaciół w Londynie i w Warszawie, wywołując wiele bliskich postaci z tego, co złożyło się na „Księgę”. Ironią jest, że „Księga gości” wskazuje na to, iż mógł być otoczony osobami, które były, mimo wszystko, blaskiem jego życia — ale jakby z oddalenia, jakby we mgle ich świetności, która była w oczach Lechonia „światowością”, a której tak bardzo pragnął. Jako polski poeta i jako człowiek swego pokolenia.

Zaglądam do tej wyjątkowej księgi od czasu do czasu, trochę tak, jak się zagląda do encyklopedii. Dziś księga, zawierająca nazwiska wybitnych ludzi, którzy odeszli, przypominała mi o naszej, też wyjątkowej, emigracji. Składa się ona z wielu już pokoleń Polaków w Wielkiej Brytanii i w innych krajach. Co te pokolenia łączy poza narodowością?

Lechoń, świadomie czy nieświadomie, chciał zatrzymać teraźniejszość przez pamięć o wybitnych ludziach swojej epoki, nie wchodząc w szczegóły ich życia ani wpływ na ich następców. Trudno się powstrzymać od porównań: tu zafrapowała mnie koncepcja gospodarzy i gości wśród kolejnych pokoleń współczesnej migracji narodu polskiego.

Teraźniejszości zatrzymać nie można. Biegnie, pochłaniając czas i przestrzeń. Co można zatrzymać, to pamięć o tym czasie i o tej przestrzeni. I, co najważniejsze, o osobach, które tę przestrzeń wypełniały. Nasz świat codzienny to ludzie. To osoby, z którymi mamy wspólny język, wspólne tradycje i kraj urodzenia. Historia spletała nam figła tam, gdzie wojna podzieliła pokolenia według ich miejsca zamieszkania. Niektóre czasowo, inne na zawsze. Jeśliby przełożyć „Księgę gości” na czas teraźniejszy — ważny dla Lechonia tak, że chciał go zatrzymać? Jakim gospodarzom złożymy podpisy w księdze „gości” emigracji polskiej? I od którego pokolenia zaczniemy?

Lechoń zmarł w samotności w obcym kraju, w tragicznej wizji, z której nie widział wyjścia. Nie widział z niej powrotu dla siebie ani dla swoich gości. Tak jak nie widział powrotu do świetności polskiego dwudziestolecia. Nie udało mu się zatrzymać teraźniejszości tak, jak tego pragnął. Co mu się jednak udało, to zatrzymać ideę, że osiągnięcia ludzkie we wszystkich dziedzinach życia nie giną, że zostają, że aby je wywołać, trzeba je pamiętać. Niewiele więcej potrzeba. Nie trzeba pisać długich rozpraw historyczno-filozoficznych, nie trzeba daleko szukać w przeszłości, dość pamiętać imiona i nazwiska, a pamięć z łatwością przywoła miejsce i czas.

„Księga gości” Jana Lechonia jest nie tylko encyklopedią autentycznych podpisów jego gości na przestrzeni lat 1932–1956, ale też leksykonem podpisanych osób.

W sumie, kroniką życia poety w czasie pokoju i na emigracji. Tam, gdzie poezja uległa polyskowi wspaniałego, twórczego świata, z którego wyłowiła to, co warto zapamiętać.

19-21.10.2007

## PRZEMÓWIENIE

Pan minister źle spał tej nocy. Jakieś dziwne majaki chodziły mu po głowie. Wstał więc wcześniej niż zwykle, przetarł oczy i z niesmakiem spojrzął na siebie w lustrze. Nie widział różnic od poprzedniego wieczora, ale czuł zmiany w sobie. Choć strach był mu zwykle obcy, tego dnia ogarnęła go niepewność. Żle się czuł z tą niepewnością. Było to uczucie bliżej mu nieznanne. Zwykle rano czuł się rześki, pełen energii i pewności. Tego dnia pewność siebie go opuściła. Pijąc kawę z pianką, tak jak codziennie, miał wrażenie, że nawet tej kawie czegoś brakuje. Bułeczka, dziś tylko z masłem, bez szyneczki, jak co rano, bo smak też opuścił, zwykle głodne rano, gardło pana ministra. Zadzwoniła komórka. Pan minister z obawą i niechęcią nacisnął właściwy guzik. Odezwał się, jak zwykle, radosny głos szofera Maćka. „Czy pan minister gotów? Dziś wielki dzień, ostatni przed wyborami. Czy pan minister już chce jechać do ministerstwa? Czekam na dole”. Pan minister ociąga się, krawat źle się wiązał; może zły kolor, na tak ważny dzień — pomyślał. Zmienił ciemny krawat na jasnoróżowy, ot tak, żeby strach i niepewność znikły z niewyspanych oczu. Wsiadł do służbowego auta. Maciek lubił szybko jeździć, ale tym razem, jakby na złość, był duży ruch.

Samochód włókł się przez zapełnione ulice, gdzie na każdym niemal kroku rozwieszono były plakaty wyborcze. Na wielu z nich widniała po-

dobizna pana ministra. Ile razy na nią spojrzął, niewidoczna strzała dała o sobie znać, klując go w samo serce. Chciał tę strzałę sobie wytłumaczyć, ale nie bardzo wiedział, czego się tak boi. Czy tego, że po wyborach może już nie być ministrem, czy też, że nie będzie już gabinetu w ministerstwie, że nie będzie służbowego samochodu, że nie będzie szofera Maćka... że nie będzie podróży zagranicznych, że nie będzie sekretarki pani Wandzi, a co najważniejsze, że czeka go codzienny spacer z pieskiem do parku, no i że żona i dzieci, czekające na coroczne wakacje na włoskiej plaży, pojedą najwyżej do Ciechocinka... Dokuczał mu brak zadowolenia z siebie. Dokuczała mu niepewność. Już miał wysiadać ze służbowego samochodu, woźny już czekał przy drzwiach wejściowych, kiedy nagle pan minister przypomniał sobie o przemówieniu, które miał wygłosić w ostatniej chwili przed wyborami, by zachęcić swoją partię do wiary, że wybory wygra. Wyjął z kieszeni plik notatek i krokiem powolniejszym niż zwykle, wkroczył do budynku ministerstwa. Przeszedł korytarzem, którego ściany obwieszane były podobiznami wybitnych osobistości. Pamiętał, że w dziele swojej nominacji na ministra widział tam i swoją podobiznę. Teraz ogarnął go smutek. A może...?

Pani Wandzia tymczasem krzątała się koło stolika z kawą, w gabinecie pana ministra. Powitała go dość niefortunnie: „Życzę panu ministrowi, żeby to nie był ostatni dzień w tym biurze”. Nawet nie stać go było na uśmiech. Kawa też nie miała smaku. A biszkopik przy niej przypominał łezkę, jakby na pocieszenie. „Pani Wandziu — wyszeptał bez wielkiej emocji — Mamy przecież pisać przemówienie!” „Oby nie było to ostatnie” — rzuciła pani Wandzia, darząc pana ministra zalotnym uśmiechem. Na kolanach miała aparat do nagrania przemówienia. Pan minister zaczął dyktować.

„Rodacy! Czeką nas jutro wielka demokratyczna decyzja: kto z nami, a kto przeciwko nam? Tylko to się liczy w dzisiejszym świecie. My wiemy czego kraj pragnie, wiemy jak to osiągnąć, wiemy jak dojść do porozumienia z tymi, którzy nie wiedzą. Wiemy też, że tylko nasza partia potrafi zdobyć głosy niezdecydowanych, czy iść z nami, czy przeciwko nam. Nasze głosy w Sejmie i w Senacie, to głosy doświadczenia politycznego, głosy prawdy o tym, co było źle i o tym, co trzeba poprawić, żeby było lepiej. Tu nie chodzi o zasady polityczne, czy społeczne, ani o zasady ekonomiczne, chodzi tylko o dobrobyt całego narodu. Chodzi też o to, żeby żyć w zgodzie z tymi, którzy są przeciwko nam. Dlatego, na przykład, są oni przeciwko nam? Dlatego, że nie rozumieją demokracji, czego właśnie dowodem jest to, że są przeciwko nam”.

Wieczorny biuletyn telewizyjny, cytując przemówienie pana ministra, zaprosił widzów i słuchaczy do komentowania. Nikt się nie ode-

zwał. Pan minister, wysoce zadowolony, tak jakby mu wielki ciężar spadł z serca, świetnie spał tej nocy.

28.10.2007

## ANACHRONIZM CZY OBOJĘTNOŚĆ?

Raz na lewo, raz na prawo, a pomiędzy ławami Sejmu i Senatu błądzi piękna, młoda panna na wydaniu i słucha... i czeka... A tu same obietnice... W międzyczasie dochodzą do niej i do jej niemal wszystkich rówieśników słuchy ze świata. Podróżują oni tam i słuchają. Pracują tam, w zaprzyjaźnionych krajach Europy, i uczą się, że poza prawą i lewą, jest nowa przestrzeń polityczna. Jest nią przestarzała pustka, niezupełnie jeszcze wypełniona tradycyjnymi i dawno utartymi sloganami, jakby echem przeszłości, które już nie wypełniają potrzeb nowego porządku spraw ludzkich. Jako cynik starej szkoły, nigdy, nawet w najśmielszych marzeniach, nie przypuszczałem, że przyjdzie mi cytować przykład biurokratycznej Unii Europejskiej jako prekursora nowego układu społecznego.

W parlamencie Unii debatuje nie tylko delegaci narodowych partii politycznych, nie tylko doktrynerzy linii partyjnych, nie tylko ci, którzy jak tuby głoszą słowa swoich partyjnych szefów, ani tylko zaufani w propagowaniu ideologii grup, pilnujący swoich domniemych interesów na gruncie międzynarodowym. Unia odstąpiła niedawno od szablonu i gestu koniecznej lojalności w traktowaniu narodowych partii politycznych. Uznała, że potrzeby Unii i zjednoczonych w niej narodów, tak jak na szerokim świecie, wymagają innego klimatu. Pokróćce, wymagają swobody w odrzuceniu starych teorii, przyjęcie nowych, bardziej globalnych zasad na przyszłość. Powstała w ten sposób, tak jak w sądzie, ława przysięgłych ekspertów — doświadczona grupa wysoko wykwalifikowanych i wykształconych osób, każda w swojej zawodowej dziedzinie — by tworzyć nowe reguły działania na rzecz zjednoczonej, międzynarodowej społeczności. Dziedzin tych jest, jak się okazuje, o wiele więcej niż może przejąć narodowy parlament. W krajach o wysokim czy nawet średnim poziomie cywilizacji i kultury wszystkie się, tak czy inaczej, pokrywają. Ich globalny wpływ na resztę świata na szerokiej arenie jest, tym samym głębszy. Tu cytować muszę niespotykany dotąd w brytyjskim życiu politycznym czynnik. Oto nowy premier brytyjski, Gordon Brown, zaprosił do grona doradców przedstawicieli partii opozycyjnych w Izbach Gmin i Lordów, specjalistów w swoich dziedzinach, doświadczonych w codziennej arytmetyce parlamentarnej i popieranym przez



swoje grupy partyjno-polityczne. Jeszcze jeden wskaźnik nowego klimatu w polityce narodowej, w tym wypadku państwa o dużych wpływach na to, co się dzieje na świecie. Wydaje się więc, że kończy się powoli izolacja narodów indywidualnie borykających się z globalnymi problemami, na zasadach wyłącznie partyjnych wymagań. Wszyscy szukają oparcia w praktycznych rozwiązaniach innych, mnożąc je przez swoje.

Może się też okazać, że młoda polska panna na wydaniu doczeka się rozszerzenia politycznych horyzontów w osobach świeżo wybranych spadkobierców foteli ustawodawczych w Warszawie. Londyński „Dziennik Polski” z 26–28 października br., w korespondencji z Warszawy, doniósł, że Donald Tusk, przywódca Platformy Obywatelskiej, która otrzymała większość głosów w wyborach parlamentarnych, i prawdopodobny kandydat na premiera nowego rządu, przejął się nowym stylem podejmowania kapitalnych decyzji państwowych. Oto według niego, prof. Władysław Bartoszewski, najwybitniejszy dziś w Polsce działacz społeczny i polityczny, były minister spraw zagranicznych, o długim i owocnym doświadczeniu parlamentarnym, może w nowym rządzie zostać szefem ekspertów i doradców premiera do spraw polityki zagranicznej. To pierwszy krok ku uzupełnieniu akcji politycznych, przez akcje pragmatyczne, niezależne, w żadnej mierze, od wewnętrznych wymagań linii partyjnych. Pierwszy też krok ku myśli politycznej i strategii uwolnionej od przestarzałych i nieaktualnych szablonów. Stare systemy podziałów politycznych to anachronizm. Wiatry, które wieją na nas z Zachodu i ze Wschodu przywodzą problemy, o których nie śniło się nawet naszym dziadom czy rodzicom. Wymieniać ich nie trzeba. Stykamy się z nimi stale. Poczynając od zmian klimatycznych, a kończąc na groźbie nuklearnej. Doświadczenia i wizji politycznej, żaden rząd ignorować dziś nie powinien.

2-4.11.2007

## ALFABET NIEPODLEGŁOŚCI

Oskar Halecki, znakomity historyk polski, profesor Uniwersytetu Warszawskiego w latach 1918–1939, następnie na emigracji, najpierw w Paryżu, a potem w Stanach Zjednoczonych, gdzie wykładał na uniwersytetach Fordham i Columbia, jest autorem historii Polski w języku angielskim („A History of Poland”, Routledge & Kegan Paul, London 1978) i znawcą dziejów wschodniej i środkowej Europy. Okres jego działalności w niepodległej Polsce jest znamienny. Dlatego jego książkę w wersji angielskiej, uważać można za literę „A” współczesnego alfa-

betu niepodległości Polski. Kluczem są dwie daty: rok 1918 — koniec I wojny światowej i rok 1919 — konferencja pokojowa w Paryżu, która potwierdziła niepodległość Polski.

Oskar Halecki był członkiem polskiej delegacji na wersalskiej konferencji. Był więc świadkiem odrodzenia Polski w roku 1918 i potwierdzenia jej politycznej niezawisłości. W sumie, przeżył w wolnej Polsce bardzo aktywnie 21 lat jej wolności. W alfabecie tym, który do dnia dzisiejszego dobiega 90 lat, są głęboko zarysowane luki w niepodległości, już w czasach współczesnych wskazujące na to, że naród żył wprawdzie swoim życiem w czasie, kiedy te luki trwały, ale nie był niezależny politycznie. Od roku 1989 alfabet żyje znów własnym życiem, łącząc się z narodem. Halecki urodził się w roku 1891, a zmarł na emigracji w roku 1973. Jednym z etapów alfabetu niepodległości, o którym jest mowa we wprowadzeniu do książki Haleckiego, jest nieporozumienie, a właściwie biała plama niewiedzy wśród Brytyjczyków w historii Polski. Oto, po I wojnie światowej, Polska uważana była w Europie zachodniej jako „nowe państwo”. Biała plama w dawnej jej historii była przez długie lata, i jest w dużej mierze nawet dziś, źródłem braku wiedzy o jej przeszłości. Lata rozbiorów przesłoniły jej dawne wspaniałe i bogate tradycje europejskiego państwa i chrześcijańskiego narodu.

Od II wojny światowej do dnia dzisiejszego jest nas tu, Polaków, coraz więcej. Żyjemy w społeczeństwie tutejszym mniej lub bardziej głęboko. Ale żyjemy z nim razem. Dzielimy jego losy nie tylko dlatego, że powstała Unia Europejska, ale dlatego, że jest między nami, Europejczykami, coraz mniej różnic. Możemy mówić innym językiem wśród swoich, ale nasz język jest dziś łatwo rozpoznawalny przez tubylców. Polska nie jest dla nich jakimś dalekim, obcym krajem. Jest coraz lepiej znana. Jej „egzotyka” przestała być egzotyczna. A była nią nawet w roku 1940 i przez wiele lat po wojnie. Była to egzotyka przyjazna, nowa, nieznaną, czasem wręcz niezrozumiałą. Nie dotyczyło to stosunków indywidualnych, ale tworzyło klimat. Książka Haleckiego wyszła w roku 1978, kiedy jeszcze była potrzebna. Czy jest dziś? Rozpoznanie w alfabecie faktu kontynuacji istnienia Polski od czasów niemal prehistorycznych do czasów obecnych, powinno wyjaśnić błąd często popełniany przez obcokrajowców, uważających Polskę za „nowe państwo” powstałe po paryskiej konferencji pokojowej w roku 1919. Angielska książka Haleckiego jest oparta na tym niezaprzeczalnym fakcie i, tym samym, otwiera szersze horyzonty w zrozumieniu ciągłości historycznej narodu polskiego. W listopadzie 1934 roku, Edward Raczyński, późniejszy prezydent RP na obczyźnie, przyjechał do Londynu jako ambasador Polski. W swoim dzienniku, pt. „W sojusznicy Londynie”, wydanym

tu w roku 1960, pod datą 10 stycznia 1935 roku, pisze, m.in.: „Polska była nad Tamizą mało znana i nie bardzo popularna...” Chodziło o to, że prasa brytyjska domagała się ustępstw polskich dla zaspokojenia niemieckiego rewizjonizmu. Te w końcu uciły, ale ślad został. Rok 1940 i dalsze lata wojennej bliskości zmieniły to. Ale głębsza niewiedza trwała nadal. Upłynęło od tego czasu wiele lat, ale nasiona tej niewiedzy, mimo wielkiej poprawy, pokutują nadal. Alfabet niepodległości narodu i państwa nigdy się nie kończy. Składa się zaledwie z fragmentów wydarzeń i faktów, mających wpływ na dalsze losy przedmiotu. Jest alfabetem, bo każdy fragment ma nazwę i metrykę urodzenia. Tak jak człowiek w niepodległym kraju. Historia biegnie jednym nieprzerwanym ciągiem, tak jak alfabet.

16-18.11.2007

## ŚNIADANIA Z PIETRKIEWICZEM

Jerzy Pietrkiewicz — poeta, pisarz, tłumacz i syn ziemi dobrzyńskiej, z czego był bardzo dumny, zmarły parę tygodni temu w Londynie — umiał opowiadać. Opowiadał o czasach przedwojennych, o czasach wojny, o tym co po wojnie widział w nowym angielskim i polskim świecie literackim, a nade wszystko o tym, co go najbardziej frapowało — o języku. Polskim i angielskim. Widział w języku, zarówno polskim, jak i angielskim, który świetnie znał i którym władał bezbłędnie, to o czym na co dzień często zapominamy — że to jedyny sposób porozumienia pomiędzy ludźmi, ale tylko wtedy, kiedy jest precyzyjny. Interesowała go precyzja rozmowy. Krótkie i treściwe zdania, równy rytmiczny ton, ścisłość wymowy. Nie silił się naśladować wymowy tubylców. Rozumiał trudności, na jakie natrafia cudzoziemiec, więc nie starał się dorównać, ale znał wszystkie niuanse sensu.

Mówił, że bez precyzji języka nie ma poezji. A proza, wyrażona bez dyscypliny jest nużąca. Urodzony w roku 1916, zaczynał życie poetyckie w wolnej Polsce. Swoje poezje publikował w słynnym, prawicowym tygodniku warszawskim „Prosto z mostu”, redagowanym przez Stanisława Piaseckiego. Był też przez pewien czas członkiem zespołu redakcyjnego. Stefania Kossowska, późniejsza redaktorka londyńskich „Wiadomości”, urodzona w roku 1909, też była wtedy członkiem tego zespołu. Ani on, ani ona nie zdradzali jakichkolwiek aspiracji politycznych: Pietrkiewicza nęciła poezja, której się chciał oddać bez reszty, Kossowska miała ambicje dziennikarskie, nęciła ją ciągła atrakcja codziennych zdarzeń i publicystyka bieżąca i literacka. Kiedy się spotkali w Londynie w czasie

drugiej wojny, to nie tylko jako koledzy z „Prosto z mostu”, ale też jako członkowie walczącej literatury polskiej na obczyźnie. Drogi ich działalności szły równolegle. Pietrkiewicz na Uniwersytecie St Andrews w Szkocji, potem w Londynie, Kossowska w czasie wojny w polskim Ministerstwie Informacji w Londynie. Oboje byli współpracownikami londyńskich „Wiadomości Polskich” i późniejszych „Wiadomości”. „Prosto z mostu” było często tematem naszych śniadaniowych spotkań w kawiarni „Daquise”, czyli „U Rakowskiego” na South Kensington, w Londynie, miejscu znanym niemal wszystkim Polakom mieszkającym na tej wyspie. Było to pismo radykalne, uważane w Londynie za antyk zamierzczej przeszłości, ale wychowało grupę wybitnych pisarzy. Przez parę lat spotykaliśmy się tam dość regularnie. Był to czas, kiedy nie było już „Wiadomości” (1946–1981), nie było już ich redaktora, Mieczysława Grydzewskiego, nie było już większości wybitnych postaci politycznych ani literackich. Każda rozmowa o dwudziestoleciu wolnej Polski i jej literaturze, to były wspomnienia osobiste, głównie o osobach tego okresu.

Jedno z takich śniadań pamiętam żywiej niż inne. Było nas troje, z Kossowską i Pietrkiewiczem. On uskarżał się na stan zdrowia (jego zdrowie rzadko dopisywało), ona zawsze pełna nadziei, choć pesymistyczna co do emigracyjnej literatury i publicystyki polskiej. Pietrkiewicz tęsknił do Polski, do swojej ziemi dobrzyńskiej, ale tęsknił poetycko. Tęsknił marząc. Wybrał moment, kiedy zdrowie dało mu „urlop” i wybrał się do kraju. Przywiózł wspaniałą reportaż fotograficzny z podróży do swojej ukochanej ziemi, który zaprezentował potem w ambasadzie polskiej w Londynie na specjalnie w tym celu urządzonej uroczystości. Był w swoim żywiole poetyckim. Dumny z tego, że jego poezja wyrosła z tej jego własnej, polskiej wsi. Na tym właśnie śniadaniu opowiadał o swojej podróży. Miał też w Warszawie wieczór literacki. Ucieszyło go to, że było na nim wielu młodych pisarzy. Była to okazja, może ostatnia jaką pamiętam, kiedy był jakby odmłodzony tą podróżą, kiedy zdrowie, a właściwie jego brak, nie było wielką przeszkodą. Liczył na jej powtórzenie. Inne śniadanie, które równie dobrze pamiętam, w tym samym jak zwykle miejscu, kiedy opowiadał o swojej przyjaźni i współpracy z Andrzejem Panufnikiem. Zналиśmy go obaj, ale z innej strony. Pietrkiewiczą łączyła z nim specjalna nić. Mówili ze sobą tym samym językiem. Pietrkiewicz rozumiał i kochał muzykę. Uważał ją za najbliższą siostrę poezji. Opowiadał, jak z Panufnikiem planowali połączyć poezję z jego utworami. Kompozycje Panufnika jakby ilustrowane poematami Pietrkiewicza. To był poeta słów zafascynowany poezją tonów. Taki pozostał w mojej pamięci.

16-18.11.2007

## PUSTELNIK Z WOLVERHAMPTON

Polak — pustelnik w centrum Anglii? Dziwne, ale prawdziwe. Nazywał się Józef Stawinoga. Zmarł 28 października w Wolverhampton, mając 86 lat. Żył — bo trudno powiedzieć mieszkał — w szałasie/namiocie na rondzie przy głównej szosie A4150, okalającej miasto Wolverhampton. Przez 40 lat. W ciągu tych lat, osiągnął sławę wśród mieszkańców swojej dzielnicy. Stał się symbolem, niemal prorokiem dla miejscowych Hindusów i Sikhów, którzy otaczali go czcią. Przynosili mu odzież i żywność. Uważali go za zjawisko ponadnaturalne, nadprzyrodzone. Nie wiemy, czy mówili ze sobą. Wiemy jednak, że objawiał się im jako postać jakby przysłana z zaświatów, by wskazać im jakąś bliżej nieokreśloną prawdę.

Rzadko się zdarza, zobaczyć wspomnienie pośmiertne o rodaku w „Daily Telegraph”, jednym z bardziej poczytnych i poważanych pism brytyjskich. Były takie oczywiście, ale głównie o osobach wybitnych w różnych dziedzinach, głównie politycznych. 17 listopada takie wspomnienie pośmiertne ukazało się o Józefie Stawinodze. Wstępne objaśnienie brzmiało po angielsku „Polish hermit known as Fred who became a 40-year fixture on the central reservation of Wolverhampton’s inner ring road”. Choć właściwie niejasna była i dalej jest jego historia, popularność jego tajemniczej osobowości wzbudza szerokie zainteresowanie. Nie tylko mieszkańców okolicznych dzielnic, ale, od dawna już, władz miejskich. Nie chciał przyjąć ofiarowanego mu mieszkania. Chciał być sam. Co najważniejsze, chciał być niezależny. Władze miejskie dały mu pozwolenie pozostania w swoim szałasie/namiocie. Pokryli go nawet dachem. Więcej, mimo tajemnicy otaczającej działalność Stawinogi w czasie drugiej wojny, miejscowe władze planują nabożeństwo żałobne, a okoliczni mieszkańcy utworzyli fundusz jego pamięci i zebrane pieniądze chcą przeznaczyć na pomnik lub tablicę, by upamiętnić jego postać.

On sam okrył się legendą. Stąd różne teorie o tym, jak się znalazł w Anglii. Podobno było to po drugiej wojnie światowej, podobno był kapralem służby sanitarnej w armii polskiej, mówiono, że był zesłany na przymusowe roboty do Rosji i stąd jego strach przed jakimkolwiek ograniczeniem swobody osobistej. Ktoś po jego śmierci podobno znalazł informację, że Stawinoga służył w niemieckiej armii, może nawet w SS... Inni twierdzili, że jego tryb życia był rezultatem niefortunnej miłości. Wiadomo, że pracował kiedyś w stalowni w Bilston. Podobno był żonaty z Austriaczką, która od niego uciekła, bo ją źle traktował. Wszystko to wskazuje z jednej strony na ekscentryzm, a z drugiej na to, że wybrał życie poza nawiasem społeczeństwa z jemu tylko wiadomych przyczyn.

Mamy tu do czynienia, ze znanym, nie tylko w literaturze, ale też w rzeczywistości, specjalnym sentymentem Brytyjczyków do dziwaków. Kochają niezależność ludzi, którzy mają odwagę iść swoimi drogami. Każdy, kto się wylamuje z codziennych norm a nikomu nie robi krzywdy, godzien jest respektu. W przypadku Józefa Stawinogi, tajemniczość historii jego życia dodawała smaku jego osobowości. Okazał się nieszkodliwy i jako taki przyjęty do kręgu, którego nie chciał i nie był członkiem. A jednak... Żył w tym kręgu, nigdy nie odrzucony przez jego członków, ale odrzuciwszy tych, którzy go do tego kręgu przyjęli, nie zadając żadnych pytań. Na braku tych bezpośrednich pytań polegała jego tajemniczość i niezależność. Jaka była jego prawdziwa historia, nie do wiemy się pewnie nigdy.

Intryga losu, czy samobiczowanie? Druga wojna światowa wyrządziła wiele osobistych ran i zachowała wiele indywidualnych tajemnic. Jedne wymagają talentu operowania słowami, inne pozostaną zawsze w ukryciu. Albo mogą ulec talentowi głębokiego milczenia. Nie dlatego, że skaziły charakter człowieka, który im uległ, ale dlatego że wysłowienie ich wymagać może większej odwagi niż głębokie milczenie. To tak, jak pustelnia wewnętrzna. Stąd zaledwie jeden mały krok do porzucenia przyjętych przez ludzkość norm. Stawinoga był polskim pustelnikiem z wyboru. Miał swoje normy.

24-25.11.2007

## POLITYCZNOŚĆ

Pisałam niedawno na tym miejscu o tym, że świat jest zbyt dziś skomplikowany, by mógł mu poddać tradycyjny, partyjny system. System, w którym zawodowi politycy decydują o losach kraju, opierając się na bliskich im doktrynach. Czyli na teoriach rzadko w praktyce sprawdzonych, na ideach zwykle pięknie brzmiących, ale w gruncie rzeczy pustych. Konfrontacja ich z rzeczywistością pustkę ich potwierdza. Każda zmiana rządu, w każdym kraju, gdzie panuje system wyłącznie partyjny, wydaje się pogłębiać pustkę. Problemy do rozwiązania pozostają te same, zmieniają się tylko osoby. I o te osoby chodzi. Zmiany partyjne równają się, niemal zawsze, zapowiedzi reorganizacji *per se*. Każdy nowy minister uważa, że musi zmienić system, że wyborcy liczą na zmiany personalne, że liczą na nowy kierunek. Ile nowych kierunków ma minister do dyspozycji? Ile zmian przyjmie partia? A ile naród?

Pisałam też o tym, jak Gordon Brown, nowy premier brytyjski, wzmocnił swój gabinet szerokim wachlarzem specjalistów w różnych

dziedzinach. Mało kto to zauważył, a wagę tego jako zasady rządzenia doceni kiedyś parlament, zmuszony słuchać zdań ekspertów, których etyka profesjonalna nie jest przesłonięta doktryną partyjną. Już pierwsze miesiące nowego rządu w Wielkiej Brytanii pokazały, jak potrzebni są niezależni politycznie radcy-specjaliści. Jak dalece, na przykład, minister skarbu orientuje się w działaniu profesjonalnych urzędników skarbowych? I jak są oni kontrolowani? Tyle na marginesie.

I więcej, też na marginesie. Słyszę z Warszawy, że Radosław Sikorski, nowy minister spraw zagranicznych, zamierza szerokie i głębokie zmiany w polskiej służbie dyplomatycznej. Nie wiem czy zmiany dyktuje doktryna partyjna („raz na lewo, raz na prawo”), czy rzeczywista potrzeba. Służba dyplomatyczna ma swoje tradycje. Jest bliską siostrą służby wojskowej. Jest zamkniętym korpusem specjalistów w wielu dziedzinach, kształconych w rozumieniu wielu części świata, wielu krajów, ich historii i tradycji, a nade wszystko — w znalezieniu z nimi wspólnego języka w stosunkach z krajem reprezentowanym. Dyplomaci nie reprezentują partyjnych aspiracji rządu, ale swoje państwo i naród. Wykonują instrukcje swego rządu, ale nie muszą mieć swego zdania. Bez zaangażowania politycznego. Tak jak żołnierze działając w imieniu swego kraju, nie biorąc udziału w decyzjach ani w rozkazach z nich wynikających. Jakakolwiek tendencyjność w wykonywaniu zawodu dyplomaty przeczy integralnej zasadzie służby. A zmiany wyłącznie personalne to trochę tak, jak słynna szkolna rozrywka, „komórki do wynajęcia”. Reorganizacja *per se* nic nie osiąga. Zmiany *per se* oczekują następnych zmian. W sumie kołowrotek zmian od personalnych, do faktycznych.

Nauka polityczności to nauka o organizacji aparatu państwa, nie o jego partyjnym podziale. Te czasy mają się ku końcowi, jak wskazuje coraz bardziej zagmatwane pole działania. Dziś zagadnienia, którymi parać się muszą politycy, to pole działania naukowców, specjalistów, techników, inżynierów, lekarzy, architektów, nie zawodowych polityków. Polityczność to szukanie drogi, nie szybkich czy wygodnych rozwiązań. Pewnie uszło uwadze większości, że znany ekonomista brytyjski Sir Christopher Foster jest twórcą i założycielem „Better Government Initiative” („Inicjatywy lepszego systemu rządzenia”). Jednym z założeń inicjatywy jest fundamentalna zasada, że jeden człowiek nie może prowadzić i być odpowiedzialny za losy państwa. Nie mowa tu o starodawnym i dobrze znanym systemie dyktatury politycznej (z tego już chyba ludzkość w cywilizowanej większości wyrosła), ale o doktrynalnych systemach opartych na aspiracjach raczej, niż na autentycznych potrzebach.

Od ponad dwóch lat Inicjatywa złożona z wybranych, wybitnych osób różnych zawodów, zbiera się z dala od wścibskich oczu, by deba-

tować o tym, jakich zmian wymaga nowoczesna Wielka Brytania, by funkcjonować mogła z należnym pożytkiem dla wszystkich. Wybrani składają się z profesjonalnej elity urzędników państwowych, armii, akademików i ekonomistów z City of London. Celem Inicjatywy — na początek — jest przywrócenie zaufania do polityków, członków ciał ustawodawczych. Godna inicjatywa. Czy przekona tradycjonalistów?

2.12.2007

## SPIRITUS MOVENS

W Rosji, za towarzysza Putina, świadomość potęgi i ropa naftowa idą w parze z rozmachem i werwą, w drodze do rosyjskiej wersji imperializmu. Idą w orszaku już dziś przekonanych, że ich prezydent nie tylko nie zejdzie ze sceny politycznej, ale przeciwnie, wygra przygotowywane wybory z dużą większością głosów poważnie już wzbogaconych współziomków. W tym olbrzymim kraju nigdy nie wiadomo, co jest propagandą, a co rzeczywistością. W tej pierwszej, mają doświadczenia i znajomość przedmiotu niemal równą wielkim koncernom prasowym Stanów Zjednoczonych. Co do drugiej, rzeczywistość może być albo górnolotna, albo wręcz przyziemna. Różnica w tym, że w Rosji mamy do czynienia z symbolami, których cel czasem trudno odczytać, a w Stanach Zjednoczonych cel zwykle jest jasny, mimo że merkantylny. Rosyjskie symbole dotyczą zarówno potęgi istotnej, jak i domniemanej. Pierwsza jest łatwa do sprawdzenia. Co do drugiej ciągnie się niekończąca dyskusja. A dowody jej, to znowu garść symboli, na których prasa zachodnia buduje polityczne przepowiednie.

Rosja jest jak otwarta księga zdarzeń historycznych, nie koniecznie ze sobą połączonych. Poza tzw. ekspertami, którzy wyrosli na dociekliwych badaniach sowieckiego komunizmu, szeroka publiczność zachodnia ma powierzchowne informacje o tym olbrzymim kontynencie. Tylko jego najbliżsi sąsiedzi zachodni, którzy doświadczyli rosyjskości w ich własnej, często bolesnej historii, mają świadomość skomplikowanej konstrukcji tego ogromu. Zdają też sobie sprawę z konfliktów, wynikających z różnorodności ambicyjnych jego elementów. Stąd krótka droga do rządów silnej ręki.

Tak się dzieje, że niektóre symbole stają się faktami. Jednym z nich jest napływ zamożnych i bardzo zamożnych Rosjan i Rosjank w amerykańskich futrach na ulice Londynu, Paryża, Rzymu i Nowego Jorku. Ulice tych stolic już im nie wystarczają. Kupują co się da. Hotele, budynki biurowe, stadiony i kluby sportowe, firmy budowlane. I co więcej,



apetyt ich wzbudzają wielkie domy sztuki i giełdy. Nie tylko sprzedają ocalone z pożogi wojennej arcydzieła sztuki rosyjskiej, ale kupują masowo arcydzieła sztuki europejskiej. Wobec zbliżających się wyborów parlamentarnych i przekonania, że partia Putina je wygra, poważna prasa brytyjska (m.in. „The Daily Telegraph”) stawia tezę, że Rosjanie mają wybór: albo dobrobyt albo demokracja. Historycznie Rosja zawsze stała przed takim właśnie dylematem, nawet w czasie bolszewickiej dyktatury, która miała rzekomo dać wszystkim dobrobyt pod fałszywym symbolem demokracji, choć ten obecny wydaje się unowocześniony przez odkryte bogactwa naturalne. Te były tam zawsze, od wielu pokoleń, ale bez zachodniej wiedzy i inwestycji zachodnich banków były niedostępne.

Rosja jest też krajem paradoksów. Jeśli partia towarzysza Putina rzeczywiście dojdzie do dużej większości głosów w Dumie, tak jak przewidują zachodni eksperci, wymieniający cyfrę 70 proc., ta większość zamieni się w „silną rękę”. Czyli symbol nowej dyktatury. Czy to nie paradoks? Mówi on, że w otwartej księdze historii Rosji nie zmieniają się wydarzenia historyczne, a tylko symbole tych wydarzeń. Natura taka jak była, będzie szła swoim rytmem. Nic jej nie zmieni. Nawet bogactwa naturalne dobrze sprzedane na zachodnich rynkach. Ani nawet pokojowe intencje rosyjskich dygnitarzy, nie mówiąc już o ich własnoręcznych podpisach na międzynarodowych umowach, dotyczących globalnego ocieplenia kuli ziemskiej.

Fascynujące są te rosyjskie symbole. Istnienie ich też jest możliwe tylko dzięki ogromowi terytorialnemu tego kraju. Wszystko w nim można ukryć przed oczami ciekawych, choć przy rozwoju techniki podsłuchu, może to być nieco utrudnione. Ale symbole te nigdy nie tracą swojej atrakcji w rosyjskim pojęciu państwowej tajemnicy. Tak jak nie tracą swojej mocy w zachodnich gabinetach rządowych. Bo właśnie sama rosyjskość jest ich największą atrakcją i magnesem ciągłego zainteresowania. Rosyjskie dzieła sztuki, artefakty Fabergé, bogata muzyka, balet, romantyczna poezja, wszystko, co jest okryte rosyjską tajemniczością, wszystko — w sumie — o czym wiemy tyle, ile pokazują symbole — fascynuje od zawsze Zachód. Na jak długo mogą wystarczyć symbole?

7-9.12.2007

## LITERACKA PAMIĘĆ

Nigdy nie miałem wątpliwości, że Archiwum Emigracji przy Bibliotece Uniwersyteckiej w Toruniu, będzie najdłużej pamiętało o wojennej i powojennej literaturze polskiej na obczyźnie. I tak się stało,

wnioskując z bogatych materiałów publikowanych w regularnych odstępach czasu przez Archiwum. Obczyzny już właściwie nie ma, jest wolna literatura polska w kraju i na świecie, wszędzie tam, gdzie piszą Polacy. Jak ważne więc jest, by nie uszła pamięci żadna, nawet najskromniejsza działalność literacka z tamtych lat. Archiwum spełnia tę rolę (dosłownie) dokumentnie, śpiesząc się, by nie zabrakło w tych dokumentach żadnego nazwiska, licząc już na palcach jednej ręki tych, którzy jeszcze pamiętają jak pisarstwo tych czasów było wtedy ważne. I jak ważne zostawiło po sobie ślady

Pani Joanna Krasnodębska, członek redakcji czasopism Archiwum, przysłała mi łaskawie ostatni tom (zeszyt [1] 9) wydawnictwa „Archiwum Emigracji” za rok 2007. Spośród bogatej i szeroko rozgałęzionej treści zeszytu, wymieniam niektórych autorów, znanych dobrze na emigracji: Mirosław Supruniuk, Józef Olejniczak, Waclaw Lewandowski, Kazimierz Adamczyk, Jerzy R. Krzyżanowski, Andrzej Pomian, Anna Mieszkowska, Beata Dorosz.

Uwagę moją zwrócił specjalnie szkic Wojciecha Ligęzy pt. „Obrazy domu w twórczości Czesława Bednarczyka”, który jako poeta i współtwórca, z żoną Krystyną, znanego i wielce zasłużonego wydawnictwa „Oficyna Poetów i Malarzy” w Londynie, zajmował poczytne miejsce w literaturze emigracyjnej. Urodzony w 1912 roku osiadł po wojnie w Londynie, pisał wiersze i prozę. Jakże słusznie spostrzegł Ligęza motyw domu w jego twórczości. Oto pisarz — emigrant stara się stworzyć koło siebie i swoich to, czego mu na emigracji najbardziej brakuje — domu. Słuszność tego spostrzeżenia wymaga wyjaśnienia: dom, który pisarz ma wokół siebie, który sam stworzył, ten jego dom, przekształca się w poezji i w życiu codziennym w obraz coraz bardziej rzeczywisty. Staje się głównym elementem pamięci. To już nie tylko niemal dotykalna wizja domu, którego już nie ma, ale poszukiwanie go w obcym świecie. Kosmos literatury emigracyjnej już w czasie wojny, ale przede wszystkim po wojnie, to szukanie domu. Szukanie poetyckie, historyczne, emocjonalne, czasem egzaltowane, ale zawsze tego co znaczy „dom”. W przenośni, dom to i kraj i ojczyzna, najbliższe miasto, czy wieś, rodzina, klimat, dawne przeżycia, przyjaciele, szkoła, uniwersytet, wojsko, wakacje, rodzinne okazje, śluby, chrzciny, pogrzeby... Wiążące się sceny, jak w teatrze myśli, który w twórczości emigracyjnej ukryty za kurtyną, ukazuje się w druku. Zawsze taki sam, ale coraz to bliższy w kontekście bieżącego czasu.

Tak pisze Wojciech Ligęza: „W utworach wojennych poeta dostrajał głos do zbiorowości walczącej wypełniając obowiązki patriotyczne, bądź oskarżając nieludzki czas”. I dalej: „Z kolei w «Ziemi trudnej»

(1954), «Obrećcach» (1956), «Rdzy» (1962), następują powroty do przeżyć wojennych oraz, co istotniejsze — znajdziemy w tych zbiorach temat prób zadomowienia oraz portrety domu, głównie jednak związane ze wspomnieniami”. Ligęza widzi w poezji Bednarczyka „celebrację” domu: uroczystości zamkniętej w czterech ścianach, kameralnym misterium rodzinnym, liturgii stołu... Jest to silnie powtarzający się motyw w literaturze emigracyjnej, która zawsze szuka pomostu pomiędzy tym co było, a tym co jest. Tak jak poszukiwania odpowiedzi na pytanie „dlaczego?”. Poezja jest zawsze osobista. Poezja Bednarczyka, przełożona na doczesny język emigracyjny, pokazuje wspólny mianownik literatury tworzonej poza domem ojczystym. To już nie zwykła nostalgia. To wyraz potrzeby. W tym wypadku musiały przez długi czas wystarczyć słowa emigracyjnego pisarza. Pojęcie domu, w najszerszym tego słowa znaczeniu, w poetyckim zawieszeniu tęsknoty, to nadrzędny motyw polskiej literatury emigracyjnej.

14-16.12.2007

## DROGA DO SWOICH

Osobisty pamiętnik jest najkrótszą drogą do swoich i tych, co po nich przyjdą. Następnym jego etapem jest dłuższa, ale szersza droga do literatury. Swoi to najbliżsi, rodzina, koledzy, przyjaciele, współpracownicy i ci, co pamiętają. Literatura to dłuższa i szersza droga na otwarty świat. Nie wiem jak najlepiej zakwalifikować książkę Lecha Paszkowskiego („Na falach życia”, część I, 1919–1939, „Lata młodości”, Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych, Wydział Wydawnictw, Warszawa, 2005), czy do beletrystyki, czy do historii, ale myślę że nie popełnię błędu, uznając ją jako idealne połączenie historii osobistej z historią współczesności. Lech Paszkowski mieszka od wojny w Melbourne. Tam pracuje i pisze. Należy do pokolenia urodzonego w zaraniu niepodległości. Jego pamiętnik obejmuje jej utratę i nowe zaranie, choć przeżyte na obczyźnie. Jest historykiem z zamiłowania, pamiętnikarzem z potrzeby, pisarzem posiadającym dar łatwej i przejrzystej narracji. W roku 1938 zdawaliśmy razem maturę w znanym warszawskim gimnazjum im. Adama Mickiewicza. Pamiętam go jako zapalonego marzyciela-żeglarza, marynarza, kochającego morze i planującego dalekomorskie podróże po świecie. Był krótko uczniem Szkoły Morskiej w Gdyni, podchorążym w czasie polskiej wojny wrześniowej, jeńcem wojennym, emigrantem w Australii, ale przede wszystkim — kronikarzem życia. Swojego i jego całego, specjalnego pokolenia.

Pierwszy tom jego pamiętnika ukazał się, jak napisano powyżej, w roku 2005. Piszę o nim dziś, nie czekając na tom drugi, choć pisze mi Paszkowski, że poszedł on już do druku. Nie czekam na tom drugi, by tom pierwszy nie poszedł w zapomnienie. A także jego objętość (prawie 500 stron!) każe sprostać wartości tej pracy jako wyjątkowego dokumentu naszych czasów. A więc, jeśli dokument, dlaczego połączenie beletrystyki z historią? Otóż dlatego, że literacka narracja daje autorowi łatwość dokładności faktów i obserwacji, rzecz niełatwa i rzadka. Tu oczywiście gra rolę niebywale dokładna pamięć autora i jego interpretacja spostrzeżonych zjawisk. Jego reakcje — literackie i rzeczowe — idą w parze z obrazami wyjętymi z żywej pamięci.

Jest to jednocześnie bardzo osobista opowieść jego życia. Fragmenty dotyczące osób: matki i uroczej, ukochanej babki Haliny, pewnie najbliższej mu osoby z czasów dzieciństwa i wczesnej młodości, dojrzewanie, pierwsze zwiastuny romantyczne, służba w podchorążówce, no i kampania wrześniowa. Paszkowski miał zawsze oczy szeroko otwarte na to, co działo się wokoło niego (oko marynarza!). Miał dar obserwacji, co pozwalało mu mieć swoje zdanie. Operował tym zdaniem z umiarem, ale potrafił być krytyczny tam, gdzie uważał, że krytyka jest właściwa. Miał więc, na przykład, zdecydowane zdanie co do kampanii wrześniowej, tak jak do pewnych posunięć przedwrześniowych polskich polityków. Polityka jako taka nie bardzo go interesowała. Mogę sobie łatwo wyobrazić, że kiedy marzył o szerokich wodach Atlantyku i Pacyfiku, polityczność, czy wąska krajowa polityka, były dla niego ciasne i małołostkowe. Treść tej książki jest tak różnorodna — co w pamiętniku jest rzeczą normalną, że trudno wyłowić z niej to, co najbardziej przykuwa uwagę czytelnika. Ale zaryzykuję użycie słowa „tętno”. To właśnie tętno tej narracji, jej zawartość i język, są w pełnej harmonii — wydaje się — z intencją autora. Temu zawdzięczam atrakcyjność pamiętnika. W jego końcowym rozdziale Paszkowski słusznie rozprawia się z „ignorancją i wielokrotnie tendencyjnym” pomniejszaniem przez cudzoziemskich autorów, publicystów i nawet poważnych historyków skali bohaterskiego oporu stawianego przez polską armię, lotnictwo i marynarkę, wskazując na statystycznie dotkliwe ludzkie i materialne straty poniesione przez Niemców. Nie mówiąc już o akcjach cywilnych. A także, równie słusznie, oplakuje ignorancję i braki w zachodniej historiografii dotyczącej wkładu Polski w wojnie z Niemcami.

Tymi uwagami kończy Paszkowski tom pierwszy swego pamiętnika. Dyskusja trwa i trwać będzie jeszcze długo.

22-25.12.2007

## POEZJA CZY PROZA: EMIGRACJA 2004

Miną wkrótce cztery lata od członkostwa Polski w Unii Europejskiej. Te same cztery lata od momentu, kiedy młodzi Polacy i młode Polki zaczęli wzbogacać Wyspy Brytyjskie licznymi talentami posiadany-  
mi z domu. Też, jak się szybko okazało, zapalem do pracy w różnych dziedzinach. I szybkim oswojeniem się z tutejszym trybem życia oraz zwyczajami. Mówią, że właściwie nie widzą wielkich różnic, a co do języka, mało kto z nich ma z tym większe problemy. Dziwi to niektórych starych emigrantów, dla których początki powojennego życia na emigra-  
cji były o wiele trudniejsze. Śmieszna rzecz, ale też nie o język chodziło. Raczej o te inne zwyczaje. Jak mówił najpoczytniejszy publicysta wo-  
jennej emigracji, Zygmunt Nowakowski („Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, londyńskie „Wiadomości”), „(...) Dziwny ten anglosaski konserwatyzm, cały kraj o pięćdziesiąt lat starszy od reszty cywilizowa-  
nej Europy”. Widocznie „cały ten kraj” bardzo się zmieni pod wpływem nowej energii zunifikowanej rzekomo Europy. Cieszymy się, że setki ty-  
sięcy młodej i nowej emigracji polskiej nie ma trudności w porozumieniu z narodem, w którym jest im podobno tak dobrze, i że nie mają trudno-  
ści ze zrozumieniem siebie nawzajem. Ale nie o tym chcę dzisiaj pisać. Interesują nas wszystkich członków starej, średniej i młodszej emigracji sprzed unijnych lat, ich samych wrażenia i opinie. Czy powstanie kie-  
dyś ich własna literatura? Po czterech latach, czy ślusarz, czy kelnerka, czy szofer autobusu, czy bankier, czy też nauczyciel, będzie w końcu opisywać swoje tutejsze życie? Niekoniecznie jako emigrant dla chleba, ale obserwator codzienności i przeżyć, poeta czy pisarz, świadomy celu pisania o sobie i o tym, co go otacza. Ta najstarsza, wojenna emigracja, obfitowała w znakomitych poetów, świetnych prozaików. Rzecz prosta, byli i żyli w wyjątkowej sytuacji emocjonalnych wstrząsów, przegranych i wygranych bitew, ale też okazji do bohaterских walk, śmiałych wy-  
czynów i wielkich nadziei! To suma tych lat tworzyła nową literaturę polską.

Dzisiejsze pokolenie nowej emigracji przeżywa inne emocje. Widzi zmiany w tym kraju inaczej, nowocześnie i ma tendencję porównywa-  
nia z własnym krajem. Ale też innych wstrząsów, innych, może bardziej osobistych, wrażeń, bardziej personalnych kataklizmów dnia codzien-  
nego w obcym kraju. Wszystko to materiał literacki. Materiał koniecz-  
ny jako dokument innych czasów i innych pokoleń. Ku pamięci, należy wymienić co wybitniejszych poetów tej najstarszej emigracji wojennej: Kazimierz Wierzyński, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, Józef Wittlin, Zofia Bohdanowiczowa, Stanisław Baliński, Jan Lechoń, Marian Hemar,

Zdzisław Broncel, Aleksander Janta, Marian Czuchnowski, Józef Łobodowski, Czesław Miłosz, Ryszard Kiersnowski, Jerzy Pietrkiewicz i najmłodszy z tego grona, zmarły bardzo młodo, Jan Rostworowski (urodzony w 1919 roku, syn słynnego dramaturga krakowskiego, Karola Huberta Rostworowskiego). Wiersz Rostworowskiego, „Niebieski meldunek”, zamyka antologię Mieczysława Grydzewskiego „Wiersze polskie wybrane”, wydaną w Londynie w roku 1947. Warto zacytować jedną jego strofkę: „Każdy karabin rośnie w kłos, Pociski — w ziarna złote...Wodzu! Co będzie? W jaką broń uzbroisz swą piechotę...”

Był to sen poety, upamiętniający ciężką bitwę polskiej piechoty na polskich polach we wrześniu 1939 roku, gdzie poległo wielu żołnierzy. Wiersz ten napisał młody poeta, służący w wojsku polskim w Anglii i tu ukazał się w druku po raz pierwszy. Kto z nowej polskiej emigracji roku 2004 i lat spokrewnionych, będzie pierwszym autorem najnowszej literatury polskiej stworzonej poza krajem? Tyle się w tym polskim światku na Zachodzie dzieje, że pole jest otwarte. Byle złapać wątek o treści try-skającego werwą życia pokolenia, które nigdy nie zapomni ojczystego języka. Tego zapomnieć nie podobna w żadnych warunkach, w żadnej szerokości geograficznej. Polskość jest treścią, którą można wyrazić tylko we własnym języku.

28-30.12.2007

## MOWA POTOCZNA

Ruszając się często po Londynie, słyszy się wszędzie polskie dźwięki. Nie tyle język, ile właśnie tony i dźwięki. Niektóre brzmią obco, zwłaszcza tony są ostre, niemal wyzywające z nutą pretensji w głosie. Inne są trochę cieplejsze, brzmią nawet czasem prosząco, ale sztucznie, jakby prośba z przekąsem czy z sarkazmem. Jeśli posłyszę niektóre słowa, to raczej wolalbym ich nie słyszeć. Są często natarczywe, ostre, koszarowe. Jeśli wtrąci się do dialogu głos dziewczęcy, potakujący mówiącemu, ma się wrażenie, że dziewczyny to słowo czy zdanie, ani jego ton nie razi. Słucham dalej zdziwiony. Po latach, zdziwienie kładzie się na karb tego, o czym ciągle mówimy: na wielkie zmiany za nami i przed nami...

Bogactwo języka to nieograniczone pole działania wyobraźni ludzkiej, ale dlaczego ta wyobraźnia jest taka krótkowzroczna? Zmarły niedawno w Londynie poeta, Jerzy Pietrkiewicz, pasjonował się tym tematem, często mówiąc, że wyobraźnia ludzka nie ma granic. Aby ją wyrazić, potrzebny jest język. Czy to wyłącznie pole poetów i pisarzy, czy wizja wyobraźni może być przywilejem wszystkich? A żeby zrozumieć język,

potrzebny jest zmysł słuchu. Ale samo słuchanie nie wystarczy. Konieczna jest umiejętność czytania tego, co się słyszy. Podobnie jak czytania tego, co się widzi. Stąd już niewielki krok do różnic w tym, czego się chce słuchać i tego, co się odrzuca jako nieważne. Czy to słuszne? Nie, bo każde słowo, które się słyszy, ma swoją wagę i swoje wyłączone znaczenie. Dlatego nie należy odrzucać żadnych słów, nawet mowy potocznej, codziennej, tej bez większego znaczenia, rzucanej przed siebie, byle coś powiedzieć. A taka jest udziałem nas wszystkich w życiu codziennym, w życiu rodzinnym i zawodowym. Ot takie gadanie, aby gadać. I o to właśnie chodzi. Mowa potoczna zastępuje rozmowę, jest skrótem porozumiewawczym, w pośpiechu, a wypowiedziane słowa liczy się na stracone sekundy. A więc gadanie się toczy, ale się go właściwie nie słyszy. Czas leci.

Pewna mało znana literatka, w recenzji z równie mało znanej książki, napisała, że jej treść nie była w niczym zaskakująca, ale zasługuje na uwagę dzięki bogactwu języka. Językiem tym była gwara ludowa Podkarpacia. Krótko mówiąc, gwara góralska. Rwaące potoki górskie nadawały jej tempa. Szum wodospadów dodawał rytmu głosowi, a słowa biegły, jedno po drugim, jak skalny żwir, przenosząc ich melodie pod halnym wiatrem. Ich echo grzmiało odbite od tatrzańskich wierzchołków i rozchodziło się pieśnią nad stokami, pod gorejącymi promieniami słońca. Igły rozpiętych sosen drgały w takt tej melodii, którą nucili pod nosem cepry wracające ze szczęściem w oczach spod hal. I tak wracaliśmy wszyscy. Dumni z odkrycia, że słów nie było trzeba, aby to opisać. Wystarczyło samo przeżycie. To razem ze słowami ukrytymi głęboko w świadomości. Słowa te nigdy nie przeszły do mowy potocznej. Były prawie święte.

A my, wszystkie te polskie pokolenia żyjące, z takich czy innych powodów w obcych krajach, żyjemy mową potoczną. Dlaczego nasza wyobraźnia nie wychodzi poza obraz doczesności? Dlaczego tę parę dziesiątków słów, których codziennie używamy aż do znudzenia, mają nam wystarczyć, żeby sobie powiedzieć, nawet coś bardzo intymnego, głośno słowami raczej niż zamykać te słowa w sobie na specjalne okazje. Skąd się to bierze?

Oczywiście stać nas, od czasu do czasu, na wielkie słowa, kiedy odchodzi ktoś nie byle jaki. Ale patos nie zastępuje słów wypowiedzianych z powodu wielkich okazji. Pogrzeb, nawet najwyższego autorytetu, będzie o wiele większym hołdem jego pamięci w milczeniu. Uznanie jego wielkiego dzieła nie leży w słowach, ale w czynach. Pamięć ludzka jest krótka. Tylko historycy mają pamięć dłuższą i dokładniejszą. Tylko wtedy ich dokonania wejdą w język. To nie będzie język poczytny. To będzie język bogaty. Bogactwo tego języka leży właśnie w naszej wyobraźni,

w możliwości kreowania scen życia, może czasem niezbyt realnych, ale własnych. Od scen do języka już krok niewielki. Scena życia wymaga nowych słów. I tak codzienny język, mowa potoczna (niekiedy, jak u polityków wszelkich narodowości, mowa drętwa) nabierze rumieńców reinkarnacji i stanie się znowu pełnym, żywym językiem. Do siego roku!

4-6.01.2008

## DEMOKRACJA PER SE

Biją się podobno o nią w Afryce. Biją się też rzekomo o nią w Afganistanie i w Iraku, w Libanie, w Palestynie, w Pakistanie, w Burmie i wielu innych krajach. Tak jak o wyjątkowo piękną, niedostępną kobietę, której wdzięki znają z obrazków czy z fotografii, a częściej z filmu. Ma ona urok niedoścignionej chęci posiadania, choć patrzą na nią wszyscy, bez względu na płeć, z lękiem i trwogą. Może dlatego, że jej wdzięki, tak często i niedokładnie opisane w prasie, telewizji, w kinie, w radio, w szkole i na studiach wyższych, mają w sobie to, co ma piękno w sztuce: swoją własną, głęboko ukrytą tajemniczość. W jej oczach widzi się niekończące dobro, w jej rękach bliskość dotyku, w jej słowach kojący szept. Ale dlaczego się o nią biją, zamiast się do niej zbliżyć?

W okresie, kiedy dużo podróżowałem po świecie, duże wrażenie, co do demokracji, zrobiły na mnie częste wizyty krajów skandynawskich. Po wielu takich podróżach miałem w tych północnych demokracjach bliskich przyjaciół. Jednym z nich był dość zadowolony z życia Szwed (większość Szwedów, jak zauważyłem, była zadowolona z życia, skarżąc się na nudę, pchającą ich w lecie na Półwysep Pirenejski), który lubił mówić, że demokracja im nudniejsza, tym bardziej atrakcyjna dla tych, którzy jej nie znają. Opowiadał jak w krajach o gorącej krwi, gdzie każda rewolucja socjalna uważana jest za chorobę, którą wszyscy muszą co najmniej raz w życiu przejść, Szwecja jest uważana za atrakcję południa. Choć Szwedzi chcą dalej żyć jak najdalej od niej. Inny przyjaciel, Duńczyk (Duńczycy są zupełnie inni od Szwedów: mają w żyłach romantyzm wygodnego i często luksusowego życia, lubią Francuzów raczej niż [jak Szwedzi] Niemców, mają dużo radości życia, lubią dobrze zjeść i wypić, rozumieją wysokość stylu życia na poziomie, mają wyrobione maniery towarzyskie i znają, może najlepiej w Skandynawii, wielką sztukę Zachodu) mówił, że w Skandynawii nikt nie mówi o demokracji, bo nie trzeba. Uważają ją jako stan rzeczy, który nie ulega nigdy zmianie. A czy to się nazywa „demokracja” czy nie, to właściwie nie robi żadnej różnicy. Co do tych, którzy się rzekomo o nią biją na sze-



rokiem świecie, uważał, że jest to termin mało w świecie zrozumiały, a co więcej, oznacza jakiś bliżej niewyjaśniony ideał. W sumie, obie bijące się ze sobą strony niewiele o nim wiedzą. Wśród krótkich choć częstych podróży do Norwegii, mam w pamięci zetknięcie się po raz pierwszy z kobietą, pełniącą obowiązki prezesa dużej organizacji finansowej. W londyńskiej City wówczas jeszcze rzecz nieznaną. Norwegowie wyraźnie nie lubią wielkiej polityki. Może to skromność, ale przeczy temu bogactwo. W Norwegii, tak jak w całej Skandynawii, demokracja jest rzeczą tak zwykłą i normalną, że zadawanie pytań o nią może być uważane za nietakt. W tym pięknym kraju jedno jest jasne: głęboka tolerancja i dyscyplina wychodząca z wiary. A co za tym idzie: równość społeczna na płaszczyźnie nie wymagającej żadnej zmiany.

W Finlandii, której ani Szwedzi ani Duńczycy nie uważają za część Skandynawii, demokracja jest niemal równa religii. Nie bardzo na ogół nabożni Finowie robią w tym wypadku wyjątek. Pochodzi to pewnie z ich nieszczęśliwego sąsiedztwa z Rosją, której piętno noszą na sobie, ale zrzucają je szybko i gwałtownie młodsze pokolenia. W Finlandii demokracja gra na wszystkich szczeblach: politycznym, samorządowym, edukacyjnym i socjalnym. Fin zapytany o to, co według niego oznacza termin demokracja, odpowiada: „wszystko dla wszystkich i każdemu tyle samo”. Szkoda, że Finowie nie posiadają wielkiego daru humoru, choć znalazł się jeden śmiejący się całą gębą Fin, który uznał z wielkim przekonaniem, że „Rosjanie też myślą, że są demokratami”, tłumiąc tubalny głos wszystkimi palcami obu rąk. Tak, jakby się bał, że go usłyszą na Kremlu. Swoich się nie bał. Zapytany o tych, którzy się o demokrację biją, orzekł, że nie wiedzą co ich czeka, jak bitwę przegrają...

Historia współczesna uczy, że Francuzi tulą do piersi europejską kolebkę demokracji. Można się z tym zgodzić, albo nie. W każdym razie, Francuzi ciągle o niej mówią, ciągle się na nią powołują, ciągle oskarżają innych, że jej nie rozumieją. Francuz zapytany dlaczego tyle narodów bije się o demokrację, po pierwsze nie potrafi odpowiedzieć jednym zdaniem. Od razu wygłasza przemówienie, z którego niezbitce wynika, że tylko on rozumie, o co chodzi. I na tym kończą się wszystkie argumenty. Poza jednym: „każdy ma prawo się nie zgadzać”... i ma prawo głośnym krzykiem to potwierdzać. Ale strzelać nie wolno, bo kodeks karny i konstytucja na to nie pozwalają.

W Polsce demokracja ma długą i powikłaną historię. Jest znana z imienia i z intencji. Ale, tak jak wszędzie na świecie — poza może Skandynawią, jest trudna do uchwycenia i utrzymania w garści. Tak jak temperament.

11-13.01.2008

## KOMPUTER I GAŁĄZKA BZU

Współczesność czy terażniejszość jest rozumiana różnie. Każdy pojmuję ją na swój sposób i taki, co najlepiej pasuje do jego indywidualnego życia. Współczesność, jaką znamy na co dzień, i to co nazywamy terażniejszością, to pojęcia literackie, mało spokrewnione z rzeczywistością. Rzeczywistość gruntuje nas w warunkach, z których ta codzienność się składa. A składa się, już od pewnego czasu, z czynników mechaniczno-elektronicznych, których niezwykle skomplikowana natura zniewala umysł i poczucie oryginalnej tożsamości. Czy widział kto kiedy gałązkę bzu narysowaną przez komputer? Jak miotła! Nie taka do zamiatania. Taka, która w imaginacji elektronicznej każe nam ją przyjąć jako miotłę. Było wiadomo od zawsze, że każda miotła jest inna. Komputer mówi „Nie”! Wszystkie miotły muszą być takie same. Nie ma różnic wśród miotel! Ale czy mogą być różnice wśród tych, którzy naciskają klawisze komputera?

Pewien znakomity redaktor w kraju nie odpowiada na moje telefoniczne próby połączenia. W końcu, kiedy go dopadłem „żywego”, krzyczał „proszę przyslij e-mail, bo nie mam czasu na rozmowy, tyle się tu dzieje!”. Napisałem list, na który nie odpowiedział, pewnie nie miał czasu. Dziś w kraju nikt nie odpowiada na listy, nikt nie potwierdza odbioru dokumentów, nie mówią o artykułach, czy felietonach do druku. Wszystko w komputerze. Drukują nie patrząc, nie redagując, często bez korekty, bez pytania, nie proszą o wyjaśnienia, każda bzdura dobra, byle prędzej, byle zaraz, byle już. Co świetnie widać na szpaltach pism i pisemek. I co tak gruntownie psuje humor tym, którzy w pocie czoła produkują teksty. Inny równie znakomity historyk literatury, który od lat wydaje w Ameryce, od czasu do czasu, kroniki literackie i artystyczne, z czystego zamiłowania do sztuki w jednej i drugiej dziedzinie, powiedział, że przyjmuje teksty do druku tylko elektronicznie, bo nie stać go na sekretarkę. Kiedyś coś tam wydrukował z ilością błędów, których doliczyć się było trudno. Dlaczego? Bo „e-mail” nie był jasny, a jego wzrok też już nie bardzo działa. Litery i słowa migąły mu w oczach.

Tak oto stoimy przed dylematem automatyzacji pisarzy, poetów, dziennikarzy, historyków, dzieci i młodzieży. Mówią, że w szkołach zamiast podręczników, zamiast nauczycieli, każde dziecko ma przed sobą ekran telewizyjny, a na nim „internet”, na którym po naciśnięciu odpowiedniego guzika, wyskakuje cała mądrość. Wszystkie informacje. Cała wiedza. Cały materiał, by zdać egzamin. I wszystko to, co pozwala już nie myśleć. Trzeba się z drugiej strony zgodzić, że komputer i „internet” ułatwiają życie handlowe, ułatwiają życie urzędnicze, nie zabiera-

ją kosztownego czasu, ułatwiają organizację każdej instytucji, ale czy rzeczywiście? Ludzi trzeba zatrudniać. Ani komputer, jak się okazuje, ani „internet” nie zmniejszają biurokracji. Przeciwnie, mnożą ją bez względu na ilość komputerów. Na oczach nas wszystkich, którzy z usług komputerów tak żarliwie korzystają. Czy po to, żeby nie zostać w tyle za tłumem? Czy żeby stać się automatem? Czy aby wejść w szeregi ludzi, coraz mniej różniących się od siebie? Filozofowie mówili nam od dawna, że postępu zatrzymać nie można. Co można zatrzymać, to bezduszną inwazję elektrotechniki w życie twórcze. Człowiek musi sam myśleć i sam tworzyć. Żaden komputer mu w tym nie pomoże. Czyż każdy z nas nie ma własnego komputera? Bez guzików, bez ekranu, bez prądu, bez „internetu”? Ten, który się kupuje w sklepie, ułatwi mu zaledwie słowne przekazanie jego twórczej myśli. Nic więcej. A gdzie wymiana tych myśli? Gdzie rozmowa?

Postępu zatrzymać nie możemy, ani nie chcemy. Ale nie chcemy też, żeby ucierpiała komunikacja pomiędzy ludźmi. Przypomina mi się czołowy konserwatywny dziennik, „Kurier Warszawski” (1821–1939), w którym świątynny pisarz — Zdzisław Kleszczyński (1889–1938), w cotygodniowym felietonie piętnował nieporozumienia pomiędzy ludźmi, wynikające z niedokładnego czytania informacji prasowych. Panowała zupełna swoboda komentowania zdarzeń, a w końcu każdy miał prawo inaczej na nie patrzeć. Gdyby Kleszczyński żył dzisiaj i gdyby odżył jeszcze „Kurier Warszawski”, myślę, że ubolewałby nad tym, że dziś „internet” przejął monopol opiniowania i wydawania sądów. Kpiąc z różnorodności sądów i opinii, ale popierając wolność ich wypowiedzania, w wymyślonych listach „do Kacperka”, kończył je z humorem, „I czego tobie z całego serca życzy twoja Jagusia”.

18-20.01.2008

## SILVA RERUM

Silva rerum. Po polsku: las rzeczy. Zbiór literackich ciekawostek, anegdot, zdarzeń, spotkań, rozmów, w różnych okolicznościach, ale zawsze dotyczących pisarzy, artystów, aktorów, ludzi wybitnych o szerokim zasięgu, którzy w różnych epokach i w różnych krajach byli częścią intelektualnego klimatu twórczego. Nade wszystko ludzi, którzy mieli wpływ na otoczenie; wpływ zarówno artystyczny, jak społeczny i polityczny. Autorem tego zbioru był redaktor londyńskich „Wiadomości” i „Wiadomości Literackich” (Warszawa, 1924–1939), „Wiadomości Polskich” (Paryż–Londyn, 1939–1944), Mieczysław Grydzewski (1894–

1970), a całość zbioru pochodzi z lat 1947–1969. W roku 1994 zbiór pod tytułem „Silva rerum” ukazał się w druku w wydawnictwie tej samej nazwy i pod redakcją Jerzego R. Wójcika w Gorzowie Wielkopolskim. Grydzewski nigdy nie przywiązywał wielkiej wagi do archiwów dotyczących jego pracy. Przeciwnie, zwykł mawiać, że choć musi z tytułu wymagań prawnych zatrzymywać korespondencję z autorami, wszystko inne jako niepotrzebne wyrzucał. Każde wydanie pisma miało swoją teczkę z cienkiej tektury, a na niej datę numeru. Były tam korekty redaktora i autora (porównywanie jednych i drugich byłoby dla badacza literatury skarbem), były też drukowane skrawki „spod szczotki zecera”, ukazujące jak redaktor „łamał numer”. Po paru tygodniach teczka szła do kosza. Kazimierz Grocholski (nieżyjący już dziś), mój następca w redakcji londyńskich „Wiadomości”, oburzał się na to „wyrzucanie skarbów” i starał się je chować. Niestety też zginęły. Nie zdążył schować ich wiele. Grydzewski zatrzymywał korespondencję z autorami nie tylko z powodów prawnych. Autorzy piszący w „Wiadomościach”, zarówno pisarze jak politycy, tworzyli w latach drugiej „wielkiej” polskiej emigracji historię swego narodu. Dziś, myśląc o toruńskim Archiwum Emigracji, trudno nie wspomnieć o człowieku, dzięki któremu ono powstało, pomimo jego wrodzonej niechęci do kolekcjonowania „niepotrzebnych” papierów. I pomimo jego absolutnej skromności, a nawet więcej, unikania jakiegokolwiek uznania czy rozgłosu. Mało kto wiedział w Londynie czy w Nowym Jorku, czy w Paryżu kto jest autorem Silvy. Wiedzieli najbliżsi i Jerzy Giedroyc w Paryżu. Co do samego Archiwum, pomysł był Mirosława Adama Supruniuka i jego żony Anny. W wykonaniu dzieła, rolę decydującą odegrała następczyni Grydzewskiego — redaktorka „Wiadomości” w latach 1969–1981, Stefania Kossowska (przez pewien czas wspólnie z Michałem Chmielowcem).

Gdyby Grydzewski żył dziś, byłby zaskoczony sukcesem dzieła, które na tle tytułu jego pisma stało się potężnym zakładem naukowym, wydawniczym i kształcącym młodych adeptów badań literackich. Patrząc na emigrację dziś, w roku 2008, widzimy że składa się ona z trzech odrębnych kondygnacji, właściwie epok. Pierwsza, „wojenna”, to lata 1939–1946, druga — 1946–1998, trzecia — przez późne lata dziewięćdziesiąte doszła do roku 2004 i trwa nadal. A co z jej Archiwum?

Proces zbierania materiałów historycznych piśmiennictwa polskiego wśród zachodniej emigracji, zaczęty przez Mirosława i Annę Supruniuków w latach osiemdziesiątych, trwa. Kluczem tego procesu były londyńskie „Wiadomości”.

Proces trwać powinien dalej nie zapominając równie historycznego faktu, że polska emigracja — każda w swoim rodzaju — w różnych

kondygnacjach biegnie swoim rytmem. A z nią jej specyficzna literatura i sztuka. Dziś więc jego kluczem jest zarówno niedawna przeszłość, jak i terażniejszość. Archiwum Emigracji przy Bibliotece Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu to dziś instytucja doświadczona i przygotowana do praktycznego użytkowania jako stacja docelowa, naukowa” i wydawnicza, całokształtu piśmiennictwa polskiego na obczyźnie.

Istotnie las rzeczy! I pomyśleć, jak to dobrze, że dziś możemy znaleźć to, co najpiękniejsze w polskiej literaturze emigracyjnej w domu, w Polsce, w Toruniu, zamiast szukać jej śladów w zagranicznych bibliotekach.

25-27.01.2008

## **SMORCZEWSCY Z LUBELSZCZYZNY**

Członek tej rodziny, rocznik 1924, architekt z zawodu, Rafał Stanisław Smorzewski, zamieszkały w Anglii od 1946 roku, napisał swoje wspomnienia po angielsku. Wyszły one w druku w roku 2007 pod tytułem „Bridging the Gap” w brytyjskiej firmie wydawniczej Matador. Tytuł wymowny co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, książka zaczyna się w rodzinnej posiadłości w Polsce, a kończy się na emigracji w Anglii, czyli obejmuje naturalną odrębność dwóch krajów, łącząc jednocześnie różnicę pomiędzy nimi, w ciągu jednego, jeszcze nie ukończonego życia. Po drugie, ukazuje podłoże kulturalne Polski i Anglii XX wieku, w czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu, które pozwoliło na łatwość, z jaką setki tysięcy Polaków zaaklimatyzowały się w tym kraju. Do powodów, dla których tytuł tej książki jest wymowny, dodać można, że stało się to i dzieje nadal pomimo, jak się tradycyjnie wydawało, niebiosiężnych trudności językowych. A więc tytułowy „gap” okazał się w rzeczywistości bardziej wąską szczeliną, niż przepaścią.

Wspomnienia osobiste są bardzo ważne, bo pamięć ludzka jest krótka. Szczególnie kiedy następują po sobie pokolenia o różnych i inaczej skonstruowanych życiorysach. Kiedy historia stara się do nich dobrać, brak jej materiałów i świadectw zostawionych przez tych, co je przeżyli. Rodzina Smorzewskich żyła i uprawiała glebę polską od stuleci. Stąd jej poważna pozycja na polskiej Lubelszczyźnie.

Autor spędził dzieciństwo i młodość w rodzinnym domu. Przeszedł kampanię wrześniową, Powstanie Warszawskie (został ranny niemieckim pociskiem), niemieckie więzienie i obóz. Wcześniej po wojnie, przez Kraków i Wiedeń przedostał się do Włoch, a stamtąd do Anglii. Tu wykwalifikował się jako architekt. Zawód ten, z wielkim powodzeniem

profesjonalnym, wykonywał aż do emerytury. Ożeniony był z niezycją już Hiszpanką, Marią Isabelą (Bebel) de la Vega, córką znanej rodziny sewilskiej. Mieli córkę i syna, polsko-hiszpańskie dzieci wychowane w obu kulturach, z ojcowską polskością i matczyną hiszpańskością w tradycyjnej harmonii. Autor, zapalony myśliwy, poluje często w Polsce, tak jak polował jako młodzieniec wychowany na wsi.

Młodzi krytycy literatury w kraju i za granicą, mają tendencje do wymagania od literatury patosu wielkich słów, sensacji i agresji „nowoczesności”, jako wartości, które sprzedają książki. Może się wydawać, że wspomnienia Rafała Smorczewskiego są podobne do innych wspomnień tych samych czasów. Jako takie nie podlegają wymogom nowego pokolenia badaczy literackich. Ich szablony są inne. Właśnie dlatego wspomnienia takie jak książka Smorczewskiego, są zazębieniem z tym, czego już nie ma i nie będzie. Dwudziestoletnia sielanka dworów polskich, polowania, konie, przyjaźnie sąsiedzkie, śluby, chrzciny, pogrzeby, radości i smutki, młodość spędzona wśród pokolenia, które przeżyło wielką wojnę i które pokładało tyle nadziei w swoich dzieciach i wnukach urodzonych po niej. Książka ta pokazuje jedno życie, podobne do wielu innych, nawet często takie samo jak inne, jako odpowiedź tym naszym ojcom i dziadom, dla których te nadzieje były niezmiernie ważne. To te nadzieje właśnie, które miały świadczyć o wolności Polski i o polskości dalszych pokoleń bez względu na ich miejsce zamieszkania. W Wielkiej Brytanii wspomnienia, wszelkiego rodzaju biografie, w pierwszej osobie, czy o innych, cieszą się, jak wiemy, dużą popularnością. Wiąże się z tym tradycja nauk historycznych badających pochodzenie ludzi, niekoniecznie wybitnych, ale dających obraz indywidualności. Te wreszcie dodają wyrazu narodowi. Smorczewski pisał książkę po angielsku z myślą o następnym pokoleniu, ale też pewnie pamiętając o miejscu Polski na zachodzie Europy. To miejsce jest tu coraz bardziej zaakcentowane. Jest z każdym rokiem lepiej znane. Dawne i nie tak bardzo dawne znaki zapytania co do Polski giną pod szerszą i łatwiejszą informacją. Ta książka potwierdza fakt, że dawna odległość na mapie pomiędzy naszymi dwoma krajami nie skróciła mapy, ale wykreśla niektóre znaki zapytania.

8-10.02.2008

## TERMINOLOGIA

25 stycznia br. w ambasadzie RP w Londynie toruńskie Archiwum Emigracji przy Uniwersytecie Mikołaja Kopernika pokazało swój potężny dorobek historyczny i szereg najnowszych wydawnictw. Bogaty to

i treściwy zbiór, jedyny w swoim rodzaju z tytułu różnorodności. Chyba jedyne archiwum nie ograniczone tematycznie, a obejmujące wszystko to, co dała kulturze polska emigracja. I nie tylko krajowi, ale też społecznościom zagranicznym, wśród których od 1939 roku żyją i pracują co najmniej trzy pokolenia Polaków. Była to chyba pierwsza oficjalna okazja pokazania emigracji polskiej tego, co w jej imieniu dokonała i dokonuje toruńska Biblioteka Uniwersytecka. Można by powiedzieć wyjątkowa, kiedy twórcy i kontynuatorzy Archiwum stykają się z przedmiotami ich działalności. Taka historyczna konfrontacja. Gdy się jej bliżej przyjrzeć, by uniknąć formalnych nieporozumień w ułożeniu tej działalności w porządku chronologicznym, należy ją podzielić na istotne jej miejsce w dziejach już nie jednej, ale kilku grup emigracji polskiej na Zachodzie i jej świadectw literackich oraz artystycznych.

Słownik Języka Polskiego (Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1983) w hasłach dotyczących emigracji wyraźnie sugeruje, że z terminem emigracji, w różnych jej odmianach, łączy się fizyczna zmiana miejsca pobytu. Nie wchodząc, rzecz prosta, w tego przyczyny. Te mogą być różne. W warunkach polskich w latach 1939–1988 znamy je dobrze teoretycznie i praktycznie. Nie ma w nich, i szukać trudno, szablonu. Sytuacja kraju uległa wielu zasadniczym zmianom. A zmiany fal emigracji tym zmianom konsekwentnie odpowiadały. Tak Polacy, którzy znaleźli się na Zachodzie w czasie drugiej wojny światowej (1939–1945), choć taką czy inną drogą zmienili miejsce pobytu, nie byli emigracją polityczną w ścisłym tego słowa znaczeniu, aż do 8 maja 1945 roku, czyli do zakończenia działań wojennych w Europie. Byli częścią alianckiej akcji wojennej idącej ku uwolnieniu Europy od niemieckiego najeźdźcy. Polscy żołnierze wszystkich broni i polska ludność cywilna podlegała suwerennemu rządowi polskiemu w Londynie. Jest wszystkim wiadomo, że piśmiennictwo polskie tego okresu było bogate w treść i różnorodne, że sztuka polska żyła swoim życiem, że teatr działał bez przerwy, że szkolnictwo żywo zaspokajało potrzeby młodych, starszych i tych w średnim wieku. Że były polskie pisma i że poezja polska w angielskim i amerykańskim świecie tryskała potężnym rytmem niepodległościowym. Piśmiennictwo to po roku 1945 miało tory dwojakie. Polska, zwyciężywszy u boku aliantów niemieckiego najeźdźcę, znalazła się w kleszczach sowieckiego okupanta. Myślę, że ważnym jest, by Archiwum Emigracji, w kształtowaniu historycznych jej okresów, wyraźnie akcentowało pierwszy nowożytny, uznając jej linię demarkacyjną w dacie 6 lipca 1945 roku, kiedy Wielka Brytania i Stany Zjednoczone odebrały uznanie rządowi polskiemu w Anglii, odbierając od ambasadora Edwarda Raczyńskiego klucze ambasady

polskiej w Londynie, by przekazać je w inne polskie ręce. Dopiero wtedy rozpoczął się pierwszy okres polskiej emigracji politycznej na Zachodzie.

Dalsze jej etapy są już wyraźniejsze. Jest w nich ciągłość, choć każdy etap ma inny charakter i inne natężenie liczbowe, ale to nie jest ważne. Co ma wartość niezastąpioną, to materiał dla pisarzy i historyków naukowych, dla poetów, artystów plastyków, kompozytorów i tych, którzy mają wizję rekonstruowania emigracyjnej polskości, by jej obraz był z pożytkiem dla kraju.

Notatka archiwalna. Ambasador Edward Raczyński, który reprezentował Polskę w Wielkiej Brytanii od 1934 roku do 6 lipca 1945 roku, był pewnie jedynym naocznym świadkiem narodzin emigracji polskiej w tym kraju. Pięć lat przedwojennych przygotowało go do rzeczowej i trzeźwej opinii o Brytyjczykach. Kiedy w roku 1940 władze polskie z prezydentem Władysławem Raczkiewiczem, naczelnym wodzem, Władysławem Sikorskim i rządem znalazły się w Londynie po upadku Francji, był on ich przewodnikiem po mało na ogół znanym Polakom kraju. Lubił mawiać, że Brytyjczycy nie chcą, żeby ich lubić. Chcą raczej zrozumienia ich często niezrozumiałych dla nas akcji. Ich logika wywodzi się z „common sense”, co można czytać jako „najwygodniejsze rozwiązanie”. Oto co pisał w posłowniu do pamiętnika:

„W sojusznicznym Londynie, w dniu oddania urzędnikowi Foreign Office kluczy do ambasady: 6 lipca 1945, dzień, w którym Londyn zdołał zrzucić z siebie odpowiedzialność za naszą polityczną egzystencję”. Tak zaczął się pierwszy etap emigracji.

15-17.02.2008

## KORESPONDENT WOJENNY

„Dziennik Polski” zamieścił niedawno na stronie drobnych ogłoszeń prośbę o materiały dotyczące zmarłego w Londynie dziennikarza i poety Ryszarda Kiersnowskiego. Nie wiem, kto prosił o te informacje, których i tak udzielić nie mogę, nie posiadając dziś pod ręką żadnych konkretnych danych jego życiorysu czy osiągnięć zawodowych, poza bliskimi mi zawsze wspomnieniami naszej przyjaźni.

Przyjaźń ta zaczęła się w Wilnie jesienią 1939 roku, kiedy znaleźliśmy się tam obaj, już bez munduru, po kampanii wrześniowej. Kiersnowski z grupą dziennikarzy warszawskiej „Gazety Polskiej”, w której do wojny pracował razem z nieodłącznym przyjacielem i kolegą dziennikarzem, Romanem Grzymałą. Ja, uciekając ze Lwowa, gdzie mi się skończyła



kampania wrześniowa, liczyłem tak jak wielu innych, na przynajmniej tymczasową „sielankę litewską”. Ta nie trwała długo.

Przez pierwsze miesiące działało jeszcze poselstwo polskie, mające zapas książeczek paszportowych, które optymistom dawały złudzenie możliwości wyjazdu na zachód. Długie kolejki „podróżnych” czekały spokojnie. Niewielu podróz udało się. Kiersnowskiemu i jego najbliższemu wyjazd się udał, ale dopiero po jakimś czasie i to już po zmianie sytuacji, kiedy wojska sowieckie „ubezpieczyły” Litwę, choć była ona jeszcze „wolna” i litewska. Był to pierwszy okres współpracy litewsko-sowieckiej. Okres drugi — okupacja sowiecka i wywózka Polaków do Rosji przypadła na rok 1941. Atak niemiecki na Rosję nastąpił w maju 1941 roku. Nie pamiętam daty, kiedy Ryszard, jego żona Wiera i jej ojciec, mecenas Ludwik Honigwill, znany warszawski adwokat, wyjechali oficjalnie z Wilna transsyberyjską koleją do Władywostoku, by stamtąd — na zasadzie japońskiej wizy tranzytowej — znaleźć się w Stanach Zjednoczonych. Stało się to możliwe dzięki stosunkom mecenasa Honigwilla ze znaną amerykańską organizacją charytatywną, w skrócie „Joint” (Zjednoczone Komitety Pomocy Uchodźcom od Nazizmu). W okresie pomiędzy naszym spotkaniem w Wilnie, na jesieni 1939 roku, aż do jego wyjazdu na wschód, byliśmy ze sobą w niemal codziennym kontakcie. Tak pogłębiała się z dnia na dzień nasza przyjaźń. Nasza grupa „warszawska” składała się z Kiersnowskiego, rodem z Nowogródzczyzny, poety Światopełka Karpińskiego, satyryka Janusza Minkiewicza, malarza Karola Kryńskiego z Warszawy i paru innych osób związanych z przedwojenną prasą polską. Byliśmy zbliżeni z prof. Wacławem Iwanowskim z Politechniki Warszawskiej, późniejszym prezydentem Mińska, zamordowanym przez komunistów w Mińsku działaczem i ziemianinem ze wschodniej Polski, dążącym do niepodległości Białorusi we współpracy z Polską. Parokrotnie dołączał do nas „wileńczuk” z pochodzenia, Czesław Miłosz, który pewnego dnia zniknął z Wilna i znalazł się w Budapeszcie. Okazało się, że w czasie litewskiej krótkiej „niepodległości”, jako urodzony na Litwie, przyjął obywatelstwo litewskie.

Moje następne spotkanie z Kiersnowskim i jego żoną Wierą to Londyn w czasie wojny. Po Rosji, skąd wyjechałem z armią gen. Andersa i nie zatrzymując się po drodze, znalazłem się w polskim lotnictwie w okolicach Nottingham i Lincoln. W czasie chyba pierwszego urlopu, znalazłem Ryszarda w Londynie, w mundurze korespondenta wojennego, członka Kwatery Prasowej Naczelnego Wodza i pracownika Polskiego Radia w Londynie, jednocześnie dochodzącego reportera w Polskiej Sekcji BBC. Od tego pierwszego spotkania na ziemi brytyj-

skiej spędziliśmy razem wiele dni i godzin, często w towarzystwie świetnego przedwojennego „speakera” Polskiego Radia w Warszawie, później w BBC, Józefa Opieńskiego i jego żony Małgorzaty.

Przypomina mi się prośba Ryszarda o spisanie moich przeżyć i wrażeń z Rosji. Nie mogłem się jakoś do tego zabrać. Wiedziałem, że nie mogę konkurować (przede wszystkim) z Józefem Czapskim, ani z Gustawem Herling-Grudzińskim. W końcu napisałem ręcznie parę niezdatnych stron na lotnisku 300 Dywizjonu Bombowego Ziemi Mazowieckiej w Faldingworth. Będąc parę dni w Londynie, dałem je Ryszardowi podczas spotkania w Hotelu Rubens na Victorii. Rzucił na nie doświadczonego dziennikarskim okiem. Nie powiedział ani słowa. Kartki schował do kieszeni. Żegnając się szepnął mi tylko: „No, może coś z tym zrobić”.

Ryszard przydzielony do ekipy korespondentów wojennych przy Dywizji Pancerniej gen. Maczka, wrócił z tej kampanii jako jeden z najbardziej czytanych w prasie polskiej sprawozdawców akcji w Belgii i w Holandii. Były pisane z żywym talentem literackim, tak jak jego pierwsza sztuka teatralna, pt. „Panowie w nowych kapeluszach” napisana po maturze. Kiersnowski miał rozmiar literacki, który obejmował każde rzemiosło słowne.

Tych parę wspomnień o bliskim i drogim przyjacielu ofiarowuję ku pamięci osobie, która zamieściła ogłoszenie w „Dzienniku”.

22-24.02.2008

## SZCZYT SZCZYTOWI NIERÓWNY

Zjazd na nartach z Kasprowego Wierchu czasem na Halę Gąsiennicową, czasem na Goryczkową (ostrzejszy zjazd), błękit czystego nieba, iskrzący się pod nogami puch śniegu (jeśli nie ma lodu), wyzwala napięcie mięśni, a nade wszystko daje poczucie oderwania się od ziemi. Rodzaj bardzo specjalnej wolności. Niebo, ziemia, kalejdoskop samotnej, ale radosnej walki z elementami. Spokój i dziwna błogość po wychnie. Często wracam z tęsknotą do takich wrażeń, zdając sobie sprawę z ich braku, kiedy czytam niekończące się tyrady współczesnych polityków i dyplomatów, przed i po każdym „szczycie”. Raz w Tokio, raz w Madrycie, często w Moskwie, w Waszyngtonie, w Singaporze, rzadziej w państwach mniejszych. Tym ostatnim już dawno praktycznie odebrano głos, choć często i równie praktycznie właśnie tych mniejszych państw te szczyty dotyczą. To one są na ogół bezbronne w obliczu nuklearnego kataklizmu. To ich granice są zagrożone. Nad nimi mogą się rozgrywać

rakietowe pojedynki tych, których na nie stać. Szczyty dyplomatyczne i polityczne mają swoje miejsce. Mają też swoje cele. Jednym z nich jest własne bezpieczeństwo. Innym jest użycie — jak dalece się da — państw mniejszych jako królików doświadczalnych. Na zasadzie, że te małe, ciche zwierzątka nie mają wyboru. Na szczytach jest o nich mowa. Mówi się o dystansie pomiędzy nimi a państwami o nuklearnej mocy. Wiemy, że szczyty są też po to, żeby załatwiać wzajemne programy inwestycyjne tych, których waluty się liczą w rozrachunku światowym. I po to, żeby rozdzielać pomiędzy sobą zasoby merkantylne, import, eksport. Ważnym elementem szczytów jest więc wartość walut i ich pokrycie w złocie czy innym kruszcu. Każdy „szczyt” kończy się długim, detalicznym sprawozdaniem i na tym się kończy. Zwykle nie wynika z niego wiele. Przeważnie rozchodzi się po kościach równie szybko, jak rozjeżdżają się jego uczestnicy.

W ostatnim roku takich „szczytów” na międzynarodowym poziomie było wiele. Jeden z ostatnich, cichy i mało zauważony przez prasę światową, miał miejsce w Waszyngtonie. Był on oficjalnie oparty na specjalistach w dziedzinie klimatycznego ocieplenia planety. Zza kuluarów wylaż też mało właściwie frapujący temat nuklearnego uzbrojenia tejże planety. W trakcie tych rokowań szczyt zajął się, niemal marginesowo, raportem pt. „Military Balance 2008”, przygotowanym przez Johna Chapmana, szefa International Institute for Strategic Studies. Jego główną tezą jest dawno już zaobserwowany fakt, że Rosja obala powoli, choć systematycznie, międzynarodowe układy zbrojeniowe, które zakończyły się „zimną wojną”. Raport twierdzi, że pewny siebie, potencjalny, rewizjonizm Moskwy uzna za zakończony „tymczasowy” układ z roku 1987 o broni nuklearnej. Traktat ten, podpisany przez prezydenta Ronalda Reagana i Michaiła Gorbaczowa, eliminował użycie średnio-dystansowych rakiet nuklearnych w Europie. Dla Polski traktat o olbrzymim znaczeniu. Taka jest dziś jednostronna polityka Rosji co do europejskich zbrojeń. Jest to linia intencji politycznych, wskazujących na stopniowe oderwanie się potężnego potencjału energii atomowej Rosji od równie potężnego potencjału Stanów Zjednoczonych. Nie ma w tym wiele nowego poza tym, że w takiej sytuacji wielkim znakiem zapytania będzie brak umów międzynarodowych, co do granic użytku tych potencjałów. Cynik może uznać, że znak zapytania zawsze istniał w przypadku Rosji i jej tajemniczych akcji. Może on też powiedzieć, że Rosja rzadko dotrzymywała słowa. Niemniej umowy trzymały w ryzach ambicje polityków, dla których uczestnictwo „szczytów” było politycznym awansem na terenie międzynarodowym.

Kamieniem węgielnym bezpieczeństwa narodów jest ich siła obronna, połączona z siłą ekonomiczną. Na tym kamieniu wisi bezpieczeń-

stwo państw mniejszych i biedniejszych Unii Europejskiej. Na mapie tej europejskiej wspólnoty interesów i wspólnych ideałów, widnieją, jak na dłoni, długie, wijące się, formalne granice. I o te granice chodzi. Dyplomacja, dyplomacją, uzbrojenia idą swoją polityczną drogą. Żaden szczyt nic nie zmieni. Chodzi o to, żeby te granice były uznane nie tylko jako formalne, ale jako suwerenne. Na ziemi i w powietrzu.

29-2.03.2008

## GÓRNY LOT

Spod wysokiego pułapu, z lotu ptaka, polska emigracja w Wielkiej Brytanii podlegała zmianom, tak jak każde nowe pokolenie. Znamienna metamorfoza nastąpiła w maju 2004 roku. Po blisko siedemdziesięciu latach jasno widać, jak długa to była droga do rozpoznania zmian i ustawiania rodaków we właściwej pozycji na brytyjskiej ziemi. Od drugiej wojny światowej do dnia dzisiejszego. Na początku wszyscy się na tej drodze znali. Nie było pomiędzy nami różnic. Były różnorakie mundury i byli cywile. Różnej płci i różnej tożsamości. Byli tu reprezentanci wszystkich części Polski. Wszystkich województw, wszystkich wielkich i mniejszych miast. A jednocześnie spotkał się na tej ziemi szeroki wachlarz doświadczeń, przeżyć więziennych, obozowych, niewoli, kace-tów, obozów przymusowej pracy, ucieczek od miejsc zagłady, dalekich podróży z wielu końców świata, w drodze do polskiego wojska w sojuszniczej Anglii. Wszyscy byli tacy sami. Sami znajomi. Nie było wśród nas różnic. Przyszliśmy tu z różnych krajów, z różnych klimatów, w różnych okolicznościach, różnymi sposobami, różnymi środkami komunikacji. Bez względu na różnice wieku i miejsca oryginalnego zamieszkania. Byliśmy jednolitą grupą polskich żołnierzy i działaczy, walczących o wolność Polski.

Tak było w latach 1939–1945. Poza stanem społecznym i politycznym, niewiele się zmieniło w latach 1945–1990. Zaczęło się zmieniać, kiedy Polacy zaczęli się ruszać po świecie *en masse*. Wielka Brytania była najbardziej atrakcyjnym miejscem docelowym, może pierwszym etapem. Polskie członkostwo w Unii Europejskiej przystępowało stan dzisiejszy. Nowi rodacy świetnie się tu czują. Są dobrze na ogół przyjmowani. Mają wiele praktycznych zalet fachowych. Umieją się uśmiechać. Są przeważnie grzeczni. Zwłaszcza ci młodszy. Ale jak dobrze się znamy? Czy w ogóle się znamy?

Pierwsza wojenna emigracja i to, co po niej przyszło, ma swoją bogatą dokumentację. Ma swoje archiwa. Co ważniejsze, ma też swoją no-

menklaturę. Ma swój własny język. Ma też swoją literaturę. Literaturę bogatą, poezję, prozę, sztukę dramatyczną, malarstwo, rzeźbę i sztukę dekoracyjną. Ma obszerny katalog wspomnień ze wszystkich etapów doświadczeń wojennych. Ma głęboką bibliotekę naukową historii emigracyjnej, woskowej i politycznej. Nowa emigracja jest chuda w kreatywność literacką i artystyczną, zarówno jak w aktywność dokumentalną. Przychodzi mi do głowy dramatyczna myśl o niedoręczonych listach, o braku materiału drukowanego o nowej emigracji polskiej. Widzę różne pisma w języku polskim, efemerydy wydawnicze, każda w swoim zakresie optymistyczna, indywidualna, sobie rzepkę skrobie, ambitna, skromna w nakładzie, raz jeszcze, zawiadamiając o tym, że chce być inna, chce być swoja, wyłączna. To tak jak te nigdy nie doręczone listy. Gdzie to trafia? I jaki ma to efekt praktyczny? Nikt ich już nie pisze. A te napisane giną w czeluściach komputerów, mają w sobie coś wyłącznie mechanicznego, co nie wymaga odpowiedzi. Jest obce. Nie jest intymne, osobiste. Dlatego się nie znamy. Nie znamy się bliżej. Ani pewnie nigdy się bliżej nie poznamy, bo nie będzie już nowej emigracyjnej literatury. Będzie tylko elektroniczna na co dzień informacja.

A jest o czym pisać na tej emigracyjnej ziemi. Wiemy, że przyjechali tu zarabiać. Poprawić byt. Ale widzą też kraj w jakimś świetle. Czują inną atmosferę. Inny sposób życia. Inne zwyczaje. Inne wychowanie. Widzą innych ludzi. Widzą inne pomiędzy nimi stosunki. Literatura polska czeka na ich przeżycia. Czeka na to, czego się tu nauczą. Czeka też na ich znajomość każdego nowego kraju. Te doświadczenia mogą w przyszłości okazać się bezcenne. Słysząc z wielu źródeł, że masowa emigracja młodych za chlebem jest już mniej atrakcyjna. Podobno nie masowo, ale wracają do kraju. Jeśli tak, to czas najwyższy by pisać. Czas by utrwalić fragment życia, który może się już nie powtórzyć. No i może się wtedy bliżej poznamy. Tak jak było na początku emigracji: sami znajomi.

14-16.03.2008

## KONCENTRACJA KAPITAŁU

Mówią nam ze wszystkich stron, że stoimy nad przepaścią ekonomiczną. Że jesteśmy już nie tylko świadkami kryzysu finansowego, ale jego uczestnikami. Śmiesznie to brzmi, choć nie zabawnie, kiedy słyszymy, że najbogatszy, jak się wszystkim wydawało, kraj na świecie, Stany Zjednoczone, jest aż tak zadłużony, że dolar jest w niebezpieczeństwie. Ten wszechmocny dolar! Ta waluta, która przez lata ratowała świat przed właśnie takimi kryzysami. Te przemożne amerykańskie banki, które

przez lata finansowały większość wielkich inwestycji w Europie, w Azji, w Afryce i w Ameryce Południowej. Jeden z nich właśnie stanął nad przepaścią. Dłużnicy nie płacili. Źródła kredytu wyschły. Bank nie miał gdzie pożyczać. Skarb państwa, rzecz nie spotykana jak dotąd (pozaekonomiczna kuzynka Wielka Brytania, gdzie po raz pierwszy od stuleci brytyjski bank hipoteczny, Northern Rock, musiał pójść z workiem do Bogu ducha winnych podatników, by dalej funkcjonować), w kraju gdzie najmędrsze głowy akademickie i fachowe coraz to utwierdzają uniwersalne teorie ekonomiczne. To na tych teoriach żyje i pracuje cały cywilizowany świat. Dlaczego teorie ustalone i sprawdzone przez lata wojny i pokoju zasady przestały działać? Miedzy innymi dlatego, że tenże, podobno cywilizowany świat, cierpi od lat na zanik dyscypliny. Tak zwany „consumerism”, czyli łatwość nabycia i konsumowania tego, co się nabędzie na dalekosiężny termin. Tak powstał powszechny kult kredytu. O nierealnym pokryciu. Koszt tego kredytu jest nieistotny. Ważne jest nabyć i mieć. Każdy ma prawo mieć wszystko: od domu, do samochodu, od nadmorskiego urlopu, do nowego ubioru. Uczą tego prawa już w przedszkolu. Nim młoda głowa dojdzie do lat dojrzałości, ma w niej gotowy program dalszej ekspansji posiadania. Niekoniecznie na wypróbowanych zasadach zdrowej ekonomii (stopniowy wzrost wartości stanowiącej załóżek kapitału), ale na błyskotliwej atrakcji każdego nowego nabytku. Często tylko po to, żeby posiadać, bez względu na użytkowość. Świetna, wspaniała i wygodna zasada ekonomiczna „jakoś to będzie”, to recepta na krawędź przepaści.

Kiedy poślizgnie się najbogatszy kraj na świecie, Stany Zjednoczone, fale wahań ekonomicznych, czyli wartości waluty, w tym wypadku dolara, szybko dotykają światowego obiegu. I tak się dzieje dziś. W Europie i poza nią. Wały obronne Unii Europejskiej na pierwszym miejscu, jako mocnego terenowo partnera. Obroną Unii jest jej własna waluta, Euro, związana z dolarem przy pomocy trzeciej światowej waluty wymiennej — ropy naftowej. W ostatniej analizie, ropa dyktuje wartość i dolara, i euro. A reszta świata, a z nią małe kraje w Unii i poza nią, czyta gazety, słucha radia, jest poinformowana, ale nic się nie zmienia. Taka jak natura ludzka. Jesteśmy wszyscy, zbiorowo i indywidualnie, mechanizmami tego stanu rzeczy. Wróćmy więc do spraw nam bliższych.

Nie wiemy, jak dobrze poinformowany był szef polskiego rządu, Donald Tusk, o stanie zdrowia amerykańskiej ekonomii, nim wyruszył z wizytą za ocean. Stan jej zdrowia już od dawna dawał podstawy do obaw. Jak też wiemy, polski premier poruszył sprawę chyba najmniej ważną: wiz wjazdowych dla rodaków. Może w przyпыlywie optymizmu uważał, że Ameryka potrzebuje polskich hydraulików. A może kalkulo-

wał, że pozwolenie na „tarcze” nad Polską wymaga rewanżu wizowego? Tak czy inaczej, może nie zauważył, że nawet nieco uszkodzony dolar ma o wiele większą wartość inwestycyjną na przykład w Polsce, niż w dużo droższych innych częściach świata. Polska koncentracja kapitału i jego dystrybucja to nie tylko temat do dyskusji. To temat praktyczny, ponad względną aktualność tarczy, a tym bardziej amerykańskich wiz.

21-23.03.2008

## SZUKANIE OJCZYZNY

Czesław Miłosz, poeta, pisarz i noblista, zawsze chodził własnymi drogami. W 1992 roku krakowski „Znak” wydał jego niewielką książeczkę pod takim właśnie tytułem. Niby potwierdzenie różnokierunkowych, własnych dróg poety. Dostałem ją w prezencie od Violetty Komorowskiej, poetki spokrewnionej z Miłoszem, w czasie krótkiego pobytu w Warszawie, w połowie października 1992 roku. W przedmowie pisał autor: „Książkę tę ułożyłem, chcąc być użytecznym. Wchodzące w jej skład rozważania, z jednym wyjątkiem, pochodzą z ostatniego okresu, już po upadku komunizmu. Znajduje się w nich geografia i historia ziem, z których pochodzę, niegdyś nazywanych Wielkim Księstwem Litewskim, dlatego że w ten sposób mogę przyczynić się do zrozumienia tamtejszych historycznych powikłań, co jest potrzebne, jeżeli Polskę, Litwę, Białoruś i Ukrainę mają łączyć poprawne sąsiedzkie stosunki”.

Co roku, w okresie Świąt Wielkanocnych przypomina mi się dość niezwykle spotkanie z Miłoszem w Wilnie, w roku 1940. Tak się stało, że mimo dużej różnicy wieku, dołączyłem do znanej już wtedy grupy poetów, uciekinierów z okupowanej przez Niemców Warszawy. Wymieniam wszystkich, z którymi jechałem ciężko przeładowaną, konną dorożką wileńską ulicą Mickiewicza: poeta i satyryk Świątopelk Karpiński, satyryk Janusz Minkiewicz, dziennikarze z „Gazety Polskiej” Ryszard Kiersnowski i Roman Grzymała, malarz Karol Kryński i Czesław Miłosz. Celem tej przejażdżki były kołduny w słynnej wileńskiej restauracji „Czerwonego Sztralla” na ulicy Mickiewicza. Dwa specjalne fragmenty tego obiadu mam do dziś żywo w pamięci. Długą optymistyczną tyradę Miłosza na cześć pojednania powojennej Polski z Litwą, Ukrainą i Białorusią, na zasadzie przelanej na tych obszarach polskiej i sąsiedzkiej krwi. Miłosz uważał się za Litwina. W czasie krótkiej odwilży na Litwie, w roku 1940, przyjął litewskie obywatelstwo. Fragment drugi, jeśli to fragmentem nazwać można, to to, że w dzień po tym obiedzie,

Miłosz zniknął z Wilna. Nikt nie miał pojęcia, dokąd wyjechał, czy może poszedł pieszo? Pociągi niby chodziły, ale o regularnym ruchu nie było mowy. W parę dni później dotarły do Wilna nie potwierdzone nigdy wiadomości, że Miłosz znalazł się w Budapeszcie.

To już nie fragment spotkania, ale związany z nim epizod (pisałem już o tym kiedyś w „Środzie Literackiej” i w „Dzienniku”), a dziś go powtarzam, bo na wszystkich nas wtedy, w większości nieżyjących, wywarł głębokie wrażenie. To właśnie Miłosz, który siedząc w dorożce, w drodze na litewskie kołduny, ni z tego ni z owego głośno zapytał, kto z nas pierwszy pochowany będzie na Rossie? Nastąpiła cisza, przerywana jeszcze trzeźwym chichotem Minkiewicza, znanego z cynicznego stosunku do rzeczy wielkich i poważnych. Temat ten poruszony już przy kołdunach i po większej ilości „sztabowych” wódek, nie wywołał śmiechu. Utkwił w powietrzu nad nami aż do momentu, kiedy wypiliśmy toast na cześć tego nieznanego pierwszego poety, satyryka, dziennikarza czy malarza, którego imię znajdzie się na Rossie. Jak powiedziano wyżej, był to okres Świat Wielkanocy, prawdopodobnie koniec kwietnia. Nie upłynęło więcej niż dwa, może trzy tygodnie, kiedy nieśliśmy wszyscy, uczestnicy tego obiadu, na barkach trumnę zmarłego nagle Światopełka Karpińskiego, świetnego poety, marzącego o Polsce czystej jak łąka i o jej wielkiej legendzie.

W swojej książeczce „Szukanie ojczyzny”, Miłosz szukał teź legendy, chcąc na przekór wszystkiemu, by to, co łączyło historycznie Polskę z tymi sąsiadami, z którymi to mogło stać się praktycznie możliwe, zamiast legendy stało się rzeczywistością. Miłosz pochodził z Litwy, ale był na wskroś polskim poetą. Pewnie wiedział więcej o tym, co łączyło i łączy Polskę z Litwą, niż wielu innych poetów i pisarzy. Jest do pomyślenia, że gdyby żył dalej i pisał, mógłby dziś szukać ojczyzny w zakresie, o którym marzył. Czy Unia Europejska może być rzeczywiście unią bez „zrozumienia tamtejszych historycznych powikłań”? I czy Polska nie powinna być motorem tego zrozumienia?

28-30.03.2008

## **SPOTKANIA 1.**

Utarty, zdawkowy, często używany zwrot „życie jest krótkie” nie odpowiada rzeczywistości. Życie jest tak długie, jak długa jest pamięć. Zamiast pisania osobistych wspomnień, które i tak mało kogo interesują, bo każdy ma swoje, które bardziej ceni, moją intencją od dawna było, żeby pisać wspomnienia w formie spotkań. Spotkań albo brzemiennych



w skutkach, albo takich, które wywarły głębsze wrażenie. Takie jakie się pamięta całe życie.

Do nich należą moje spotkania z Edwardem Raczyńskim. Na początku spotkania te nie były osobiste, były raczej sporadyczne i niezbyt częste. Przeważnie z okazji uroczystości oficjalnych, czy publicznych. Z tytułu starych przedwojennych stosunków rodzinnych miałem bliższy kontakt z Anielą Mieczysławską, najbliższą osobą prezydenta i jego późniejszą żoną. 8 kwietnia 1986 roku Edward Raczyński zakończył swoją kadencję na stanowisku prezydenta RP.

Na Obczyźnie. W tym samym mniej więcej czasie (zostałem wezwany telefonicznie przez Anielę Mieczysławską) nastąpiło moje pierwsze osobiste spotkanie z prezydentem. Takich spotkań było potem wiele. Do prezydenta zwrócił się ks. Zenon Modzelewski, redaktor kolekcji „Świadkowie XX wieku”, wydawnictwa „Éditions du Dialogue” w Paryżu, z propozycją wydania tomu jego wspomnień, doświadczeń życiowych i osobistych.

Prezydent już wtedy stracił wzrok. Moim zadaniem było rozmowy nasze nagrać na taśmę magnetofonu, zredagować i przygotować do druku. Widywałem więc prezydenta często. Nie były to z jego strony tylko monologi. Ponieważ miał talent literacki, opowiadał o swoim życiu, inicjatywach, pracy. Literat, historyk, często dodając (prosząc, aby nie wyszły w druku) prywatne uwagi o wybitnych i mniej wybitnych ludziach, których spotkał w życiu, z którymi miał bliższy albo dalszy kontakt, nigdy nie kalecząc niczyjego imienia, pokrywając niektóre szczegóły żartem, lub przerywając zdanie, które pozostało niedokończony. Miał w tym szczególny dar widzenia obu stron każdego człowieka: jak mówił „front i plecy”.

O tym, tzw. froncie lubił mówić więcej. Na przykład o gen. de Gaulle mówił, że miał on tylko front i to dość wypięty, i był enigmą, co wyrażało się w tym, że wygłaszał często dwie sprzeczne opinie w jednym i tym samym zdaniu. O polskich politykach i generałach nie mówił wiele, był w tym absolutnym lojalistą. O zmarłych jeszcze mniej.

Wyjątkiem w tym był jego dawny warszawski szef, Józef Beck, którego parokrotnie przyjmował w Londynie, po raz ostatni tuż przed wybuchem wojny 1 września 1939 roku, kiedy widział u polskiego ministra spraw zagranicznych bolesny wyraz twarzy i niemal utratę wiary w przyszłość, która była już pod samą granicą Polski. Miał dla Becka szacunek jako do bezwzględnie oddanego żołnierza Piłsudskiego.

Co do polityków zagranicznych, uważał się bardziej wolny w sądach. Ale też w opiniach liczył się z „frontem” i „plecami”, taka równowaga pozwalała na szeroki zakres informacji. Brytyjski minister spraw

zagranicznych, Anthony Eden, to stara szkoła angielskiej dyplomacji imperialnej, którą uważał za błąd w zmienionych nastrojach politycznych w jego własnym kraju, gdzie socjalistyczna partia pracy wzbudzała coraz ostrzejsze wymagania socjalne.

Raczyński najbardziej intensywnie działał i myślał w sprawach polskich. Uważał emigrację za polityczną i moralną konieczność. Uważał i często o tym mówił, że Polonia w Wielkiej Brytanii ma o wiele większe szanse pozostania na zawsze Polonią, niż na przykład w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie czy Australii. Są to kraje absorbujące imigrantów na innych zasadach.

Wielka Brytania, uważał, pilnuje respektu narodowości i nie zmusza nikogo do jej zmiany. Książka Edwarda Raczyńskiego, o której mowa, ukazała się w Paryżu w roku 1990, pod tytułem „Czas wielkich zmian. Rozmowy przeprowadzone przez Krzysztofa Muszkowskiego”.

17 listopada 1973 roku, odbyło się w prywatnym salonie Ogniska Polskiego w Londynie, doroczne zebranie Jury nagrody za najwybitniejszą książkę polskiego pisarza wydana w roku 1972. Na tym to zebraniu wystąpił po raz pierwszy jako członek Jury Edward Raczyński. Tu wracam do spotkań.

Oto tuż przed wydaniem powyższej książki, Raczyński wspólnie z Tadeuszem Walczakiem, dyrektorem Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie, zainicjował powstanie Nagrody PFK. Za najwybitniejszą książkę pisarza polskiego, wydaną w kraju lub na emigracji. Raczyński sam wybrał członków Jury: Stefania Kossowska, Zdzisław Jagodziński, Andrzej Suchcitz i niżej podpisany. Oto jedno z niezapomnianych spotkań.

4.04.2008

## BITWA O EUROPE

Ostatnia książka Adama Zamoyskiego — „Warsaw 1920. Lenins' failed conquest of Europe” (Harper Collins, London 2008), jest tak ważna, że mam wątpliwości czy można dać jej dostateczny wyraz w felietonie pod ogólnym tytułem — „Inter alia”. Usprawiedliwić to może fakt, że jej treść jest na pewno dobrze znana polskiemu czytelnikowi, nawet bez względu na pokolenie, ale nie jest albo wcale znana, albo zapomniana przez czytelników angielskich czy amerykańskich. A na tym polega jej waga.

Profesor Oskar Halecki w swojej „History of Poland” (Roy Publishers Inc., New York, 1976), pisząc o wojnie bolszewickiej w 1920 roku,

daje w skrócie szerokie perspektywy na przyszłość, gdyby wojna była przegrana. Píše o tym, że zagrożona byłaby cała Europa Centralna. Na pewno, ale teza Zamoyskiego idzie dalej. Ponieważ marsz bolszewików na Zachód zniweczyłby terytorialne i polityczne układy Traktatu Wersalskiego, groziłby całej Europie Zachodniej. Obie perspektywy miałyby dla Polski bardzo poważne skutki. W sumie Polska mogłaby wtedy zniknąć z geograficznej i politycznej mapy Europy. Co równie ważne to to, że europejski Zachód, wyniszczony wielką wojną i już podtruty smakiem rewolucji, był gruntem podatnym na przyjęcie komunistycznej wiary. Specjalnie Niemcy, nasz najbliższy zachodni sąsiad przez miedzę, skąd, trzeba pamiętać, Lenin wyruszył do Rosji pociągiem w zaplombowanym wagonie w przeddzień październikowej rewolucji w roku 1917. Wojna z Bolszewikami w 1920 roku i polskie zwycięstwo (Cud nad Wisłą) uratowało Zachód, mając do dyspozycji niemal całkowicie ochotniczą armię, mało doświadczone dowództwo, przy zupełnym braku pomocy militarnej czy politycznej od tegoż Zachodu. Tylko francuski generał Maxime Weygand z grupą oficerów armii francuskiej stanowili wkład aliancki jako obserwatorzy i doradcy.

Adam Zamoyski jest nie tylko historykiem polskim piszącym po angielsku, ale jest też świetnym pisarzem. Te dwa talenty rzadko idą w parze. Píše on historię językiem literackim w odróżnieniu od historyków czysto naukowych o tendencjach do monotoności. W rozdziale 3 książki pt. „Grand designs”, písze o strategii Piłsudskiego tak, jakby píszał faktyczną relację, nawet reportaż z przygotowań do decydującej bitwy. Nie używa wielkich słów tam, gdzie zwykle oddają dużo lepiej i jaśniej prawdę. A prawda była sama w sobie największym politycznym i wojskowym ryzykiem. Jej patos w codziennych słowach miał wystarczający wymiar. W tym samym rozdziale opisuje polsko-ukraińską kampanię kijowską wskazując na głębokie różnice sił rosyjskich i polsko-ukraińskich. Opisując w tonie reportażu wojennego, to co przeszło do historii jako „Wyprawa Kijowska”, która zakończyła się sukcesem. Front rosyjski się załamał w drugim dniu ofensywy, kiedy XII i XIV armie rosyjskie były w odwrocie. Piłsudski był przekonany, że Kijów będzie się potężnie bronił. Okazało się, że miasto było zostawione swemu losowi. W rezultacie, dwie brygady kawalerii, które sforsowały Dniepr, weszły do Kijowa od tyłu bez oddania strzału. „Cud nad Wisłą” miał zupełnie inny charakter. Po upadku Wilna, upadł Brześć. Tuchaczewski i jego armia parły na Zachód. Była to masowa nawała armii ku samej Warszawie. Zdziwiony generał de Gaulle miał się wyrazić: „To nie jest wojna — nie ma trupów”. „Dywizje idą naprzód i cofają się” — nikt nie wie dlaczego?” Sierżant 42 dywizji pie-

choty wiedział dlaczego, pisze cytując go Zamoyski — „Walka miała podstępny charakter. Nie było okopów, by stanąć na pozycjach... Atak mógł nastąpić z każdej strony. Tak więc walka była krwiożercza — na śmierć i życie”.

Książka Zamoyskiego robi wrażenie na każdym, kto uczył się historii Polski w polskim gimnazjum w Polsce w latach trzydziestych. Historia kraju była ważnym przedmiotem, a jej treść była nowością, bo niewiele lat upłynęło od czasu, kiedy była przedmiotem zakazanym. Dziś, po blisko 70 latach życia na wyspach brytyjskich, otwiera też nowe perspektywy. Jest w języku tych wysp, więc przybliży nas do ich mieszkańców. Jeżeli pokaże angielskojęzycznym czytelnikom to, w co im tak trudno było uwierzyć w roku 1945 i później, to książka ta wypełni lukę w szeroko pojętej historii współczesnej Europy. Aż strach pomyśleć jak się te niesprawiedliwości powtarzają...

Dziś też trudno jest pomylić się co do jej aktualności. Gdyby nie sceptycyzm co do niektórych programów Unii Europejskiej, uważałbym tę książkę jako lekturę obowiązkową dla członków jej prezydium w Brukseli.

11.04.2008

## SPOTKANIA 2.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy po raz pierwszy spotkałem Karola Godlewskiego i jego żonę Marię-Cristinę, ale mam w pamięci duże przyjęcie w ich ładnym domu w Rickmansworth pod Londynem. Okazją był krótki pobyt w Londynie Marii Kalinowskiej, osoby bliskiej wszystkim obecnym. Były to pewnie lata sześćdziesiąte. Spotkaliśmy się znowu, tym razem w Toronto. Godlewscy mieszkali już wtedy w Kanadzie. Byłem w tym kraju przejazdem i spędziłem wiele czasu u bliskich przyjaciół Marii i Ludwika Kalinowskich. Była to też bliska przyjaźń pomiędzy obu rodzinami Godlewskich i Kalinowskich. Tam po raz pierwszy spotkałem starszego syna Karola, Marka. Z tego spotkania zostało mi w pamięci zakłopotanie Karola synem, który posługiwał się wyłącznie językiem angielskim. W naszym wojennym pokoleniu ex-wojskowych na Zachodzie i ja, i wielu innych znało podobne uczucia. Karol był nie tylko na wskroś Polakiem, ale też dziedzicem szeroko rozgałęzionego rodu ziemian kresowych, dla których utrzymanie polskości miało specjalne dziejowe znaczenie. Był porucznikiem armii polskiej w Szkocji. Z rodzinnego majątku Synkowicze wyjechał z ojcem i z rodziną mając lat 18, w przeddzień inwazji sowieckiej.

Jakiś czas potem spotkaliśmy się znowu w Toronto. Przy tej okazji, przyjęcie u Marii Kalinowskiej w dniu jej imienin pozostanie na długo w mojej pamięci. Zaczęło się od krewetek. Pani domu zdecydowała, że mają być na obiad krewetki w specjalnie przyrządzonym przez nią sosie. Akurat był podobno najlepszy na nie sezon. Karol, który znał Toronto lepiej niż ktokolwiek z obecnych, zawyrokował, że trzeba jechać na dość odległy targ rybny. Okazja była warta świeczki. „Jedź z mną” — powiedział głosem nie wymagającym odpowiedzi. „Opowiem ci coś o Kanadzie, czego nie znajdziesz w żadnej biografii tego niezwykłego kraju”. Pojechaliśmy. Nigdy nie żałowałem tej przejażdżki. Karol, jako zawodowy inżynier-agronom, wykształcony w Cambridge, i jeden z dyrektorów wielkiego międzynarodowego koncernu Massey Ferguson, produkującego traktory i inne maszyny rolnicze, lubił i podziwiał Kanadę. Rozumiał świetnie ściśle kontrolowaną politykę imigracji i nade wszystko umiejętność, z jaką Kanadyjczycy potrafią skutecznie mieszać narodowości i rasy. „Ale — mówił — nie zdają sobie sprawy z tego, że nie wszystkie narodowości i rasy nadają się do życia w tym kraju. Jest to kraj trudny, bo wszystko trzeba zaczynać od początku. Nikomu tu nic nie dają. W tym kraju, pełnym dóbr naturalnych, ostrego klimatu i wielkich dystansów, nie ma «taryfy ulgowej». To nie jest kraj intelektualistów, choć posiada wspaniałe szkoły i uniwersytety. Ci intelektualiści co tu są, to tacy którzy wyrosli, choć częściowo, w innej kulturze. Bogactwo Kanady leży gdzie indziej. Przede wszystkim w naturze. Co trzeba dodać, to specyficzny konserwatyzm nie przyspieszający, ani nie opóźniający «amerykanizacji» kraju. Kanada ma swój rytm. Co do naszych rodaków, jest im pewnie wygodniej po drugiej stronie granicy, w Stanach Zjednoczonych. Inny kraj, choć tak blisko. Kanada to kraj prospektorów, inżynierów, indywidualistów, ludzi odwagi i siły swoich rąk. Stany to kraj bardziej urzędniczy”. Te słowa można włączyć do biografii Karola. Udowodnił ich prawdę, pracując ciężko fizycznie na swojej pięknej i zawsze gościnnej posiadłości w Barry's Bay w Ontario (z racji polskiej tradycji rodzinnej nazwanej „Golewo”), w której zamieszkał po przejściu na emeryturę i którą bardzo pokochał. Czuł się szczęśliwy pracując za pan brat z ziemią, z drzewami, obserwując, jako zamiłowany rolnik, regularne sezonowe zmiany i adaptując do nich swe życie. „Ta posiadłość... Daje mi przestrzeń — mówił — nie mógłbym już żyć w mieście. Dla mnie Kanada to otwarty horyzont na wszystkie strony świata. Świat bez granic...” Tam mieliśmy najdłuższe spotkanie, kiedy z żoną byliśmy przez parę dni gośćmi Karola i Marie-Cristine. Taką była jego kanadyjska ziemia polska, którą przysposabiał do swojej prawdy.

Karol Godlewski zmarł po krótkiej chorobie w Kingston, Ontario, 8 kwietnia 2008 roku. Był synem Józefa, przedwojennego senatora RP i Fabianny z domu Hutten Czapskiej.

Spotkania, zdawałoby się przypadkowe, mają swoje miejsce w pamięci, bo zostawiają niespodziewane ślady. W przypadku, o którym piszę, ślady te — mimo że spotkania nie były częste i koleje życia inne — to fizyczne doświadczenie ataku na kraj ojczysty i jego konsekwencje — nowe życie w innym kraju.

20.04.2008

## INDEKS NAZWISK

### A

- Adamczyk Kazimierz 92  
Adamowicz Paweł 59  
Anders Władysław, gen. 107

### B

- Bączkowska Irena 12  
Badeni Jan 14  
Badeni Stefan 5, 14, 67  
Bailly Rosa 32  
Baliński Stanisław 10, 11, 35, 76,  
95

- Barańczak Stanisław 12  
Bartel Kazimierz, premier II RP 45  
Bartoszewski Władysław, prof. 83  
Beck Józef 115

- Bednarczyk Czesław 92, 93  
Bednarczyk Krystyna 92  
Bielatowicz Jan 12

- Bogusławski Antoni 10  
Bohdanowiczowa Zofia 95  
Borman Antoni 13, 76

- Brandys Kazimierz 12  
Braniccy 63  
Bregman Aleksander 34

- Broncel Zdzisław 96  
Brown Gordon, premier Wielkiej  
Brytanii 82, 88  
Brudziński Józef 37

### C

- Cazin Paul, francuski historyk  
literatury 32  
Chamberlain Artur Neville 19  
Chapman John 109  
Chciuk Andrzej 12

- Chmielowiec Michał 13, 66, 70,  
77, 102

- Chopin Fryderyk 32  
Churchill Winston 23  
Czapski 63  
Czapska Maria 18, 19, 63  
Czapski Józef 12, 22, 63  
Czartoryscy 63  
Czermański Zdzisław 10  
Czuchnowski Marian 96

### D

- Danilewiczowa Maria 10  
Dietrich Marek, prof. 65  
Dorosz Beata 78, 92

### E

- Eden Anthony 23, 116  
Elżbieta II, królowa 46, 47

### F

- Filip Mountbatten, książę Edynbur-  
ga 46, 47  
Foster Christopher, sir 89  
Frajlich Anna 69-71

### G

- Gaulle Charles de, gen. 115, 117  
Giedroyc Jerzy 102  
Godlewscy 118  
Godlewska Fabianna, z domu Hut-  
ten Czapska 120  
Godlewska Izabella 64  
Godlewska Marie-Cristine 118, 119  
Godlewski Józef 120  
Godlewski Karol 118-120

Godlewski Marek 118  
Goetel Ferdynand 11  
Gombrowicz Witold 10, 12  
Gorbaczow Michaił 109  
Grocholski Kazimierz 102  
Grubiński Wacław 11  
Grydzewski Mieczysław 9-11, 13,  
29, 30, 58, 66, 75-77, 86, 96,  
101, 102  
Grynberg Henryk 12  
Grzymała Roman 106, 113

## H

Halecki Oskar, prof. 11, 83, 84, 116  
Hemar Marian 12, 35, 40, 49, 50, 95  
Herbert Zbigniew 12  
Herling-Grudziński Gustaw 12, 108  
Hitler Adolf 22, 45, 36  
Hłasko Marek 12  
Honigwill Ludwik 107  
Hutten-Czapski Bogdan 28, 36-39,  
64  
Hutten-Czapski Emeryk 36  
Hutten-Czapski Emeryk młodszy 36  
Hutten-Czapski Karol 36

## I

Iwanowski Wacław 107  
Iwaszkiewicz Jarosław 32

## J

Jadowska Aneta 13  
Jagodziński Zdzisław 116  
Jan Paweł II, papież 59  
Janta Aleksander 96  
Jerzy VI Windsor, król 46  
Jurzykowski Alfred 67

## K

Kalinowscy 118  
Kalinowska Maria Zofia 39, 40,  
118, 119

Kalinowski Ludwik 40, 118  
Karaszewicz-Tokarzewski Michał,  
gen. 21, 22  
Karpińska Marta 13  
Karpiński Światopełk 107, 113, 114  
Kennard Howard 46  
Kiersnowska Wiera 107  
Kiersnowski Ryszard 96, 106-108,  
113  
Kleszczyński Zdzisław 101  
Komorowska Violetta 113  
Kościalkowska Janina 12  
Kossowska Stefania, z Szurlejów 5,  
13, 14, 35, 53-55, 65-67, 69-71,  
77, 85, 86, 102, 116  
Kossowski Adam 66  
Kot Stanisław, prof. 9  
Kozarynowa Zofia 12  
Krasnodębska Joanna 92  
Kryński Karol 107, 113  
Krzyżanowski Jerzy R. 92  
Kukiel Marian 11, 34  
Kuncewiczowa Maria 10  
Kwaśniewski Aleksander 47

## L

Lechoń Jan (wł. Serafinowicz Le-  
szek) 10, 32, 33, 78-80, 95  
Lenin Włodzimierz 117  
Lewandowski Wacław 92  
Ligęza Wojciech 92, 93

## Ł

Łepkowski Stanisław 46  
Łobodowski Józef 10, 11, 96

## M

Mackiewicz Józef 11  
Mackiewicz Stanisław Cat 10, 34  
Maczek Stanisław, gen. 108  
Matuszewski Ignacy 10  
Michnik Adam 12



Mickiewicz Adam 93  
Mickiewicz Anna Maria 56  
Mieczysławska Aniela 115  
Mieszkowska Anna 92  
Miłosz Czesław 11, 12, 96, 107,  
113, 114  
Minkiewicz Janusz 107, 113, 114  
Modzelewski Zenon 115  
Morawski Kajetan 12  
Mościcki Ignacy, prezydent II RP 45  
Mozart Wolfgang Amadeusz 17

## N

Naglerowa Herminia 49  
Nowak-Jeziorański Jan 12  
Nowakowski Marek 12  
Nowakowski Tadeusz 11  
Nowakowski Zygmunt 9-12, 30,  
34, 35, 49, 50, 58, 59, 95

## O

Olejniczak Józef 92  
Opieńska Małgorzata 76, 108  
Opieński Józef 76, 108

## P

Panufnik Andrzej 86  
Pasierb Janusz, ks. prof. 54  
Paszkowski Lech 93, 94  
Pawlikowska-Jasnorzewska Maria  
95  
Piasecki Stanisław 66, 85  
Pietrkiewicz Jerzy 85, 86, 96  
Piłsudski Józef 29, 44, 45, 56, 115,  
117  
Piotrowski Adam, inż. 46  
Pomian Andrzej 92  
Potocey 63  
Poznański Karol, dr 58  
Pragier Adam 5, 10  
Pruszyński Ksawery 10

Przewłocka Karolina, z Hutten-  
Czapskich 63  
Przewłocki Henryk 63  
Przewłocki Janusz Henryk 62, 63  
Putin Władimir 68, 90, 91

## R

Raczekiewicz Władysław 45, 106  
Raczyński Edward 23, 24, 31, 46,  
84, 105, 106, 115, 116  
Radziwiłłowie 63  
Reagan Ronald 109  
Roosevelt Franklin Delano 60, 62  
Rostworowski Jan 11, 76, 96  
Rostworowski Karol Hubert 76, 96  
Rubinstein Artur 32

## S

Sakowski Juliusz 5, 10, 53  
Sand George 32  
Sendekowie 76  
Serafinowicz Leszek, patrz: Lechoń  
Jan  
Sienkiewicz Henryk 50  
Sikorski Radosław 89  
Sikorski Władysław, gen. 9, 14, 30,  
34, 58, 66, 106  
Skarbek Stanisław, mjr 46  
Słonimski Antoni 9, 10  
Smorczewscy 103  
Smorczewski Rafał Stanisław 103,  
104  
Stawinoga Józef 87, 88  
Strasburger Henryk 46  
Strauss Johann 7  
Stroński Stanisław, prof. 10, 14-16,  
34  
Suchcitz Andrzej 116  
Supruniuk Anna 6, 69-71, 102  
Supruniuk Mirosław Adam 13, 14,  
92, 102

Szurlejowa Jadwiga, z Ciepiew-  
skich 66  
Szurlej Stanisław 66

## T

Terlecki Tymon 11  
Topolski Feliks 33  
Tuchaczewski Michał 117  
Tuge-Erecińska Barbara 23  
Tusk Donald 83, 112  
Tuwim Julian 10

## V

Vega Maria Isabela (Bebel) de la  
104

## W

Walczak Tadeusz 54, 116  
Wałęsa Lech 46, 60  
Weygand Maxime 117  
Wieniewski Ignacy, prof. 11  
Wierzyński Kazimierz 10, 11, 95  
Witos Wincenty 66  
Wittlin Józef 10, 11, 95  
Wojciechowski Stanisław 45  
Wójcik Jerzy R. 102  
Wróblewski Andrzej Kajetan, prof.  
65

## Z

Zahorska Stefania 5  
Zaleski August 46  
Zamojscy 63  
Zamoyski Adam 116-118  
Zamoyski Jan 12  
Zbyszewski Karol 12, 34, 35, 49  
Zbyszewski Wacław Alfred 10, 35

## SPIS TREŚCI

Przedmowa.....	5
Skrzypek .....	7
Malowane kwiaty.....	8
Archiwum w hołdzie literaturze emigracyjnej.....	13
Dyskrecja .....	14
Bal maskowy.....	16
Rodzina w Europie.....	18
Symposium .....	19
Śnieżna Wigilia czyli pacierz na mrozie.....	21
Przy dworze św. Jakuba .....	23
Apel poległych.....	24
Jaś i Małgosia.....	26
Verbatim.....	27
Alianci i alianci .....	29
„Pokolenie politologów”.....	30
Dyplomatyczna szachownica.....	32
Pamięć szuka faktów.....	34
Dziedzictwo kultury.....	36
Przyjaźń.....	39
Pamięci Marii Kalinowskiej .....	39
Temperament.....	41
Opinia publiczna .....	42
Ex-libris.....	44
Trzy wizyty .....	45
Zagranica.....	47
Oblęgorek.....	49
Człowiek w lustrze.....	50
Kontynuacja .....	52
Kolorowe miasto .....	53
Odrodzenie.....	55
Apologia.....	57
Instytut dobrej woli.....	59

Słoneczna strona ulicy .....	60
Hołd polskim tradycjom .....	62
Krótki żywot zacnej fundacji .....	64
Wrześniowe rocznice .....	65
Maskarada .....	68
Sztuka przyjaźni.....	69
Środek ciężkości .....	72
Suwerenność .....	73
27 Rosary Gardens, London SW7 .....	75
Głos znad Wisły .....	77
Gość w dom?.....	78
Przemówienie.....	80
Anachronizm czy obojętność? .....	82
Alfabet niepodległości .....	83
Śniadania z Pietrkiewiczem .....	85
Pustelnik z Wolverhampton .....	87
Polityczność .....	88
Spiritus movens.....	90
Literacka pamięć .....	91
Droga do swoich .....	93
Poezja czy proza: emigracja 2004.....	95
Mowa potoczna .....	96
Demokracja per se.....	98
Komputer i gałązka bzu .....	100
Silva rerum.....	101
Smorczewscy z Lubelszczyzny.....	103
Terminologia .....	104
Korespondent wojenny .....	106
Szczyt szczytowi nierówny.....	108
Górny lot .....	110
Koncentracja kapitału .....	111
Szukanie ojczyzny .....	113
Spotkania 1.....	114
Bitwa o Europę .....	116
Spotkania 2.....	118
Indeks nazwisk.....	121

## ARCHIWUM EMIGRACJI SERIA „LITERACKA”

- Krzysztof Muszkowski, *Notatki londyńskie (1993-1997)*. Toruń 1997  
Stefania Kossowska, *Przyjaciele i znajomi*. Toruń 1998  
Andrzej Gawroński, *Mój punkt widzenia. Felietony australijskie*. Toruń 1999  
Krystyna Nasiukiewicz, *My za oceanem. Smak Ameryki*. Toruń 1999  
Bronisław Przyłuski, *Strofy o malarstwie*. Toruń 2000  
Maria Danilewicz Zielińska, *Fado o moim życiu. Rozmowy z Włodzimierzem Paźniewskim*. Toruń 2000  
Jan Winczakiewicz, *Z szuflady emigranta*. Toruń 2001  
Włodzimierz Drzewieniecki, *Angielski szlif. Wspomnienie oficera sztabu 2. Korpusu*. Toruń 2001  
Hanna Reszczyńska-Essigman, *Kaprysy losu*. Toruń 2001  
Andrzej Gawroński, *Zapiski z dwóch światów*. Toruń 2001  
Czesław Miłosz, *Wielkie pokuszenie*. Toruń 2002  
Jerzy Pietrkiewicz, *Sami swoi. Zdarzyło się w czasie żniw*. Toruń 2003  
Fryderyk Járosy, *Okoliczności łagodzące*. Toruń 2004  
Stanisław Wujastyk, *Jak Hemar zniszczył Związek Sowiecki*. Toruń 2004  
Krzysztof Muszkowski, *Spod angielskiego parasola*. Toruń 2006  
Kazimierz Braun, *Promieniowanie. Sztuka o Marii Skłodowskiej-Curie*. Toruń 2006



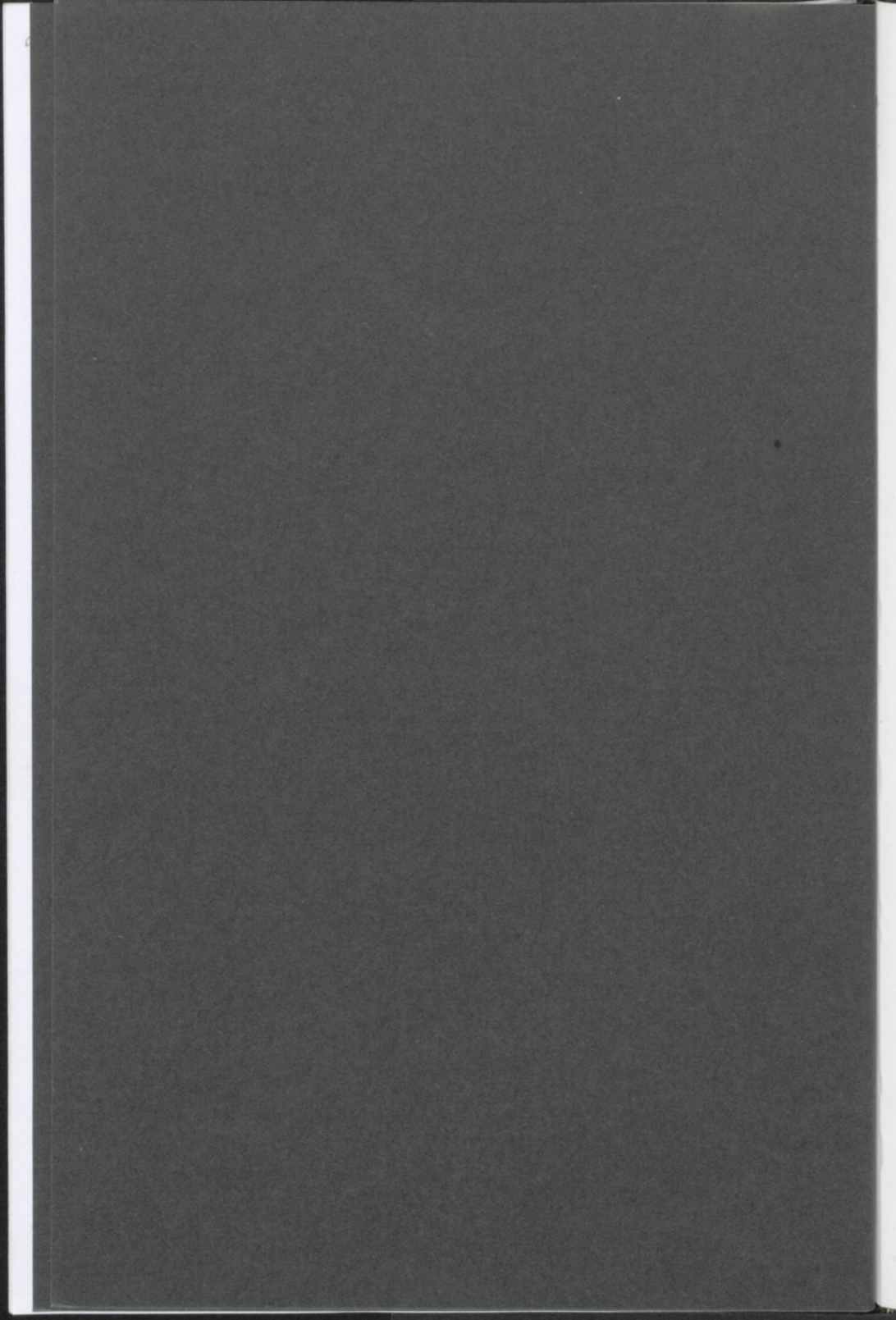


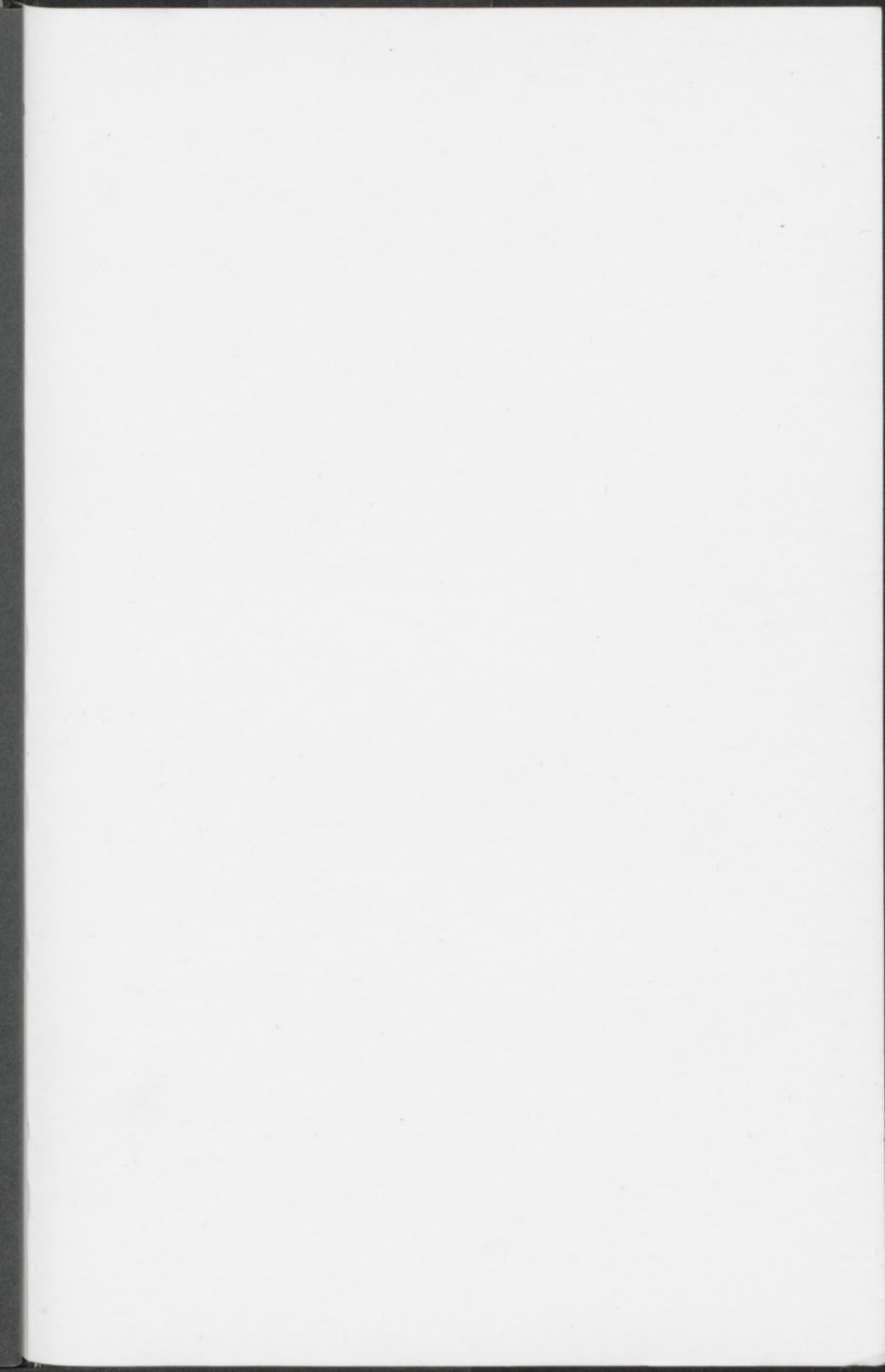












Biblioteka  
Główna  
UMK Toruń

1013560



**Krzysztof Muszkowski**

Biblioteka Główna UMK



**300044681282**

ISBN 978-83-89376-65-7